

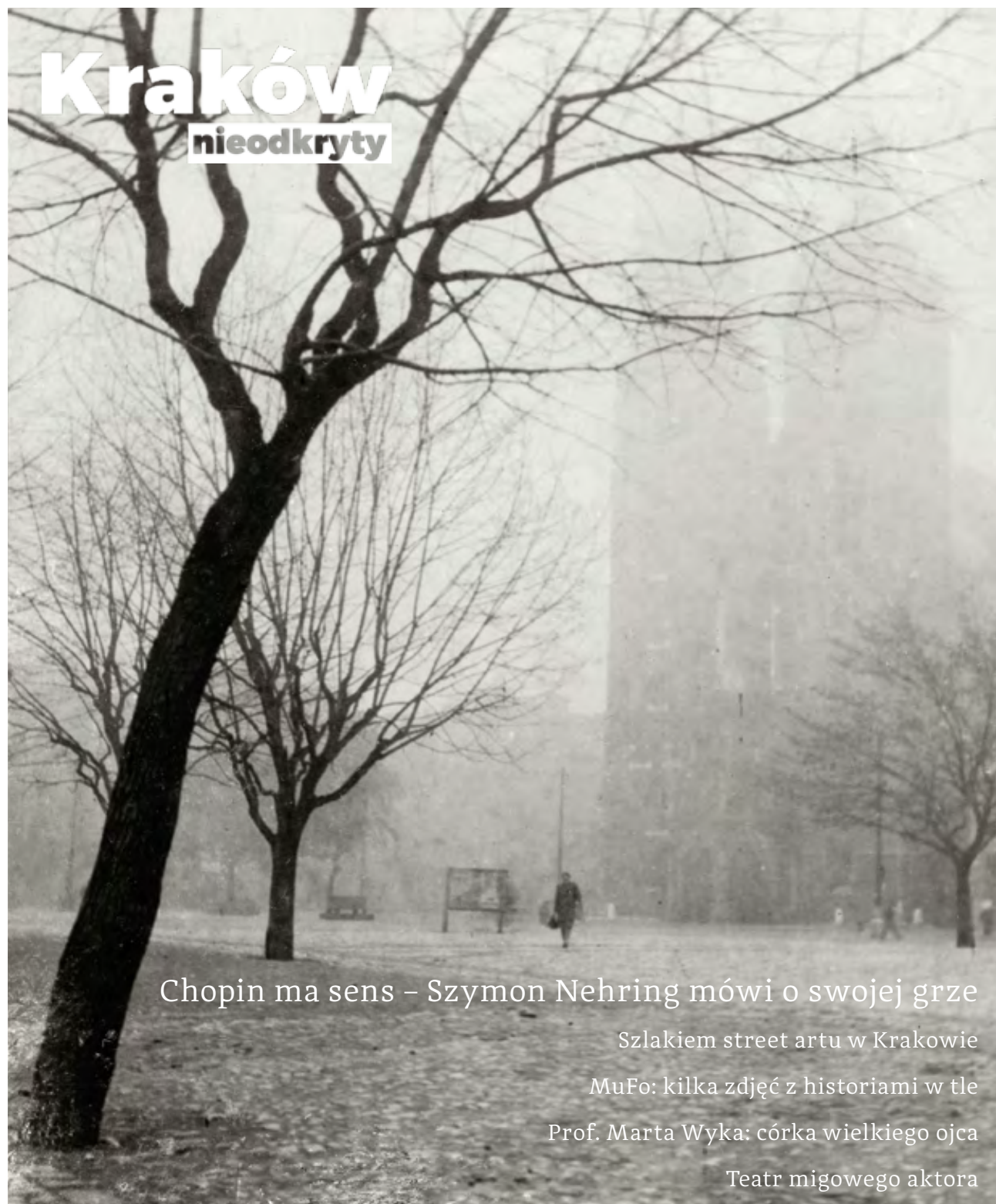
MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Cena 7 zł (w tym 5% VAT)

KRAKÓW

www.miesiecznik.krakow.pl

Nr 10 (191) Październik 2020



Kraków
nieodkryty

Chopin ma sens – Szymon Nehring mówi o swojej grze

Szlakiem street artu w Krakowie

MuFo: kilka zdjęć z historiami w tle

Prof. Marta Wyka: córka wielkiego ojca

Teatr migowego aktora



9 771733 045002 09

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Ewa Lipska

POETKA NASZYCH CZASÓW

Nowy wybór wierszy już w księgarniach!



Wydawnictwo a5



Teofil Kwiatkowski (1809–1891), *Polonez Chopina – bal w Hotelu Lambert w Paryżu*, 1859; akwarela na papierze (61,5 x 125,7 cm), Muzeum Narodowe w Poznaniu, Wikimedia Commons

Chopin ma sens!

Tekst: Mateusz Borkowski

Genialny kompozytor, który świadomie poświęcił się jednemu medium – fortepianowi. Legendarny pianista Artur Rubinstein miał powiedzieć o nim: „Ten najbardziej narodowy z kompozytorów jest jednocześnie najbardziej uniwersalny”. Warto jednak zwątpić w Chopina, by po jakimś czasie w pełni poznać się na jego geniuszu.

Stefan Kisielewski w *Gwiazdozbiorze muzycznym* zauważa: „O Chopinie chciałoby się dziś pisać zupełnie inaczej, niż pisano o nim dotąd. I on, podobnie jak Beethoven, prześladowany jest nieustannie przez swą natrętną legendę, która wypacza, fałszuje, stylizuje, zmienia proporcje, jedne rzeczy wyolbrzymia, inne pomniejsza. W powodzi sądów tradycyjnych, konwencjonalnych, wygodnych czy działających na pospolitą wyobraźnię (...) ginie gdzieś ogólna prawda o Chopinie. Prawda ta (...) dałaby się określić tak: był ogromnie złożony, lecz złożony w ten sposób, że zarazem niezwykle, jednolicie prosty”.

Zacznę więc może prowokacyjnie. Dla niektórych to szokujące wyznanie, dla innych może i przejaw nonszalancji, ale przyznam, że

nigdy specjalnie nie przepadałem za muzyką Chopina. Zawsze ceniłem jego geniusz, wiedziałem, że jest muzycznym gigantem, polskim kompozytorem wszechczasów, ale jakoś serce odmawiało współpracy. Na pewno nie byłem ignorantem, bo sam, z własnej woli na studiach pojechałem śledzić zmagania uczestników Konkursu Chopinowskiego w Filharmonii Narodowej w 2005 roku. Chciałem chyba pokochać tego Chopina, bo tak przecież należy. Apogeum mojej niechęci do jego twórczości przypadło właśnie na studia muzykologiczne, kiedy obcowanie z twórczością Chopina oznaczało drobiazgową analizę jego mazurków na poziomie mikro, pochylanie się nad niemal każdą nutą, no i oczywiście brak jakiegokolwiek krytycznej refleksji. Pa-

miętał do dziś różne frazy, które wryły mi się w pamięć w trakcie przygotowań do egzaminu z muzyki polskiej XIX wieku – śmieszyły mnie w równym stopniu, co wzbudzały irytację. Jedną z nich zapamiętałem w całości, łącznie ze źródłem (hasło „Chopin” w *Encyklopedii muzycznej PWM*): „etiudy Chopina stanowią rubikon sztuki pianistycznej”. Kiedy więc red. Bereś zgłosił się do mnie z tematem „o Chopinie”, zgodziłem się od razu, uznając że

Chopin zajmuje w Polsce zaszczytne miejsce obok Wałęsy i Jana Pawła II, choć właśnie ta posągowość bywa źródłem niechęci. No, bo jeśli ktoś, kto uważa się za prawdziwego Polaka, przyznałby, nie daj Boże, że muzyka Chopina nie trafia do jego serca, czy można uznać go za patriotę? Chopina mamy kochać i już, ba, musi nas ścisnąć w sercu.

to świetna okazja do zmierzenia się z nim po latach. A gdyby nie pandemia, jesień należałaby właśnie do niego.

Rok 2020 to nie tylko 210. rocznica urodzin kompozytora, ale przede wszystkim wydarzenie, na które od pięciu lat czekali pianiści i melomani z całego świata – 18. Konkurs Chopinowski. Jeden z najważniejszych konkursów pianistycznych na świecie, organizowany co pięć lat, od 1927 roku, tylko raz z powodu wojny musiał być przesunięty, aż tu COVID-19 pokrzyżował plany organizatorom konkursów i festiwali na całym świecie. I choć na ów turniej pianistyczny będziemy musieli poczekać aż do przyszłego roku, warto wypełnić tę pustkę rozważaniami na temat fenomenu Chopina.

Chopin wielkim kompozytorem był i zachwyca, bo jakżeby mógł nie zachwycać? To podejście powoduje niestety, że wiele młodych osób odrzuca *a priori* muzykę Chopina, na tej samej zasadzie jak odrzuca się wielkich pisarzy czy poetów, którzy spoglądają na nas z pomników. Chopin należy przecież do tych postaci, które jednoznacznie z polskością się kojarzą, to jeden z naszych znaków rozpoznawczych, towarów eksportowych, i nie mam tu na myśli popularnej na świecie luksusowej wódki produkowanej od 1993 roku przez Polmos. Chopin zajmuje zaszczytne miejsce obok Wałęsy i Jana Pawła II, choć właśnie ta posągowość bywa źródłem niechęci. No, bo jeśli ktoś, kto uważa się za

prawdziwego Polaka, przyznałby, nie daj Boże, w towarzystwie, że muzyka Chopina nie trafia do jego serca, czy można uznać go za patriotę? Chopina mamy kochać i już, ba, musi nas ścisnąć w sercu, gdy słuchamy *Etiudy rewolucyjnej*.

Do dziś pamiętam Krakowski Salon Poezji Anny Dymnej, jeszcze w Teatrze im. Juliusza Słowackiego, kiedy jako licealista razem z ukochaną Babcią słuchałem poezji Mickiewicza w wykonaniu Gustawa Holoubka i Magdaleny Zawadzkiej. Po *Inwokacji* ktoś zaczął grać właśnie „tę” *Etiudę*, a moja Babcia zaczęła płakać. Dodam, że etiudę znienawidzoną przeze mnie za sprawą kolegi-pianisty, który w liceum muzycznym na Basztowej, przez cztery lata, niemal na każdej przerwie katował nas wykonaniem tego utworu. Bardzo chciałbym posłuchać, co na temat podejścia Polaków do Chopina powiedziałyby dziś zmarła w sierpniu prof. Maria Janion, która zresztą przed laty, w 1987 roku, razem z prof. Marią Żmigrodzką napisała artykuł *Fryderyk Chopin wśród bohaterów egzystencji* („Res Publica”). Niestety, już się tego nie dowiemy.

Pewne jest, że Chopin obecny jest w naszym codziennym życiu mocno, a niekoniecznie wszyscy są tego świadomi. Poza oczywistościami w rodzaju sygnału radiowej Jedynki wykorzystującej *Poloneza A-dur* op. 40 nr 1, każdy kto jechał choć raz pendolino, czy chciał czy nie, słyszał, i to kilkakrotnie podczas jednego przejazdu, fragment *Nokturnu Es-dur* nr 2. Roman Pawłowski wyliczył nawet w „Gazecie Wyborczej”, że podróżni jadący z Krakowa do Gdyni usłyszy ów nokturn 12 razy. „Nawet najpiękniejsza muzyka staje się torturą, kiedy trzeba słuchać jej na okrągło” – pod tymi słowami mogę podpisać się w całości. Z kolei narodowy LOT wykorzystuje podczas przelotów *Preludium Des-dur* op. 28 nr 15 zwane „Deszczowym”, a *Preludium e-moll* op. 28 nr 4, co wiem jako kinoman, niezwykle często gości w różnych zagranicznych filmach. Zostawiam jednak wątek zgubnego w skutkach wykorzystywania muzyki klasycznej w reklamach oraz przestąpieniu publicznej i spróbuję skupić się bardziej na wspomnianym fenomenie Chopina i sile jego muzyki.

Nie zapomnę, kiedy jako dziennikarz „Dziennika Polskiego” walczący nieustannie z redaktorami o miejsce dla klasyki na łamach gazety, w październiku 2015 roku byłem świadkiem cudownej przemiany redakcyjnych kolegów, którzy nagle byli zainteresowani artykułami na temat Konkursu Chopinowskiego, ale, co więcej, sami przyznawali, że słuchają konkursowych zmagają

w radiu bądź w telewizji. Było w tym oczywiście coś sportowego, ale mimo wszystko robiło wrażenie. Jeden z ówczesnych szefów wyznał mi nawet, że włącza sobie Chopinowskie eliminacje, bo działa to na niego kojąco w pracy. Nie do wiary, Chopin zmienia ludzi!

I tu ważny zwrot: moje podejście również uległo przemianie, niekoniecznie pod wpływem Konkursu, ale stopniowo moja rezerwa do naszego „narodowego skarbu” ulegała zmniejszeniu, a niechęć topniała, choć samemu trudno było mi się do tego przyznać. Dziś Chopin nadal nie należy do moich ulubionych kompozytorów, ale słucham jego utworów z większą ciekawością, bez wewnętrznego przymusu. Mniej nieznośne stały się utwory będące stylizacją polskiego folkloru, choć wciąż najbardziej lubię te bardziej „uniwersalne”.

Po tym przydługim wstępie dochodzimy do sedna i kwestii aksjologicznych. Co stanowi o fenomenie muzyki Chopina i jego nieśmiertelności? Jeden z najwybitniejszych chopinologów śp. prof. Mieczysław Tomaszewski odnotował w książce *Chopin. Fenomen i paradoks*, że na świecie działa obecnie około 50 Towarzystw Chopinowskich, między innymi w Londynie, Neapolu, Tokio, Hawanie, Tel Awiwie czy Santiago de Lima. Jak zauważa: „W kolejnych międzynarodowych konkursach chopinowskich w Warszawie biorą udział dziesiątki młodych pianistów z najbardziej odległych krajów świata. Wśród zdobywców pierwszych nagród nie dominuje żadna narodowość. Patrząc od innej strony: bez przejścia przez studium fortepianowych *Etiud* Chopina żaden pianista nie może stać się pianistą. Bez *Koncertów* i *Sonat* Chopina nie może być mowy o historii muzyki powszechnej wieku XIX. Bez *Ballad* i *Nokturnów* nie istnieje pojęcie europejskiej muzyki romantycznej”.

Dodam, że Chopina kochają miłością szczególną Azjaci, w równym stopniu w Japonii, Korei czy Chinach, gdzie jego muzyka, mimo różnic kulturowych, porusza najczulsze struny duszy. Z jednej strony w Japonii do dziś wydawane są płyty cieszącej się wielkim uznaniem śp. Haliny Czerny-Stefańskiej, laureatki Konkursu z 1949 roku, z drugiej zaś to właśnie pianiści z Dalekiego Wschodu zdobywają obecnie laury na świecie, co najważniejsze, łamiąc utrwalone w naszym kraju krzywdzące stereotypy o tym, że azjatyccy pianiści prezentują „mechaniczną” grę, nienaganną technikę, a jednocześnie rzekomo brak im zrozumienia „polskiego” idiomu mazurków i ogólnie chopinowskiego stylu. Na szczęście kategoria narodowości w zetknięciu z mu-

zyką Chopina przestaje mieć znaczenie. Wystarczy wymienić nazwiska światowych pianistów, których grą zachwycamy się od lat. Słuchając największych, wcale nie szukam niemierzalnego i właściwie nieistniejącego „chopinowskiego stylu”, ale indywidualności i wrażliwości. Może dlatego podoba mi się pełna nonszalancji gra odsądzanego od czci i wiary Georgijsa Osokinsa czy – na drugim biegunie – Julianny Awdiejewej.

Kategoria narodowości w zetknięciu z muzyką Chopina przestaje mieć znaczenie. Słuchając największych, nie szukam niemierzalnego i właściwie nieistniejącego „chopinowskiego stylu”, ale indywidualności i wrażliwości.

Na koniec przywołam ponownie niezawodnego Kisiela: „Choć Chopin tkwił w generalnej linii ewolucyjnej muzyki światowej, choć wywiódł się z Bacha i, jak ten wielki mistrz, odrodził się w wieku XX, choć jego akordy spotykamy u Skriabina czy Ravela, u Gershwina czy Ellingtona, to jednak działanie jego muzyki apeluje do każdego słuchacza w sposób niepowtarzalny, głęboko i intymnie. Jest ono tak niepowtarzalne, jak on był – jedyny”. Zgadza się. Kiedy słuchałem w maju recitalu wielkiej damy polskiej pianistyki, 92-letniej Lidii Grychtołówny, transmitowanego *online* z jej warszawskiego mieszkania, to właśnie jej Chopin okazał się cudownym ukojeniem i remedium na otaczającą rzeczywistość i trudną sytuację. I w końcu zrozumiałem – Chopin ma sens!



Mateusz Borkowski – muzykolog, krytyk muzyczny i pedagog. Absolwent Instytutu Muzykologii UJ. Współpracownik „Ruchu Muzycznego”. Autor książek *Złota klatka* – wywiadu rzeki z Michałem Znaniemkim (PWM 2017) i *Organy*

na krańcach świata – rozmów z Markiem Stefańskim. Za tę ostatnią nagrodzony w 2019 roku Krakowską Książką Miesiąca. Prowadzi blog „Orfeum Borkowskiego”.

**TEMAT MIESIĄCA:
CHOPIN MA SENS!**

Mateusz Borkowski s. 1
Chopin zajmuje w Polsce zaszczytne miejsce obok Wałęsy i Jana Pawła II, choć właśnie ta posągowość bywa źródłem niechęci. No, bo jeśli ktoś, kto uważa się za prawdziwego Polaka, przyznałby, nie daj Boże, że muzyka Chopina nie trafia do jego serca, czy można uznać go za patriotę? Chopina mamy kochać i już, ba, musi nas ścisnąć w sercu.

Artystyczna codzienność s. 28
 z Szymonem Nehringiem/Anna Woźniakowska

KRAKÓW MÓWI

Podwójne życie Grzegorza Turnaua s. 19
 z Grzegorzem Turnauem/Ewa Lipska
„Oby nie zatopił nas pandemiczny socrealizm” s. 33
 z Martą Wyką/Elżbieta Wojnarowska

LUDZIE, MIEJSCA, WYDARZENIA

Artystyczny wirus. Szlakiem krakowskiej sztuki miejskiej Katarzyna Domagała s. 12
Benefis „pandemiczny” Krystyny Zachwatowicz (medal „Za mądrość obywatelską”) s. 24
 Magda Huzarska-Szumiec
MuFo łamie konwencje s. 40
 z Markiem Świcą/Ewa Kozakiewiczowa
Wszystkie drogi prowadzą do ciszy s. 50
 Dominik Jedliński
Fundacje Krakowa: Zawsze Warto s. 56
Miasta czasów pandemii: teatr s. 58
Kronika kulturalna s. 87, 89
Krakowski łącznik s. 90
Kraków (Główny) s. 91
Linia A-B s. 92

ESEJ

Czarna Kamienica Marta Wyka s. 70

REKOMENDACJE:

Ostatni portret wielbnego Tischnera s. 38
 Jan Biela
Przechowalnia dzieci Sylwia Pyzik s. 49
Świtezianki z wiankiem na głowie s. 60
 Marta Gruszecka

OBYWATELE KRAKOWA

Vloggerka z podróżniczą pasją (Arii Martelle) s. 8
 Magdalena Oberc

KRAKÓW. NIEODKRYTY

Gródek, dominikanki i pompa benzynowa s. 10
 Krzysztof Jakubowski
Siedem miliardów uśmiechów s. 11
 Marta Gruszecka

PORTRETY

Portrety 2020 (październik) s. 18

HISTORIA

Kalendarium krakowskie: wrzesień i październik 1920 roku Krzysztof Jakubowski s. 62

TEATR

Miron Białoszewski słucha Ewy Demarczyk s. 66
 Paweł Głowacki

FILM

Radosne powroty Maria Malatyńska s. 74
Skandal. Ewenement Molesty s. 78
 Łukasz Maciejewski

LITERATURA

Kiedy kobieta spotyka mężczyznę s. 61
 Kinga Strzelecka-Pilch

KSIĄŻKI

Nasza biblioteka s. 84
Moja krakowska książka miesiąca s. 88
 Janusz M. Paluch

GALERIA „KRAKOWA”

Anna Kaszuba-Dębska s. 46
 Magda Huzarska-Szumiec

FELIETON

NA CZERWONYM ŚWIETLE Ewa Lipska s. 5
OKIEM BERESIA Witold Bereś s. 6
Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI Krzysztof Burnetko s. 7
SMOCZE JAJO Mieczysław Czuma s. 81
POZA KRAKOWEM Magdalena Miśka-Jackowska s. 82
BEDEKER KRAKOWSKI Iga Dzieciuchowicz s. 83
LUBIĘ LUBIĆ Agnieszka Kosińska s. 96

OKŁADKA

Fot. Jan Bułhak, Widok Rynku we mgle, 1945–1950, Kraków (ze zbiorów MuFo)

Ortografia polityczna

Tekst: Ewa Lipska

Historia popełnia często ortograficzne błędy: Naród zamienia w Narud. Narud, który traci reguły pisowni, może się łatwo przejrzyczyć, a wychodzenie z ustrojowych lapsusów trwa czasem latami.



Ewa Lipska – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.



Rys. Piotr Blachut

Miasta. COVID. Kultura

Tekst: Witold Beres

Prestiżowy portal POLITICO wieszczy kres form miejskich po COVID-zie: pracownicy przemieśli się z biur do domów, a centra miast padną, bo ich klienci nie powrócą.

Ponoć kolejne fale koronawirusa ten trend utrwalą, miasta będą miały mniejsze przychody z podatków, a to wpłynie na jakość usług publicznych i doprowadzi do zmian demograficznych, gospodarczych i kulturowych.

To prawda, ale krótkodystansowa.

Jeśli nie nastąpią inne zapaści, to wystarczy, że za trzy lata Zachód zostanie objęty lekiem i szczyptką, a ludzie ruszą do centrów miast, żeby łączyć wie obić sobie zastój.

Tylko co z nami w najbliższym czasie? I co z nas zostanie po COVID-zie?

Dziś potrzebujemy bezpieczeństwa, załatania dziur w budżecie i odświeżenia wizerunku miasta jako miejsca atrakcyjnego dla gości. To nie wyklucza niekonwencjonalnych rozwiązań, na przykład w dziedzinie kultury. I wymusza kreślenie odważnych wizji pocovidowych.

Trzeba sobie zadać trzy istotne pytania, dotyczące dziś każdego miasta.

Czy jesteśmy gotowi część aktywności w swej domenie oddać innym i chcemy, aby miasto w jakimś sensie ingerowało w naszą wolność? (Wszak, przykładowo, promowanie restauratorów oznaczałoby niewspieranie innych usług i ingerowało w sytuację na tym rynku). Czy zgadzamy się na radykalne oszczędności i czasowe wyrzeczenia? Czy akceptujemy, że przyszłość pocovidowego miasta jest w dużym stopniu wypadkową polityki (to akurat dotyczy zwłaszcza Polski)?

Odpowiedzi nie są proste, choć osobiście przychyliłbym się do powiedzenia „tak” na każde z tych pytań. I piszę to jako liberał z przekonania. Jestem jednak pewien, że obecna sytuacja zbliżona jest do stanu wyjątkowego, więc wymaga niekonwencjonalnych rozwiązań. Dziś potrzebujemy bezpieczeństwa, pilnego załatania dziur w budżecie i odświeżenia wizerunku miasta jako miejsca atrakcyjnego dla gości.

To nie wyklucza niekonwencjonalnych rozwiązań, na przykład w dziedzinie kultury. I wymusza kreślenie odważnych wizji pocovidowych – trzeba je przygotowywać, nie czekając na koniec pandemii.

Musimy być jednak ostrożni, pamiętając, że w polskich realiach jesienią za trzy lata, gdy – wierzę w to! – definitywnie minie pandemia, będziemy mieli podwójne wybory, samorządowe i parlamentarne. A wiadomo, że to idealny czas na wysyp kłamców i populistów – dlatego też nasze myślenie o mieście musi być wyjątkowo rozważne.

Niestety, większość miast będzie miała pod górkę. Lecz Kraków jest jednym z nielicznych, które mogą ten trend wykorzystać na swoją korzyść. To szansa na radykalne reformy organizacyjne i ofensywne przypomnienie Polakom, że nasze miasto to miejsce, w którym bezpiecznie mogą zanurzyć się w tradycyjnej kulturze.

Jasne, cieszymy się, że w ostatnich latach udało się nam pokazać inną twarz Krakowa, nie tylko tę tradycyjną. Ale może jednak pamiętać, że w najbliższym czasie grozi nam nie *overtourism*, lecz *notourism*? I może należy wrócić do mądrej turystyki krajowej i edukacyjno-historycznej? Może taki pakiet opracowany wspólnie z największymi instytucjami (Muzeum Narodowe, Muzeum Historyczne, Wawel, czołowe krakowskie teatry) mógłby być ciekawie przedstawiany w Polsce? I trzeba zrobić wszystko, aby ożywić kontakt z tak zwanym obwarzankiem, czyli podkrakowskimi gminami, i wciągnąć ich mieszkańców do centrum – decydujące będą inwestycje nie tylko w transport, ale i w atrakcyjną, lecz lżejszą kulturę.

Myśląc o tym, co dziś i jutro, nie wolno zapominać, co będzie pojutrze. W tej perspektywie nigdy nie przegra projekt *kultura premium* i Kraków-nowoczesny. Tyle że należy się do tego solidnie przygotowywać. Kiedy kryzys epidemiczny zostanie opanowany i turyści znowu zaduszą centra miast, wtedy my znowu uciekniemy przed kryzysem, oferując miasto smakoszem kultury.

Dziś, wspólnie z Agencją Wenecja zaczynamy cykl pod żartobliwym tytułem „Kraków i inne Wenecje”. Lecz to jak najbardziej poważna inicjatywa. Chcemy pokazać, co w takich perłach miejskich jak Kraków się zmienia, co się dopiero zmieni, a co trzeba zachować.

Pytań nie brakuje.

Czy wyostrzać podziały, czy budować wspólnotę? Czy oddzielać miasta od polityki ogólnopństwowej, pojmowanej w kategoriach gier partyjnych? Jakie miasta są szczególnie narażone na konsekwencje izolacji społecznej? Jak powinna wyglądać nowa definicja dobrego życia w metropolii? Co to znaczy miasto *on-line*? Czy tworzyć centra lokalne i jak je finansować?

I jedno z najważniejszych: jak sprawić, żeby mieszkańcy bardziej polubili swoje miasto?



Witold Beres – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

Wciąż czytana Ewa Lipska

Tekst: Krzysztof Burnetko

Wierszy poetów, zwłaszcza tych wielkich, nie ma sensu objaśniać czy, co gorsza, streszczać. Wiersze poetów, tych wielkich, warto wciąż jednak czytać na nowo, cytować, przypominać.

Poezja przecież, ta wielka zwłaszcza, polega na precyzyjnym doborze słów. On jest wszystkim i powinien wystarczać. Poetów interpretować mogą ewentualnie albo – z racji podobnego wycucia słowa – inni poeci (ci jednak rzadko się zwykle do tego kwapią) albo krytycy – jednak tylko ci wybitni, cechujący się równie subtelnym wycuciem słowa, kontekstu, czasu. Tacy choćby jak Marian Stala czy Andrzej Franaszek.

Dużo mniejsze rygory tyczą cytowania – choć i tu niebezpieczeństwo nietrafionych przywołań i odniesień, a zwłaszcza nadużyć, na przykład do przyziemnych celów politycznych, jest spore, a więc i często spotykane.

Najłatwiej jest z czytaniem wciąż na nowo oraz ze służącym mu przypominaniem – ono zdaje się nie nieść z sobą żadnych niebezpieczeństw i ryzyka kiksów. Lecz i w tym przypadku najlepiej, gdy przypominaniem wierszy zajmują się ci, których one urzekły, a równocześnie którzy się na wierszach znają i mają, chociażby, skalę porównawczą.

Tak jest (od zawsze) w przypadku kolejnych tomów „wierszy wybranych” ogłaszanych przez krakowską (od pewnego czasu) oficynę a5, czyli jakżeż zacne przedsięwzięcie Krystyny i Ryszarda Krynickich.

Teraz wydali oni *Nowy wybór wierszy Ewy Lipskiej* („Nowy wybór”, bo już przed pięćmioma laty opublikowała ona w a5 pierwszy tom w tej formule). Kryniccy proponują, by ponownie czytać Lipską, począwszy już od debiutanckiego jej tomiku, co samo w sobie sugeruje, że mają ją – a powtórzmy: oni akurat znają się na rzeczy – od samego początku za wartą uwagi poetkę.

Sam pozwolę sobie zacytować jedynie dwa fragmenty ich wyboru.

Najpierw *Przesłanie* (z datowanego na 1974 rok *Czwartego zbioru wierszy*):

Tak pisać
Aby nędzarz myślał że pieniądze
A ci co umierają:
Że to urodziny.

A potem stosunkowo niedawne (bo ogłoszone w 2017 roku) *Byliśmy jeszcze Wszyscy*:

Byliśmy jeszcze Wszyscy.
Zabawiał nas wiatraczek czasu,
Szczęście nakręcało się jak budzik.
Nikt nie przypuszczał
Że ptak wystrzelony z procy
wróci do nas kamieniem.

*

Pozwolę też sobie przypomnieć, że Ewa Lipska jest nie tylko damą polskiej poezji, lecz i stałą oraz uznaną autorką „Krakowa”. Dowodem są zresztą nie tylko błyskotliwe i przednio skonstruowane językowo miniatury, daleko wykraczające poza formułę felietonu, z cyklu *Na czerwonym świetle*, którym – nie przez przypadek przecież – otwieramy kolejne numery miesięcznika, próbując *de facto* kusić nimi do lektury i innych tekstów.

Oto bowiem okazuje się, że Ewa Lipska doskonale odnajduje się również w innych formułach bliższych już klasycznemu dziennikarstwu. Dowodem publikowana w tej edycji „Krakowa” rozmowa (odróżnijmy ją, co ważne, od doraźnego prasowego wywiadu!) z Grzegorzem Turnauem. Prócz tego, że sama ciekawa i nieoczywista, jest też – miejmy nadzieję – początkiem takich rozmów Ewy Lipskiej prowadzonych dla „Krakowa” z rozmaitymi, czasem, mogłoby się zdawać, nader zaskakującymi osobami z różnych sfer naszego rodzimego życia.



Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.



Vloggerka z podróżniczą pasją

Tekst: Magdalena Oberc Zdjęcie: archiwum Aarii Martelle

Aria Martelle od dziecka marzyła o poznawaniu nowych, ciekawych miejsc i własnym programie w mediach społecznościowych. Choć rodzice nie byli przekonani, czy to dobry pomysł na życie, dziewczyna konsekwentnie realizowała swój plan, a jej nagrywany w języku angielskim videoblog o Polsce z miesiąca na miesiąc staje się coraz popularniejszy.

Jej mama jest Amerykanką, a tata Polakiem. Wprawdzie w dzieciństwie wielokrotnie wyjeżdżała do USA, ale większość życia mieszkała w Krakowie i właśnie tutaj chodziła do szkoły, o co miała wówczas trochę pretensji do rodziców. – Marzyłam, żeby uczyć się w Stanach, bo miałam w głowie wyidealizowany, disneyowski obraz tej amerykańskiej szkoły – wyznaje Aria. – Teraz wiem, że rodzice podjęli dobrą decyzję. Jednak zaraz po maturze zdecydowała się wyjechać do USA. Miała spreycyzowany plan: chciała zarobić pieniądze na spełnienie swojego marzenia – prowadzenie vloga podróżniczego. – Życie zweryfikowało moje wyobrażenia o tym kraju – opowiada. – Musiałam szybko dorosnąć i zacząć żyć na własną odpowiedzialność. To był trudny czas, ale niczego nie żałuję.

I dopięła swego: odwiedziła wiele egzotycznych wysp, a w 2017 roku zamieszkała na Malcie, gdzie zajmowała się marketingiem internetowym i prowadzeniem vloga. Jednak to właśnie film o Krakowie, zrealizowany podczas krótkiego urlopu w kraju, podbił internet i w krótkim czasie zyskał 250 tys. wyświetleń. To zadecydowało o jej powrocie do miasta, w którym się wychowała. – W Polsce prawie wszyscy mówią po angielsku i okazuje się, że połowa moich subskrybentów to Polacy. Ale mam też sporo obserwatorów wśród obcokrajowców – wyjaśnia Aria. – To miłe, kiedy piszą mi, że przyjeżdżają do Polski i odwiedzają miejsca, które polecałam.

Przyznaje, że początki nie były łatwe. Sama nauczyła się profesjonalnego montażu i promocji w mediach społecznościowych. Rodzice bardzo ją wspierają, chociaż początkowo nie byli zadowoleni, że nie zamierza pójść na studia. Jednak upór się opłacił: dziś całkiem nieźle funkcjonuje w internetowej przestrzeni

i jej kariera się rozwija. W czasie pandemii jej kanał zamienił się w „daily vloga”: Aria codziennie zamieszczała krótkie relacje – głównie o tym, jak wyglądało życie w czasie ob-

Dla Polaków jest bardzo amerykańska, a dla Amerykanów bardzo europejska, ale chyba właśnie to zawieszenie między dwoma kulturami sprawia, że jej filmy oglądane są tak chętnie.

ostrzeń. Właśnie te filmy wzniewały burzliwe dyskusje. Szeroko komentowano też filmy o różnicach kulturowych i o cechach charakterystycznych dla naszego kraju. Aria zauważa, że dla Polaków jest bardzo amerykańska, a dla Amerykanów bardzo europejska, ale chyba właśnie to zawieszenie między dwoma kulturami sprawia, że jej filmy oglądane są tak chętnie.

– Kraków ma artystyczną duszę i na pewno mnie ukształtował – opowiada Aria. – To zabawne, że dopiero realizując swoje marzenie o podróżach, przekonałam się, że Kraków jest najpiękniejszym miejscem na ziemi, a ludzie są go ciekawi.



Magdalena Oberc – absolwentka teatrologii, dziennikarka i PR-owiczka, zainteresowana tematyką społeczną i medycyną. Od kilku lat związana z Fundacją Ad Vocem, która przeciwdziała przemocy wobec dzieci.

Gródek, dominikanki i pompa benzynowa

Tekst: Krzysztof Jakubowski Zdjęcie: archiwum autora

Spacerując Plantami pomiędzy ulicami Mikołajską i Sienną, zwróćmy uwagę na malowniczą topografię miejsca, zwanego od stuleci Gródkiem. To tam urządzona była średniowieczna obronna siedziba wójtowska, zburzona po brzemennym w skutkach buncie wójta Alberta (1311–1312) za panowania Władysława Łokietka. Gródek włączono wówczas w obręb miasta i jego fortyfikacji, tworząc równocześnie tak zwany gród Łokietkowy. Przeniesiono także bramę miejską Rzeźniczą z terenu Gródka na ul. Mikołajską i odtąd zwano ją bramą Mikołajską.



Później na miejscu dawnej warowni osiadły dominikanki gospodarujące na Gródku od niemal 400 lat, bowiem teren ten zakupiły już w 1621 roku. Według tradycji było to wotum dziękczynne za zwycięską bitwę z Turkami pod Chocimiem, dar księżnej Anny z Branickich Lubomirskiej. Wkrótce wzniesiono tam klasztor, a w 1634 roku – po zaledwie dwóch latach od położenia kamienia węgielnego – ukończono budowę wczesnobarokowego kościoła pod wezwaniem Matki Bożej Śnieżnej.

W zabudowaniach klasztoru godna uwagi jest częściowo zachowana wspomniana brama Rzeźnicza (na fotografii skutecznie przesłonięta przez drzewa i krzewy), stanowiąca niegdyś istotny fragment średniowiecznych fortyfikacji Krakowa. Tak naprawdę jest to jedynie zamurowane i wkomponowane w klasztorny mur przedbramie – ryzalit z gotyckim ostrołukiem – które ocalało z akcji burzenia murów obronnych na początku XIX wieku. Przetrwało zresztą wyłącznie ze względów konstrukcyjnych, wspiera bowiem do dziś jedną ze ścian klasztoru.

Idąc dalej w kierunku ul. Siennej, na niezłe zachowanych relikwach murów obronnych – na wysokości kilku metrów – obejrzeć można osłonięte płytkim baldachimem ciekawe malowidło naścien-

ne przedstawiające Najświętszą Marię Pannę. Ponieważ obraz ten namalowany został na pamiątkę cudownego ocalenia klasztoru mimo podłożonego przez Szwedów ognia (1655 rok), zwany bywa też Madonną Szwedzką.

Przy głównym wejściu do klasztornej obejścia, od strony ul. Mikołajskiej, podziwiać można – tuż za bramą – kameralny wirydarz urzekający co roku bogactwem różnokolorowych odmian kwiatów. Pośrodku, na skromnej kolumnie, stoi figura Matki Bożej Niepokalanie Poczętej z pierwszej połowy XIX wieku.

Na fotografii z końca lat 30. ubiegłego stulecia zwraca uwagę odwieczna walka starego z nowym. Mamy bowiem XIX-wieczną pamiątkę w postaci postoi dorożek oraz pompę benzynową, jedno z kilku takich nowoczesnych urządzeń na terenie Krakowa, zwiastujących nadejście nowych czasów. Przynajmniej w komunikacji.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Siedem miliardów uśmiechów

Tekst i zdjęcie: Marta Gruszecka

... a twój jest moim ulubionym. Czyż to nie uroczy komplement na początek znajomości? Może być to również odpowiedź na pytanie: jakie miejsce wybrałaś/wybrałeś na nasze spotkanie?

Siedem miliardów uśmiechów, a twój jest moim ulubionym” to działająca od niemal dwóch lat kawiarnia zlokalizowana na skrzyżowaniu ulic Józefa i Krakowskiej, w sercu żydowskiego niegdyś Kazimierza. Urocza nie tylko ze względu na nazwę – gdy wchodzimy do środka, wita nas ściana z papierowych róż, spod której nieśmiało wyłania się miniaturowa *Dama z gronostajem*, uśmiech wywołują kolorowe fotele i gadzety wypożyczone zapewne od scenografów Wesa Andersona oraz specjalna ścianka z hasz-

wy i owoce, podany z palemką albo rurką w kształcie flaminga, poczujemy się jak na hawajskiej plaży. Gdzie Kraków, a gdzie Hawaje, może zatem w obliczu pandemii warto skosztować tropikalnych smaków tuż za rogiem? Zwłaszcza że o podniebienie smakoszcy dbają mili i uśmiechnięci, a jakże, barmani.

Podczas rekrutacji na te stanowiska właściciele tego miejsca musieli mieć chyba nie lada problem. Bo jak z siedmiu miliardów barmanów i barmanek wybrać tych i te, którzy śmieją się najpiękniej? Czy

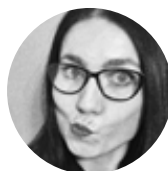


tagiem #selfie. Oj tak, autoportretów można tutaj zrobić mnóstwo, nie będzie zatem przesadą przyznanie kawiarni tytułu „Najbardziej instagramowe miejsca w Krakowie”. Któż nie chciałby mieć bowiem zdjęcia na tle różanego pola, trafić na plan filmu amerykańskiego reżysera albo udawać, że właśnie popija drinka w Muzeum Narodowym, podziwiając przy okazji jedno z najszynniejszych dzieł Leonarda da Vinci? Lajki gwarantowane.

Drinki to, poza frapującym wnętrzem, powód, dla którego zdecydowanie warto kawiarnię odwiedzić. Menu napojów z procentami jest bogate w autorskie koktajle, które, podobnie jak ściany „Siedmiu miliardów uśmiechów”, mienią się wszystkimi możliwymi kolorami. Za 20–35 zł wypijemy tutaj The Rose, czyli mieszaninę ginu infuzowanego butterfly pea tea, musu z owoców leśnych z miętą, syropu lawendowego z domieszką słynnego smakowego piwa. Wybierając Coronę Anty Virus z ginem, skórką pomarańczy, piwem Corona, cytrusami, wodą z młodego kokosa oraz strzykawką z owoców leśnych, gwarantujemy sobie odporność na podstępnego wirusa, a na pewno niezwykle doznania smakowe. Kusząc się z kolei na Aperol Ice Pops, czyli białe wino musujące, domowe lody na patyku, sok pomarańczo-

na proces rekrutacyjny składała się nie tylko rozmowa, ale też casting na uśmiech? Tego pewnie się nie dowiemy. Kiedy jednak na zewnątrz słońce, a nas dopadają jesienne smutki, możemy odwiedzić to jedno z wielu miejsc na Kazimierzu i sami zdecydować, czy właśnie kawiarnia przy Krakowskiej będzie naszą ulubioną.

Niektóre drinki: Corona Anty Virus i Jack (gin, trawa cytrynowa, skórka z limonki, mus malinowo-miętowy, piwo kraftowe) – 35 zł; Zapach kobiety (gin, lawenda, likier eiderflower, szaflwia, biało) – 26 zł; Paradise (gin, skórka z pomarańczy, tequila, piwo imbirowe, ogórek, limonka, ananas) – 25 zł. Ale jeśli trafimy na promocję, kupimy je za 19 zł. W kawiarni dostaniemy też inne alkohole, choćby piwo, lecz czy warto je pić, kiedy można skosztować czegoś gdzie indziej niespotykanego?



Marta Gruszecka – dziennikarka z lekkim piórem i łebskim żartem. Rozmówczyni, która potrafi słuchoać. Miłośniczka kotów – czarnych i ciapatych. Maratonka, która nigdy się nie poddaje.



Mural Justyny Posiecz-Polkowskiej na wschodniej ścianie Galerii Krakowskiej (Mall Wall Art 2013)

Artystyczny wirus. Szlakiem krakowskiej sztuki miejskiej

Tekst: Katarzyna Domagała Zdjęcia: Mateusz Łysik

W polskich miastach trwa moda na murale. Wychodzą spod ręki uznanych artystów, przyciągają uwagę mieszkańców i turystów, estetyzują przestrzeń, promują instytucje, edukują. W samym Krakowie jest ich ponad setka i wciąż przybywa nowych. Obok zaś na własnych zasadach rozwija się również ciekawa oddolna sztuka uliczna: graffiti, szablony, wlepy, plakaty.

W przeciwieństwie do pojęcia street art, które wyrosło z graffiti – rozumianego jako artystyczne działanie podejmowane oddolnie i nielegalnie, mające kontestować rzeczywistość – murale powstają jako efekt legalnej, twórczej kooperacji między artystą a instytucjami miejskimi, organizacjami ze sfery sztuki i kultury, deweloperami czy agencjami marketingowymi. Murale estetyzują przestrzeń, wzbudzają zaciekawienie przechodniów – w tym, co istotne, turystów. Niektóre edukują i popularyzują ważne dla miasta zjawiska oraz postacie. Te krakowskie powstały głównie podczas takich festiwali i projektów artystycznych jak ArtBoom Festiwal, Mall Wall Art czy 101 Murali dla Krakowa. Krótko mówiąc: jest co w Krakowie oglądać, jeśli chodzi o sztukę w przestrzeni miejskiej. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać.

Ukryte perełki w centrum

Zacznijmy od centrum. Z prostego powodu: tam znajdują się jedne z najciekawszych i najlepszych murali w Krakowie. Startujemy z Dworca PKP, konkretnie z peronów stacji Kraków Główny, aby w ca-

łej okazałości zobaczyć mural *Exit* Kamila Kuzki. To malarz i rysownik, wykładowca akademicki i twórca, kiedyś związany z nowojorskim nurtem graffiti. Swego czasu opowiadał mi, że kiedy pierwszy raz zobaczył ścianę przy Bosackiej 18, wjeżdżając pociągiem na dworzec, postanowił, że właśnie tam zrobi swój pierwszy krakowski mural. To było zaurczenie ścianą – ponoć rzecz zupełnie naturalna u artystów tworzących w przestrzeni miejskiej. Po otrzymaniu zgody miasta powstało malowidło utrzymane w konwencjonalnej, niewyróżniającej się kolorystyce – dominują biel i błękit. Trójwymiarowe schody prowadzą w górę, w zamgloną przestrzeń, donikąd. Po nich wchodzi męska postać w czapce, lecz bez głowy – charakterystyczny motyw w twórczości Kuzki. *Exit* idealnie wpisuje się w chłodny, industrialny charakter okolic Dworca Głównego. Intencjonalna lapidarność tego muralu ma jednak głębszy sens – budzi refleksje egzystencjalne, filozoficzne; zmusza odbiorcę do zatrzymania się i refleksji.

Z peronów stacji Kraków Główny w równie pełnej okazałości można podziwiać także monumentalne



Kazimierz, street art, Trololo, *Deszczowa piosenka*

dzieło Justyny Posiecz-Polkowskiej na wschodniej ścianie Galerii Krakowskiej, bo liczące 1,4 tys. m² powierzchni. Wystarczy obrócić się o sto osiemdziesiąt stopni. Artystce udało się stworzyć imitację słoików drewna z płaskorzeźb Jana Szczepkowskiego, do których praca ewidentnie nawiązuje. Projekt zwyciężył w konkursie Mall Wall Art zorganizowanym przez Galerię Krakowską i Miasto Kraków w 2013 roku. To jedna z najambitniejszych realizacji wśród malarstwa wielkoformatowego w Krakowie, bliska tym, jakie powstają na Zachodzie.

A skoro znajdujemy się przy Galerii Krakowskiej... Profesor Jerzy Jarzębski twierdzi, że Stanisław Lem marzył, aby pogrzebać w starej spróchniałej szafie albo w jednym z krakowskich mieszkań, a później szczegółowo opisać to doświadczenie w jednej ze swoich powieści. Co mógłby tam znaleźć? Wariacje na ten temat stworzył, a później przeniósł na północną fasadę Galerii Krakowskiej Marcin Czaja. To intrygujące malowidło – i niełatwe w wykonaniu ze względu na liczne krzywizny i otwory w ścianie budynku – pełne jest enigmatycznych elementów i dziwacznych stworów wyjętych wprost z *Cyberiady* czy *Bajek robotów*. Fantazyjne kształty i jaskrawe kolory sprawiają, że mural rozbudza wyobraźnię na długo.

Okolice Dworca PKP, a konkretnie alejki prowadzące do podziemnego przejścia na perony, niedaleko wjazdu na parking dworca autobusowego, to również trafiona propozycja dla miłośników graffiti. Można tam znaleźć wręcz wysyp ciekawych i różnorodnych tagów, miejscami przeplatanych formami klasycznego street artu: wlepkami, szablonami, mozaikami.

Gdzie instytucjonalizm spotyka się z oddolnością

Opuśćmy centrum i zmierzajmy na Kazimierz, dzielnicę zawsze kojarzoną z artystami. To tam, jeśli chodzi o sztukę w przestrzeni publicznej, najwięcej jest

Muralowy wirus zadomowił się w Krakowie na dobre i nic nie wskazuje na to, aby miał słabnąć. Jednak – w przeciwieństwie do innych wirusów – na tym miasto i mieszkańcy zyskują.

przykładów przeplatania się instytucjonalizmu z oddolnością i legalności z nielegalnością. – Street art, rozumiany jako działania artystyczne podejmowane oddolnie, stanowi wyraźną mniejszość w przestrzeni publicznej Krakowa, ale z pewnością nie należy przyjmować, że nic się w tej kwestii nie dzieje. Wystarczy pospacerować na Kazimierzu czy w Podgórzu, aby zobaczyć małe formy street artu – mówi Artur Wabik, artysta sztuk wizualnych, kurator, badacz popkultury.

Słowa „street” i „Kazimierz” natrętnie wywołują z pamięci fragment beztroskiego śpiewu bohatera *Deszczowej piosenki* „I'm happy again”, który tańczył w strugach deszczu w miejskim anturazie. Ta postać jest jednym z najbardziej rozpoznawalnych szablonów w całym Krakowie. Artysta skrywający się pod pseudonimem Trololo odbił ją na rogu Bożego Ciała w 2014 roku, sprawiając przechodniom oraz obserwującym jego profil na Facebooku mnóstwo frajdy. Szczególnie turyści namiętnie cykali sobie zdjęcia z bohaterem *Deszczowej piosenki* tańczącym z rynną. Podobnie zresztą było z poprzednią pracą tego twórcy – *Śpiewakiem Trololo*, który niezmiennie koncertuje przy Szpitalnej.

– Każdy z szablonów, które zrobiłem, miał inny cel, ale najczęściej chodziło to, żeby podzielić się ze światem pewnym skojarzeniem, refleksją albo osobistym przeżyciem, a w efekcie sprowokować odbiorcę do myślenia. Robiąc szablon w konkretnym miejscu, chciałem zmienić jego atmosferę, a może



Podgórze: Blu, *Never Follow*

i nadać mu nowe znaczenie? Kiedyś para zakochanych poprosiła mnie, abym zrobił im zdjęcie z *Deszczową piosenką*. Nie mieli pojęcia, że jestem jej autorem – mówił mi Trololo w 2018 roku. Wtedy też niespodziewanie zniknął z sieci i krakowskich ulic. Zresztą niedługo po tym, jak jego słynny *As Superbohater* ze skrzyżowania Miodowej i Jakuba (nieopodal sklepu monopolowego), wykrzykujący „Alkohol! Największa trucizna”, został pokryty białym regipsem w czarne ciapki. Tak działa nieugięte prawo ściany, z którym grafficiarze i streetartowcy nie dyskutują.

Brakuje znaków Trololo w Krakowie, ale zdaje się, że pojawił się twórca aspirujący na jego następcę – LeRaton (z franc. *szop*), również odbijający szablonny. W 2020 roku na Kazimierzu i bulwarach zaczęły pojawiać się uzbrojone w broń wojskową szopy, a to biały, a to fioletowy. Powoli opanowują resztę miasta. Na początku wakacji media rozpisywały się o pracy na Mostowej, która była ewidentnym zapożyczeniem od *Dziewczynki z balonikiem* Banksy’ego. Tylko zamiast dziewczynki, za odlatującym balonem nostalgicznie spoglądał Jarosław Kaczyński. Pracę zamalowano po kilku dniach.

Ostatnio w mieście przybyło też szablonów i wlepek o tematyce pandemicznej. Są wśród nich tajemnicze postacie w maskach gazowych, skaterzy w chustach, pielęgniarki w maseczkach chirurgicznych, no i – obowiązkowo – hasła: „Stay at home”, „Damy radę”, „Jeszcze wrócą piękne dni”.

A my wróćmy na legalną stronę barykady i prześledźmy murale na Kazimierzu. Większość z nich symboliką i estetyką nawiązuje do żydowskiej tożsamości dzielnicy, przełamując tym samym jej skomercjalizowany charakter. Proponuję skupić się dwóch malowidłach wykonanych podczas 23. i 24. edycji Festiwalu Kultury Żydowskiej przez artystów z Izra-

ela. *Judah* autorstwa Pila Peleda zajmuje prawie całą ścianę starej kamienicy przy Wawrzyńca 14 (obecnie trudno zobaczyć go w całości, ponieważ dolną część zasłaniają food trucki). Przedstawia żydowskiego chłopca o smutnym spojrzeniu w ogromnej czapce przypominającej głowę Lwa Judy – symbol Izraela. Pila Peled tak opisywał swoją inspirację: „Dziecko to mały, przerażony naród. W połączeniu z lwem – symbolem siły – przypomina wieczną walkę Żydów. Mural odkrywa również dziecko w każdym z nas. Uświadamia potrzebę walki z własnymi lękami. Juda symbolizuje siłę i prawość” (www.jewishfestival.pl).

Kolejny ważny dla Kazimierza mural wykonała przy placu Bawół (obecnie znajduje się tam parking) ekipa Broken Fingaz, co ciekawe: znana z odważnych i kolorowych popkulturowych projektów. Ten był ich pierwszą pracą czarno-białą. Tworzą ją żydowskie symbole, kobiece postacie, rabinowie, a także odwołania do głównego inspiratora dzieła: Maurycego Liliena, absolwenta krakowskiej ASP, jednego z pionierów stylu *nouveau*.

Enigmatyczne Podgórze i zabłocka mieszanka

Z Kazimierza przejdźmy spacerem do Podgórza, od razu na ulicę Józefińską 24, gdzie na ścianie jednej z największych podgórszych kamienic znajduje się głośna praca włoskiego artysty Blu *Never Follow* (znana również jako *Ding Dong Dumb*). Powstała w 2011 roku w ramach ArtBoom Festiwal. Mimo lapidarności barw, typowej dla estetyki Blu, rzadko pozostaje niezauważona przez turystów. Zarówno murale, jak i inne prace autorstwa włoskiego artysty cieszą się ogromną popularnością na całym świecie. Tłum bezosobowych, bezbarwnych postaci bezrefleksyjnie wsłuchuje się w głos zwracający się do nich z megafonu w kształcie dzwonu z wygrawerowanym herbem Watykanu. Na głowie jed-



Rondo Mogiłskie, Mikołaj Rejs, *Carmen*

nej z nich widnieje napis „Never Follow”. Odbiorca ma wrażenie, jakby obserwował wiernych podczas kazania, a może i sam w nim uczestniczył?

Potem zaś proponuję skierować się na modne w ostatnich latach Zabłocie. Przy ulicy Ślusarskiej, w anarchicznym skwerku znanym wtajemniczonym, odnajdziemy mieszkankę street artu, wielobarwnych tagów graffitiarskich i murali. Swego czasu chętnie tworzył tam Pieksta, artysta lubujący się w postaciach znanych z popkultury, szczególnie z amerykańskiego showbiznesu, kreskówek i seriali. Pracą Pieksta, o której zamalowaniu głośno było w mediach, była podobizna Joaquina Phoenixa w roli Jokera – właśnie z zabłockiego skweru.

Poprzemysłowa przestrzeń znalazła również miejsce na ważny mural o tematyce historycznej. *Liberator*, którego projekt przygotowali Dagmara Matuszak i Artur Wabik, pokrywa ścianę budynku przy ulicy Dąbrowskiego 14. Upamiętnia zestrzelenie amerykańskiego samolotu lecącego na pomoc powstańcom warszawskim.

Murale opanowały rondo Mogiłskie

Malowideł ściennych przybywa w horrenalnym tempie na rondzie Mogiłskim. Szczególnie odkąd siedem lat temu wzięli je pod opiekę fundacja Świadoma Przestrzeń i organizatorzy przedsięwzięcia 101 Murali dla Krakowa.

– Głównym celem projektu jest popularyzacja sztuki w przestrzeni publicznej, rewitalizacja zniszczonych i zaniedbanych przestrzeni, a także nadanie im estetycznego wyglądu – mówi Marcin Nawrocki, współpomysłodawca projektu.

I tak dzięki akcji 101 murali dla Krakowa w 2016 roku uznany hiszpański artysta DULK namalował surrealistyczny wielobarwny mural inspirowany legendą o smoku wawelskim. W ubiegłym

Ostatnio w mieście przybyło szablonów i wlepek o tematyce pandemicznej. Są wśród nich tajemnicze postacie w maskach gazowych, skaterzy w chustach, pielęgniarki w maseczkach chirurgicznych, no i – obowiązkowo – hasła: „Stay at home”, „Damy radę”, „Jeszcze wrócą piękne dni”.

zaś roku powstała równie intrygująca, utrzymana w klimacie fantasy i mitów słowiańskich, praca Mikołaja Rejsa *Carmen* nawiązująca do słynnej opery. Kobięcy duch przelatujący nad miastem przyciąga wzrok pięknem, enigmatycznością i baśniowością. Wskazuje na namalowany obok zapis nutowy trzech pierwszych taktów opery. I co najciekawsze: można ich posłuchać. Wystarczy zeskanować informację z kodem QR znajdującą się na przystanku.

Wielość szczegółów i barw, motywy baśniowe oraz konteksty starosłowiańskie to cechy rozpoznawcze twórczości Rejsa. Inne jego prace zobaczymy między innymi w Teatrze im. Juliusza Słowackiego, na murach Thesaurus Cracoviensis (oddziału Muzeum Historycznego Miasta Krakowa) czy Małopolskiego Instytutu Kultury.

Na rondzie Mogiłskim warto też zwrócić uwagę na jeden z najmłodszych krakowskich murali i jednocześnie oryginalny w formie *Wild City*. W wakacje dzikie zwierzęta opanowały filary na rondzie, wciągając przechodniów do świata lasu i dżungli.

Ornitologia i Wyspiański na krakowskich osiedlach
Skoro mowa o naturze, to podążmy szlakiem ornitologicznych murali Wojciecha Rokosza, powsta-



Osiedle Na Kozłowiec, Wojciech Rokosz, jeden z murali ornitologicznych

W Krakowie murale powstają na użytek lokalnych projektów, bez odgórnego programu – co można uznać za ich zaletę, bo dzięki temu rośnie ich różnorodność.

łych we współpracy artysty i spółdzielni osiedla Na Kozłowiec. Od 2018 roku artysta maluje na ścianach bloków różne gatunki ptaków, uwzględniając ich naturalne kolory i upierzenie, przez co odnosiśmy wrażenie, jakby ogromny żywy ptak spoglądał na nas ze ściany.

– Planowałem malować gatunki ptaków tylko z doliny Drwinki, dzikiego parku leżącego w granicach osiedla, ale gdy projekt zaczął się rozrastać, zaproponowałem mniej znane gatunki ptaków z całej Polski, dzięki czemu murale mogą pełnić funkcję edukacyjną – tłumaczy artysta.

Na osiedle sprowadziły się już dzięcioł zielony, żółna, kraska, zięba, zniczka, kaczka mandarynka i zimorodek. W sumie ptaków jest 13, a w planach kolejne!

W romans w muralami weszły również inne krakowskie osiedla, choćby Kurdwanów. Przy Storczykowej 4, blisko pętli tramwajowej, zobaczymy kolejną zapraszającą do refleksji ścianę Kamila Kuzki. Jej projekt wykonał ze studentami UJ podczas szóstej edycji Festiwalu Polikultura. Mural tworzą elementy klasyczne: postać kobiety i mężczyzny, jakby wyjęci ze starożytnej Grecji, prawdopodobnie kochankowie, oraz abstrakcyjne kształty w tle: geometryczne figury w różnych kolorach. Wnikliwi obserwatorzy odnajdą w nim nawiązanie do twórczości i myśli Wyspiańskiego, który jest jedną z głównych inspiracji artysty. W krakowskiej przestrzeni miejskiej zobaczymy jeszcze kilka malowideł Kamila Kuzki. Jedną z jego głośniejszych i bardzo dobrze widocznych prac –

z rogu Grzegorzeckiej i Chodkiewicza – to *Hermes prowadzący do Hadesu* z końca 2018 roku. W wakacje natomiast stworzył w mieście kolejny mural będący częścią ekologicznej kampanii informacyjno-edukacyjnej #EKOOrEWOLUCJA.

*

Artystyczny wirus zadomowił się w Krakowie na dobre i nic nie wskazuje na to, aby miał słabnąć. Jednak – w przeciwieństwie do innych wirusów – na tym miasto i mieszkańcy zyskują. – W Krakowie mamy kilka przykładów prac, które wpisują się w kontekst miejsca, w jakim powstały, co ma pozytywny wpływ na promocję miasta. Jest co oglądać, ale pamiętajmy, że murale – podobnie jak street art oddolny – lubią znikać. To naturalna kolej rzeczy – budynki są ocieplane, malowane, a parcele między nimi zabudowywane. Pojawiają się jednak następne malowidła, bo raz ruszona machina murali nie da się łatwo zatrzymać – mówi Artur Wabik.

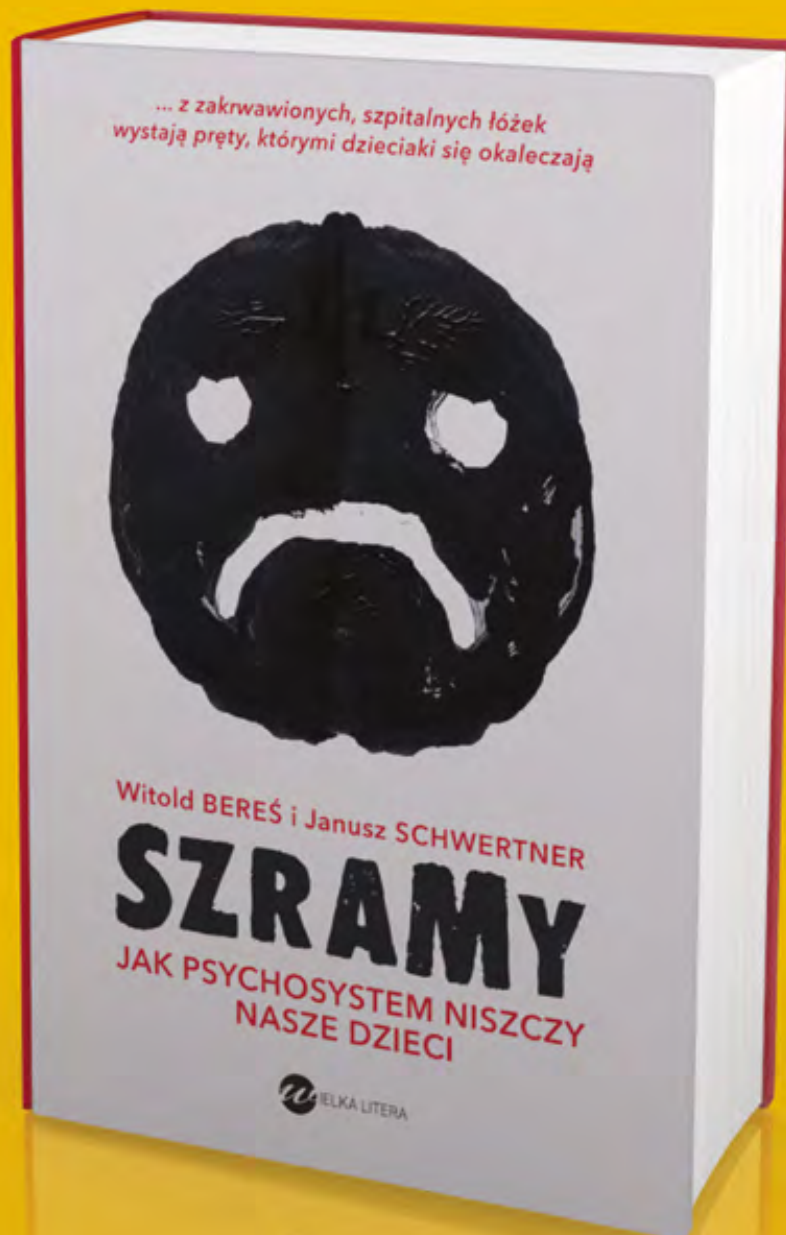
Jacek Szlak, twórca fanpage’u facebookowego *Street art Kraków* oraz redaktor naczelny portalu *Marketing przy Kawie* tak odnosi się do krakowskiej sztuki miejskiej: – Kraków nie musi chwalić się street artem. Ma do zaoferowania o wiele więcej. Sztuka w przestrzeni publicznej to tylko wisienka na torcie. W Krakowie murale powstają na użytek lokalnych projektów, bez odgórnego programu – co można uznać za ich zaletę, bo dzięki temu rośnie ich różnorodność.



Katarzyna Domagała – absolwentka Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej oraz Zarządzania Kulturą i Mediami; interesuje się kulturą współczesną oraz tematami społeczno-politycznymi. Miłośniczka kina Bergmana, rocka i jazzu progresywnego. W wolnych chwilach pisze i maluje.

Zauważ. Przytul. Wesprzyj. Uratuj.

Przerwij dramat niszczonych dzieci



PORTRETY 2020 (październik)

Opracował Witold Beres



Był geniuszem, któremu przyszło żyć w genialnej, a w każdym razie mitycznej, epoce. Tyle że były to też czasy tragiczne. A on na dodatek należał do dotkniętego tragedią narodu.

Dziś kojarzony jest – zresztą przecież tylko przez nielicznych – jako autor *Sklepów cynamonowych*, jednego z najważniejszych polskich utworów prozatorskich, oraz rysunków (także erotycznych) i obrazów (w tym legendarnych malowideł ściennych wykonanych podczas okupacji na „zamówienie” komendanta gestapo), a także symbol polsko-ukraińsko-żydowskiego Drohobycza i kolejna ofiara Zagłady.

Jego życie pasjonowało wielu – choćby Jerzego Ficowskiego, który już w PRL

próbował propagować dorobek Schulza i mozolnie zbierał wszelkie schulzowiana. Teraz – na podstawie tych zbiorów, ale też kwerend we wcześniej niedostępnych archiwach – Anna Kaszuba-Dębska (sama, co tu nie bez znaczenia, malarzka) kreśli zapewne najbardziej wyczerpującą biografię geniusza. Przy tym jest to portret nie tylko jego samego, ale też artystowskiego środowiska i czasów, w których przyszło mu żyć. I wreszcie: żydowskiej tradycji też przecież odbijającej się jego dzieła i losach. Rzecz ważna, przejmująca, a jeszcze tyleż z nostalgią, co pasją i werwą napisana.

Anna Kaszuba-Dębska, *Bruno. Epoka genialna*, Znak, Kraków 2020.



Nigdzie tak mocno nie wybrzmiałyby pewnie wystawa poświęcona Stanisławowi Pyjasowi jak w Bunkrze Sztuki. W końcu to parę kroków od Plant, w kamienicy przy ulicy Szewskiej 7 został zamordowany student polonistyki UJ. I rzeczywiście, pierwsze, co rzuca się w oczy przy wejściu do sali ekspozycyjnej, to dużych formatów zdjęcia przedstawiające zmasakrowane ciało młodego opozycjonisty. Obok znajdziemy wiele dokumentów związanych z tytułową sprawą Stanisława Pyjasa, film, w którym występują jego przyjaciele, i pokój przesłuchań – rodzaj instalacji, w którym odbiorca może wysłuchać pamiętników wrażliwego idealisty i spróbować poczuć strach, jaki ogarniał inwigilowanych przez SB młodych ludzi.

Wszystko to spełnia warunki dobrej wystawy historycznej, dającej wiedzę na temat działających w opozycji studentów i tego, co wydarzyło się 7 maja 1977 roku, kiedy to odnaleziono ciało ich kolegi Staszka. Jednak opuszczając wystawę, czuje się niedosyt. Jej autorką jest w końcu Dorota Nieznalska, po której można było się spodziewać, że przepuści historię Pyjasa przez siebie i dokona jej twórczej interpretacji. Ona jednak zostawia nas z surowymi faktami i dokumentami. Świadomy wybór czy bezradność artysty wobec tak niepożądanej śmierci?

Dorota Nieznalska, *Sprawa Stanisława Pyjasa*, wystawa w Bunkrze Sztuki, Kraków (do 18 października 2020 roku).



Ten film to Kraków widziany z krążownika – dokumentalny wizerunek miasta okresu międzywojnia podparty fragmentami tekstów i fotografii z „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”. Krążownika? Tak, bo siedziba „IKC” była w Pałacu Prasy „zacumowanym” między Wielopolem a Starowiśnią. Dostojna potęga gmachu wyposażonego w maszyny anten dalekopisów budziła bowiem zawsze skojarzenia marynistyczne – jasne więc, że nadane przez dziennikarza miano transatlantyku lub krążownika przyjęło się również powszechnie wśród krakowian. Mamy więc maszyny rotograwiturowe, które opuszczają kolejne numery – na przykład tygodnika

„Światowid”, mamy mało znane materiały archiwalne i atmosferę miasta, którą jeszcze gdzieś dzisiaj możemy odnaleźć... Dodatkowym walorem filmu jest jego formalna kłamra, jaką jest animowany film Krzysztofa Kiwerskiego *Kraków 1919–2004*.

Krążownik Wielopole, film dokumentalny; scenariusz, reżyseria i komentarz: Julian Rachwał; muzyka: Krzysztof Ridan; zdjęcia: Maciej Mroziewski, Tomasz Bury. Producenci: Małopolski Urząd Kultury, Urząd Miasta Krakowa, Biblioteka Kraków. Rok produkcji: 2019 (formalnie), ale dopiero zimą 2020 wszedł do dystrybucji.

Podwójne życie Grzegorza Turnaua

Rozmawiała Ewa Lipska Zdjęcia: Rafał Masłow/za wiedzą i zgodą NAU Music Agency

Grzegorz Turnau: Moje życie (cokolwiek to znaczy) z pewnością ma wiele wspólnego z muzykowaniem i każde mieszkanie, w którym nie ma pianina, jest dla mnie nudne. Może nie być telewizora, jednak bez klawiatury – źle. Ale tak naprawdę z muzyką jestem na bakier.

Ewa Lipska: Przypominam sobie takie sytuacje z dzieciństwa, kiedy to podczas rodzinnych spotkań odrywano nas od zabaw i zachęcano, aby coś zaśpiewać albo zarecytować jakiś wierszyk. Nienawidziłam tych chwil: śpiewać nie umiałam, a z wierszyków zapamiętywałam dwa-trzy wersy. Inne dzieci uwielbiały popisywać się przed dorosłymi... A Ty? Masz takie wspomnienia?

Grzegorz Turnau: Jak każde dziecko, jak każde „istnienie poszczególnie” – wolałem być akceptowany niż karcony. Więc pewnie jakoś tam – interesownie – gwiazdorzyłem. Jedna z cioc mawiała o mnie: taki jest słodki, dawajcie mu wódki, żeby nie urósł. Migawki z dzieciństwa to najczęściej dobre chwile, bo złe wspomnienia wypieram i nie mebluję nimi tak zwanej dorosłości. A złe to tylko te, kiedy bałem się dwóch rzeczy: oceny (egzamin) i odmowy (ambicja). To już się wlecze potem przez wszystkie następne lata. Nie, nie lubię się popisywać, ale lubię, kiedy to, co robię i uważam za dobre, jest docenione. Teraz zwróciłem uwagę na przywołane przez Ciebie słowo: „popis”. Za moich czasów szkolnych oznaczało ono tyle co „występ”.

Masz za sobą szkołę muzyczną, ale studio- wałeś anglistykę...

Szkoły muzycznej nie mam za sobą, bo jej nigdy nie skończyłem. Nie mam dyplomu. Mam ją raczej w sobie, bo ten czas (od 6 do 12 roku) jest w życiu prawdopodobnie najważniejszy, decydujący. Mam na temat edukacji muzycznej wiele nieprzyjemnych rzeczy do powiedzenia, ale chyba mi się już nie chce. Po prostu. Życie i tak rzeźbi wirtuozów po swojemu. Szkoły są lepsze i gorsze. Nie ma takiej, która wyprodukuje geniusza z drewna, nie ma też szkoły, która odbierze komuś talent. Może najwyżej zniechęci.

Szkoły muzycznej nigdy nie skończyłem. Nie mam dyplomu. Mam ją raczej w sobie, bo ten czas (od 6 do 12 roku) jest w życiu prawdopodobnie najważniejszy, decydujący. Mam na temat edukacji muzycznej wiele nieprzyjemnych rzeczy do powiedzenia. Życie i tak rzeźbi wirtuozów po swojemu.

Anglistyka to był czysty oportunizm (podstawówkę kończyłem w Anglii). Bawiłem się kulą ziemską (tak, Ewo!) i chciałem jakoś dryfować, w miarę luksusowo. Byłem bezczelny i beztroski. Otrzeźwiła mnie dwukrotna porażka na egzaminie wstępnym. Nie, nie z angielskiego. Z polskiego. Okazało się, że matura na „5” niczego nie gwarantuje. W końcu się dostałem i trochę studiowałem. Ale bez przesady. Pewnego dnia UJ zrezygnował z moich usług, a wtedy wróciłem już na stałe do czegoś, co jeszcze chwilę wcześniej było najbardziej znieawidzonym meblem – czyli do pianina.

Debiutowałeś na Studenckim Festiwalu Piosenki, potem trafiłeś do Piwnicy pod Baranami. Jak wspominasz ten czas?

Nic się z niczym nie zgadzało. Ani nie byłem studentem, żeby móc startować w tym festiwalu, ani potem nie byłem kimś, komu wolno było (jak u Gałczyńskiego) „w tajnych szynkach” pić „dziwne alkohole”. Prowadziłem podwójne życie, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Ale maturę zdałem. I niczego nie żałuję.

Chociaż oczywiście można by się czepiać. Nie przepadam za gloryfikowaniem Piwnicy z tamtych lat. Wesołe przygody i „nasza wyspa” to jedno, ale był też aspekt nonszalancji,

Nie przepadam za gloryfikowaniem Piwnicy z tamtych lat. Wesołe przygody i „nasza wyspa” to jedno, ale był też aspekt nonszalancji, która nie służyła jakości. Sobotnie kabarety stawały się dość rutynowe, powtarzalność i brak dyscypliny (próby były rzadkością) rozleniwiły. To dotyczyło wszystkich, także mnie.

która nie służyła jakości. Sobotnie kabarety stawały się dość rutynowe, powtarzalność i brak dyscypliny (próby były rzadkością) rozleniwiły i rodziły przyzwyczajenie – do czego? Do nieuchronnego sukcesu. To dotyczyło wszystkich, także mnie. Ten, komu jednak nie wystarczały rytualne sobotnie oklaski, prędzej czy później odchodził. Nawiązuje się czasem w tym kontekście do Nibylandii, Piotrusia Pana... Wolę wersję prawdziwszą: ci, którym bardziej zależało, musieli realizować swoje ambicje poza kabaretem. A jak już je zrealizowali, chętnie wracali na prawach gwiazd i Piotr był z nich dumny. Jest wiele takich przykładów.

No i tak muzyka stała się Twoim życiem. Nie umiem grać na żadnym instrumencie i zardroszczę wszystkim, którzy zamykają się w swoim muzycznym świecie. To zapewne świetna psychoterapia. „Kiedykolwiek zły duch porwał Seula, brał Dawid harfę i grał ręką swą; i pokrzepiał się Seul i lżej mu bywało...” (1 Krl, 1623).

Moja odpowiedź nie będzie zbyt przyjemna. Po pierwsze: nigdy muzyka nie stała się moim życiem. Moje życie (cokolwiek to znaczy) z pewnością ma wiele wspólnego z muzykowaniem i każde mieszkanie, w którym nie ma pianina, jest dla mnie nudne. Może nie być telewizora, jednak bez klawiatury – źle. Ale tak naprawdę z muzyką jestem na bakier. Od dzieciństwa. Muzyka to mózół. Słuchającemu – każe nadażać. Uczącemu się – każe nadażać. Grającemu – każe jeszcze bardziej nadażać. Zmusza, szantażuje. Jak już się naprawdę poważnie ją traktuje, zabiera wszystko. Emocje wywoływane muzyką mogą człowieka kompletnie zdewastować. Nie warto.

Ale – bywa też źródłem rozkoszy. Pod warunkiem że się jej nie traktuje „bebechowo”, tylko formalnie. Tak staram się podchodzić do muzyki. Najbardziej chyba jednak ciekawi mnie muzyka jako wehikuł dla tekstu. To mnie zawsze ekscytowało. Tekst (wiersz) był zawsze pierwszy. Jeśli można takie o sobie samym snuć teorie, to podejrzewam, że skreśliłbym w zupełnie inne rejony, gdyby dodatkowo nie pojawiła się pewna łatwość śpiewania. To mnie uruchomiło jako kompozytora. No i własna koncepcja gry na fortepianie. W tej kolejności.

Lubię oglądać stare filmy, na których Glenn Gould podśpiewując, gra na swoim ulubionym steinwayu. Pracując w Wiedniu, miałam kontakt z firmą Bösendorfer, którą później kupiła Yamaha. Lubiłam „głos” tego fortepianu. Czasem wydaje mi się, że dla pianisty fortepian to taki ulubiony pies, bliski przyjaciel... Masz swoją ulubioną markę?

Ale trafiłaś... To się dziś nazywa „lokowanie produktu” – mogę ulokować? Od dawna mamy w rodzinie Bösendorfera z 1919 roku. Dziesięć lat temu, dzięki współpracy z Yamahą, udało nam się go wyremontować w tym samym miejscu, w którym powstał, czyli w wiedeńskiej fabryce. Bösendorfery słyną z delikatnej intonacji. Takie melancholijne wieloryby. Nie jestem wykształconym pianistą, chociaż dużo w życiu grałem i mam swoje patenty. Mogę jednak potwierdzić to, o czym wiedzą wirtuozi: niektóre instrumenty grają same, chodzi tylko o to, żeby im nie przeszkadzać. I najczęściej nie jest to kwestia marki, lecz konkretnego egzemplarza. Chciałbym przy okazji zwrócić uwagę na cech stroicieli pianin i fortepianów. Spotkałem i znam wielu; zawsze z respektem dla ich rzemiosła przysłuchiwałem się tej z pozoru monotonnej, a pełnej zmysłowego napięcia pracy. Myślę, że to zawód w swej bezwzględnej samotności, w jakiej się go wykonuje, porównywalny tylko z pisarstwem. Zauważ, Ewo, że pianista (choć ćwiczy sam) jest od początku szkoły delegowany, niejako preparowany dla publiczności. Stroiciel (często doskonale grający na fortepianie) jest skazany na samotność. Jego dzieło wieńczy cisza.

Claude Debussy powiedział kiedyś, że muzyka zaczyna się tam, gdzie słowo jest bezsilne. Trudno się z tym nie zgodzić. Znam ten ból. Kiedy już mam całkowitą pustkę



Grzegorz Turnau (rocznik 1967) – kompozytor, piosenkarz i pianista, autor tekstów, aranżer. Gry na fortepianie uczył się w Szkole Muzycznej I stopnia im. Ignacego Jana Paderewskiego, jest absolwentem krakowskiego V LO, studiował anglistykę na UJ. W 1984 roku, jako licealista, otrzymał I Nagrodę na Studenckim Festiwalu Piosenki i trafił do Piwnicy pod Baranami, z którą związany był przez 13 lat. W 1991 roku ukazał się jego debiutancki album *Naprawdę nie dzieje się nic*. Od tego czasu wydał 16 solowych albumów i uczestniczył w kilkudziesięciu innych projektach fonograficznych.

Obecnie na scenie zwykle towarzyszy mu kilkuosobowy zespół (między innymi Jacek Królik – gitara, Leszek Szczerba – saksofon, Mariusz Pędziałek – obój, Cezary Konrad – perkusja, Robert Kubiszyn/Łukasz Adamczyk – bas, Michał Jurkiewicz – altówka, instrumen-

ty klawiszowe), a także kameralne zespoły smyczkowe. Współpracuje z wieloma wybitnymi artystami (między innymi z Anną Marią Jopek, Dorotą Miśkiewicz, Agą Zaryan, Janem Kantym Pawлуśkiewiczem, Andrzejem Sikorskim, Stanisławem Soyką).

Komponuje muzykę dla filmu i teatru, jest też kierownikiem muzycznym Teatru Lalka w Warszawie. Choć urodził się i mieszka w Krakowie, związany jest od dzieciństwa z Inowrocławiem, a także z województwem zachodniopomorskim, gdzie mieści się Winnica Turnau.

Jest laureatem wielu nagród, między innymi dziewięciu Fryderyków, dwóch Wiktorów, Grand Prix Festiwalu w Opolu. W 2016 roku został laureatem Nagrody Miasta Krakowa w dziedzinie kultury i sztuki.

Prywatnie – mąż flecistki Maryny Barfuss i ojciec Antoniny Kondrat.



Muzyka to mózół. Słuchającemu – każe nadążać. Uczącemu się – każe nadążać. Grającemu – każe jeszcze bardziej nadążać. Zmusza, szantażuje. Jak już się naprawdę poważnie ją traktuje, zabiera wszystko. Emocje wywoływane muzyką mogą człowieka kompletnie zdewastować.

w głowie, włączam „poezję dźwięku”. Ale Ty sobie radzisz ze słowem, bo wpisujesz je w swoje kompozycje...

Już o tym wspominałem: jestem czytelnikiem wcześniej, niż bywam kompozytorem. Dlatego nie mam na koncie prawdziwych hitów. Nie, to nie kokieteria. Tak zwane złote przeboje zazwyczaj powstają w odwrotnej kolejności: najpierw jest motyw, melodia, a potem pojawia się pytanie – o czym to jest? Mnie wymyślanie samych przebojowych melodii nigdy nie pociągało – wolałem szukać inspirujących tekstów (nawet wśród pozornie

nienadających się do śpiewania wierszy Ewy Lipskiej). Czasem śpiewałem własne, w kilku przypadkach bez obrzydzenia.

Spełniasz się na wielu muzycznych frontach. Myślę, że to ciekawe doświadczenie; muzyka dla teatru, dla filmu, aranżacje, współpraca z obrazem...

Teatr to jest w ogóle jakaś moja klątwa. Gdybym nie trafił do chóru w *Dziadach* w Starym Teatrze (już po śmierci Konrada Swinarskiego, kiedy rekrutowano nowy skład), to może bym dziś spokojnie żył w cywilu i na przykład rysował komiksy do gazet, bo to mnie strasznie wtedy kręciło. Przez jakiś czas chodziłem na akt (w szkole przy Bernardyńskiej były takie niedzielne komplety), ale zwyciężył (jak później przy wyborze anglistyki) mój oportunizm i szkolny teatr w V LO, gdzie mogłem już gwiazdorzyć na całego.

Od kilku lat jestem w zespole warszawskiego Teatru Lalka. Odbierałem w życiu różne branżowe nagrody, bardzo je cenię, ale największą frajdę sprawiły mi te za muzykę do spektakli robionych w *Lalce* z Jarosławem Kilianem. Dwukrotnie zresztą na bałkańskich

festiwalach – w Banja Luce i Suboticy. Moja praca dla teatru – nazwijmy to – familijnego (od lat taki termin jest najbliższy temu, co robimy z Kilianem) daje mi największą satysfakcję. Oczywiście – obok koncertów z zespołem. **Ale też „komponujesz” białe wino w swojej baniewickiej winnicy. Czy ono też „strapione serce rozwesela”, jak pisał Ignacy Krasiński?**

To dobra okazja, żeby w „Krakowie” sprostować kilka dotyczących mojej rodziny nieścisłości, bo docierają do mnie różne wersje. Po pierwsze: od co najmniej pięciu lat nie uczestniczymy z Marynią w Nowej Prowinacji przy Brackiej, którą to kawiarnię kiedyś współtworzyliśmy i z którą łączą nas najlepsze wspomnienia. To już jest jednak rozdział zamknięty. Po drugie: nie mam nic wspólnego z agencją nieruchomości prowadzoną w Krakowie przez mojego kuzyna o tym samym imieniu i nazwisku. Kiedyś przeczytałem, że jestem właścicielem „sieni noclegowni” – z przykrością informuję, że mam w Krakowie tylko jedną własną noclegownię. „Niech on już lepiej śpiewa” – powiedziała pewna pani, która korzystała z sieci. Nie orientuję się, nie korzystałem. Śpiewam. Natomiast po trzecie: tak! Jestem ze Zbyszkim i Jackiem Turnauami w spółce winiarskiej. Część naszej rodziny trafiła po wojnie na Pomorze Zachodnie, stąd odległa od Krakowa lokalizacja – Baniewice w powiecie gryfińskim. Nasza przyjaźń (co w rodzinie nie jest oczywiste) i wspólne zainteresowania zaowocowały tym, dość już głośnym, przedsięwzięciem. Pytasz o wino białe – które tak naprawdę nigdy białe nie jest – tymczasem wino, które powstaje w naszej winnicy, bywa też różowe, czerwone, a nawet pomarańczowe. Żeby nie robić kolejnego „lokowania produktu” – przekierowuję Cię, szanowna Ewo, na odpowiednią stronę. A w Baniewicach, nad winiarnią jest sala koncertowa, w której stoi – no, nie zgadniesz – Bösendorfer.

Wiele lat temu prowadziłeś w rozgłośni Polskiego Radia w Krakowie audycję motoryzacyjną, do której odważyłeś się mnie zaprosić. Lubimy te czterokołowe zabawki i nawet żartowaliśmy, że moglibyśmy założyć salon samochodowy. Zdaje się, że sypnęłam się tylko raz, przy mocy silnika, ale nie pamiętam jakiej marki. Popatrz, ile się od tego czasu

Wymyślanie samych przebojowych melodii nigdy nie pociągało – wolałem szukać inspirujących tekstów (nawet wśród pozornie nienadających się do śpiewania wierszy Ewy Lipskiej). Czasem śpiewałem własne, w kilku przypadkach bez obrzydzenia.

zmieniło... Za chwilę samochody będą nami kierować, a może nawet komponować pieśni.

„Opel Rally 1900 o mocy 102 KM” to jeden z rekwizytów Twojej poezji z lat 70. Nie ukrywam, że bardzo mi zaimponowała ta precyzja opisu technicznego w doskonałym wierszu *Wyznanie mężczyzny od którego kobieta odchodzi jak lato i powraca jak lato*. Po latach, w radiu, wokół koni mechanicznych faktycznie było trochę zamieszania. Twierdziłaś, że Twoja mazda ma ich 1500. To też jest poezja.

Salon Lipska & Turnau oczywiście by zbankrutował, bo ja bym nie chciał nikomu niczego sprzedać. Kiedyś zostałem wydelegowany przez kolegów z „Tygodnika Powszechnego” do pomocy w zakupie używanego samochodu z automatyczną skrzynią biegów dla żony Czesława Miłosza. Wtedy odbyła się moja pierwsza i ostatnia rozmowa telefoniczna z wielkim poetą. Wskazanego samochodu nie kupił.

Nie chciałbym jednak, żeby sprawy motoryzacyjne położyły się cieniem na naszej relacji, i tak już nadwerężonej przerabianiem przeze mnie Twoich wierszy na piosenki, bez Twojej wiedzy i zgody.



Ewa Lipska – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Benefis (pandemiczny) i medal „Za mądrość obywatelską”

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz

To był wzruszający, a zarazem pełen ciepłego humoru wieczór. I nie mogło być inaczej, bo jego bohaterką była Krystyna Zachwatowicz-Wajda. Postać wyjątkowa: w maju skończyła 90 lat, a polska kultura, a także sam Kraków, zawdzięczają jej mnóstwo. Społeczne z kolei zasługi Jubilatki doceniło jury przyznawanego przez nasz miesięcznik medalu „Za mądrość obywatelską”.

Krystyna Zachwatowicz-Wajda odebrała medal w Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej „Manggha” z rąk prezydenta Krakowa Jacka Majchrowskiego. Redaktor naczelny „Krakowa” Witold Beres podkreślił, że jury honoruje nade wszystko prawość postawy Krystyny Zachwatowicz. Ze swadą opowiadał, jak potrafi ona wpływać na życie innych ludzi. – Muszę podziękować, że i mnie pani zmieniła, uczuliła na los słabszych, w tym zwierząt, choć jestem starym mięsożercą – dodał.

– Pani Krystyna dostrzega problemy ludzi potrzebujących, upomina się o ekologię, przestrzega przed zalewającą nas falą nienawiści. Jej Polska to kraj szanujący prawa mniejszości, głęboko zakorzeniony w Europie i europejskiej kulturze, przyjazny obywatelom kraj demokracji – powiedział prof. Andrzej Romanowski w laudacji z okazji wręczenia medalu.

Prezydent Jacek Majchrowski podziękował Krystynie Zachwatowicz za imponujący wkład w rozwój artystyczny i naukowy Krakowa, a także za jej obecność w życiu publicznym – za słowa i gesty, które przeciwstawiają się wszelkiej małości, zakłamaniom i podziałom. Potem zaś wytłumaczył obecność na scenie intrygującego tortu zwieńczonego agrafką. Otóż w trakcie kręcenia filmowej wersji

Wesela w reżyserii Andrzeja Wajdy, Krystyna Zachwatowicz zostawiła przez przypadek w kostiumie Czepca, granego przez Franciszka Pieczkę, agrafkę. Realizatorzy uznali, że lepiej będzie, gdy ona tam zostanie, niż miałyby się wszystko rozsypać. – Myślę, że ta perfekcyjnie spinająca wszystko, symboliczna agrafka odnosi się dziś nie tylko do sukcesu *Wesela*, ale do całokształtu twórczej i społecznej pracy Pani Profesor, do każdej dziedziny jej aktywności, do wszystkiego, co zrobiła w Krakowie i dla Krakowa – podkreślił.

Podczas wieczoru przyjaciele pani Krystyny, którzy nie mogli przybyć na uroczystość, składali jej hołdy z ekranu. A już na żywo, we właściwy sobie liryczny sposób, dziękowali jej poeci Adam Zagajewski i Ryszard Krynicki. Zaś Witold Beres na zakończenie spotkania specjalnie dla pani Krystyny zatańczył. Ten niepowtarzalny występ, jak i cały benefis, można zobaczyć na PLAY KRAKÓW – pierwszej w Polsce miejskiej platformie do streamingu i oglądania wysokiej jakości programów audiowizualnych w usłudze VOD.

PS W następnym numerze opublikujemy słowo Krystyny Zachwatowicz po otrzymaniu medalu.

Krystyna Janda

Krysiu, Krysiu, Krysiu kochana! Zasługujesz na wszystkie wyróżnienia, nagrody i ukłony świata. Od początku jesteś w moim życiu. Jesteś i parasolem ochronnym, i inspiracją. Byłaś muzą Andrzeja Wajdy, czuwałaś cały czas nad jego projektami. Wielokrotnie byłam beneficjentką Twoich pomysłów, Twoich inspiracji i zakazów, Twojego entuzjazmu. Wychowałaś rzeszę młodzieży, która potem zajmowała się scenografią. Byłaś dla nich mistrzynią, wyrocznią, ale także kimś w rodzaju najbliższego człowieka, który dawał im rady nie tylko artystyczne, ale i życiowe. Dla mnie jesteś ważna jak sam Kra-

ków. A z Krakowem mam związki niezwykle emocjonalne.

Krysiu, jesteś bardzo ważną osobą w życiu Polski, bo jesteś wyrazistą, czynną obywatelką, przedstawicielką społeczeństwa, które w odpowiednim momencie trzeźwo reaguje. Zawsze jesteś po stronie demokracji, wolności, zdrowego rozsądku, umiaru, człowieczeństwa. Krysiu, życzę Ci wszystkiego dobrego i całuję mocno w imieniu aktorów, reżyserów, studentów scenografii, ludzi, którzy zajmują się filmem, zabytkami, historią sztuki, kulturą. Dziękujemy Ci wszyscy za to, co zrobiłaś.



Jerzy Radziwiłowicz

Krysiu, nie jestem w stanie podsumować i podliczyć tego, ile razy i z jakiej okazji mogłem uczestniczyć w naszych wspólnych projektach. Ale wiem, że przez te lata przechadzałem się po stworzonych przez Ciebie światach, czyli po twoich dekoracjach. A obydwójce dobrze wiemy, a Ty wiesz najlepiej, że dekoracja nie jest zwykłą zabudową sceny czy planu filmowego. To jest kreacja pewnej rze-

czywistości, w którą wchodzimy my, aktorzy. Dzięki kostiumom, które wymyśliłaś, a w których dane mi było grać, w jakiś sposób bywałem w Twojej wyobraźni. I za to wszystko chciałem Ci podziękować. Chciałem podziękować za Twoje ciepło, za Twoje rady, za to, że byłaś i za to, że jesteś. Chciałem ci jeszcze powiedzieć, że niezwykle się cieszę i uważam za wielkie szczęście to, że Cię poznałem.



Ewa Lipska

Dla Drogiej Krystyny Zachwatowicz

Dla Ciebie dzisiaj poematy,
ody, liryczne emblematy,
kantaty, arie, oratoria
i te życzenia pro memoria!
Od sympatyków, wielbicieli,
Hanki Polony oraz Treli,
od pasjonatów Twych talentów,

patriotycznych elementów,
stronników oraz poliglotów,
od fanów, miłośników kotów,
i czekających na Godotów.
Od wszystkich Polek i Polaków
spod wspólnych politycznych znaków!
Niech młodość wiecznie Cię uwodzi,
a szczęście nigdy nie zachodzi!

Jerzy Trela

Tobie grają wszystkie instrumenty,
Ciebie wiatr na ziemię z nieba przyniósł
I ku oczom twym po ścieżkach krętych
Idę w dzień i w noc, o pani Wenus.
Tłumacząc wszystkie sny w sennikach,
Sekret wszystkich spotkań i zaręczyn,
Palcem tkniesz i tańczy świat, i dźwięczy.

Krysiu kochana, dziękuję Ci za to, że jesteś.
Życzę Ci wszystkiego, co najlepsze. Dziękuję
za wszystkie Twoje dobre rady, za Twoją
obecność na spektaklach, w teatrze, za Twoje
kostiumy, w których grałem, i za wszystkie

kostiumy, które robiłaś do filmu i do teatru,
za przepiękne scenografie. Chciałem Ci też
podziękować za czas mojej młodości, który
spędzałem w Piwnicy pod Baranami, kiedy
wśluchiwałem się w twoje dowcipne, nostalgiczne
piosenki.

Tak jak w tekście, który powiedziałem
wcześniej, świat, który stworzyłaś, był śpiewający,
tańczący, piękny. Bądź i pilnuj tego
świata, twórz go dalej, bo piękno coraz częściej
nam ucieka, a Ty jesteś jego uosobieniem.
Całuję.

Barbara, Jerzy i Maciej Stuhrowie

Droga Krysiu, całujemy cię serdecznie i rodzinnie. Jesteśmy razem ciągle z tobą. Sto lat, sto lat...

Jurek Owsiak

Moja Droga Krysiu!

Mam wygłosić dla Ciebie laudację przed kamerą, ale powiem ci, że to jest piekielnie trudne zadanie. Już chyba po raz 48 z tym startuję i pewnie się to nie uda. Dlatego opo-

tam pomarańcze. Stanąłem po nie w długiej kolejce. Nikt nie był tam dla siebie miły. Mnie też udzieliła się ta nerwowość. Przede mną stała kobietka, drobna, miła, z ładnymi włosami. Pani ekspedientka ważyła dla



wiem Ci tu o sobie, choć może nie powinienem tego robić, tylko wymieniać wszystkie Twoje zasługi. Ale byłaby to encyklopedyczna wyliczanka, chłodna i nieprzystająca do tego, co chcę powiedzieć. A powiem Ci o sobie i o Dzidzi, gdyż widzę, po przeczytaniu poświęconej tobie i Andrzejowi książki, że wasz związek, tak jak nasz, jest związkiem głowy z szyją. Przyjrzałem się dzięki wam sobie i Dzidzi, i temu, jak my tworzymy swoje życie. Nagle zobaczyłem nieprawdopodobną analogię. Życzyłbym sobie, żeby nasze życie potoczyło się tak samo jak wasze, żebyśmy żyli w związku, w którym decydujemy wspólnie o wszystkim.

Ale muszę opowiedzieć Ci jeszcze jedną historię. Był 1987 rok. Na Żoliborzu miałem pracownię witraży. Obok, na placu Wilsona były delikatesy. I kiedyś pojawiły się

niej kilogram pomarańczy, bo dawali tylko po kilogramie, i równocześnie oświadczyła, że ten pożądany towar właśnie się skończył. Została tylko jedna pomarańcza, którą ekspedientka postanowiła dołożyć tej pani. Wtedy odezwałem się, że też bym chciał przynajmniej tę jedną. Ta pani się odwróciła i powiedziała: „Proszę bardzo, może pan weźmie tę pomarańczę, ja panu ją oddam”. Zgłupiałem. Nie wiedziałem, jak się zachować. Chciałem jej za nią zapłacić. Wtedy odrzekła, że absolutnie się nie zgadza i dodała: „Niech ta pomarańcza będzie bardzo słodka”. Krysiu, czy to Ty nie byłaś przypadkiem tą panią, tym cudownym aniołem? Ta jedna pomarańcza osłodziła mi całe lata i dała nadzieję na to, że ludzie mogą być mili. Jeżeli ten gest nawet nie był od Ciebie, to i tak był od Ciebie.



Szymon Nehring urodził się w 1995 roku w Krakowie. Naukę gry na fortepianie rozpoczął jako pięciolatek, uczył się w krakowskim Zespole Szkół Muzycznych im. M. Karłowicza i w Państwowej Ogólnokształcącej Szkole Muzycznej II st. im. F. Chopina w Krakowie (klasa Olgi Łazarzkiej). Studiował w klasie prof. Stefana Wojtasa w krakowskiej i bydgoskiej Akademii Muzycznej i u Borisa Bermana w Yale University w New Haven.

Był stypendystą m.in. Klubu Krakowskiego, Krajowego Funduszu na Rzecz Dzieci i Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. W latach 2003–2014 został laureatem dwu-

nastu międzynarodowych europejskich konkursów pianistycznych dla dzieci i młodzieży. W 2015 oprócz wyróżnienia w XVII Międzynarodowym Konkursie im. F. Chopina w Warszawie otrzymał też nagrodę publiczności i stypendium Krystiana Zimermana. Także dwa lata później w Tel Awiwie obok I nagrody otrzymał także cztery dodatkowe, w tym publiczności. W 2017 wyróżniony został także nagrodą Koryfeusz Muzyki Polskiej w kategorii Osobowość Roku. W 2018 został laureatem International Classic Music Awards za nagrania chopinowskie dla firm Deutsche Grammophon i DUX. Koncertuje na całym świecie.

Artystyczna codzienność

Rozmawiała Anna Woźniakowska Zdjęcie: Bartek Barczyk – Archiwum Stowarzyszenia im. L. v. Beethovena

Szymon Nehring: Celem życia nie jest pokazywanie innym, jak interesującą jest się osobowością, ale odnalezienie tej osobowości w sobie, poznanie tego, co w nas indywidualne.

Jest krakowianinem, jedynym Polakiem wyróżnionym w XVII Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. F. Chopina i pierwszym polskim pianistą, który zwyciężył w Międzynarodowym Konkursie im. Artura Rubinsteina w Tel Awiwie.

Anna Woźniakowska: Spotykamy się po 19.00, bo do tej godziny może Pan ćwiczyć w domu. Czy pertraktacje z sąsiadami trwały długo?

Szymon Nehring: Nie. Rozmawiałem z nimi na ten temat już w trakcie kupna mieszkania, a potem trzeba było tylko doprecyzować szczegóły. Mogę spokojnie pracować, nie narzekam.

A sąsiedzi?

Chyba też nie, przynajmniej nie werbalizują tego.

I kiedy może Pan grać?

Pomiędzy 10.00 a 19.00.

Jeśli jest Pan w Krakowie, to wypełnia Pan ten czas muzyką?

Nie cały. Z reguły ćwiczę sześć godzin dziennie.

A co jest podstawą opanowywania przez Pana nowego repertuaru?

Na to składa się kilka elementów: praca przy fortepianie, analiza materiału nutowego dokonywana bez instrumentu i myślenie o utworze. Każdy jest równie ważny, choć wydaje mi się, że – przynajmniej obecnie – najważniejszy dla mnie jest ten ostatni. Kiedy przemyślę dany utwór, praca przy instrumencie jest znacznie łatwiejsza. Kiedy zaczynałem poznawać jakiś utwór przy fortepianie, sama gra pochłaniała mnie na tyle, że umykały mi pewne problemy, dłużej dochodziłem do ich rozwiązania, na przykład do odnalezienia wyrazu właściwego dla danego utworu.

Liczba koncertów nie jest najważniejsza. Ważne, gdzie te koncerty są. Koncerty sprzyjają większemu otwarciu się, ale tylko do pewnego momentu. Zbyt liczne mogą być niebezpieczne, prowadzą do rutyny.

Niektórzy muzycy biorą kilka nagrań, słuchają i wybierają to, co im najbardziej odpowiada.

To nic nie daje. Przyznam się, że z autopsji znam tę praktykę. Wtedy nie odczuwałem jeszcze potrzeby odkrycia, co dany utwór dla mnie osobiście znaczy. Posłuchanie innych pianistów może być inspirujące, ale nie pogłębia rozumienia muzyki. Żeby zrozumieć, trzeba ją odczytać po swojemu.

A kiedy Pan zrozumiał, że najważniejsze jest to, co Pan na temat danego utworu myśli, czuje i wie?

Właściwie nie tak dawno, to się powoli kryształizowało. Chyba około roku 2013 zacząłem poważnie zajmować się muzyką, choć grałem od dziecka. To było kilka lat intensywnego zdobywania wiedzy o stylach, o estetyce, a nawet o samej grze na fortepianie w sensie nie tylko technicznym, ale całościowym – rzemieślniczym. Kiedy samo rzemiosło pianistyczne zeszło na plan automatyczny, pojawiło się miejsce na pracę intelektualną, na myślenie o tym, co w muzyce nieuchwytnie i co w niej jest mojego, osobistego, co mogę poprzez dany utwór powiedzieć.

Przełądnęłam Pana kalendarz w tym roku. Pomijam koncerty krajowe, ale do marca to między innymi Genewa, Jerozolima, Rzym, Tbilisi, Gstaad, Monachium... Ile koncertów daje Pan rocznie?

Szczerze mówiąc, nie liczę. W sezonie 2018/2019 miałem ich chyba blisko siedemdziesiąt. W minionym sezonie zaplanowanych było mniej, około pięćdziesięciu.

A więc prawie co tydzień. To nie męczy? W Pana wieku jeszcze się tego nie odczuwa?

Oczywiście czuję wysiłek, ale lubię to. Liczba koncertów nie jest dla mnie najważniejsza. Ważne, gdzie te koncerty są. Poza tym potrzebuję czasu na pracę nad repertuarem, nad pogłębianiem swej muzykalności. Koncerty sprzyjają większemu otwarciu się, ale tylko do pewnego momentu. Zbyt liczne mogą być niebezpieczne, prowadzą do rutyny.

W końcu marca Europa stanęła w miejscu. Pan też musiał się zatrzymać.

Pojechałem pod Kraków, do letniego domku. Mam tam elektryczną klawiaturę, skupiłem się na opracowywaniu nowego repertuaru, na przemyśleniu pewnych spraw.

Był też czas na odpoczynek?

W moim wieku i w samotności, jaką niesie

Nie wyobrażam sobie przyszłości tylko z nagraniami. No i ta świadomość kiepskiej jakości brzmienia fortepianu w przekazie internetowym... Na szczęście życie koncertowe powoli się odmraża i w kraju, i poza granicami. Są już pierwsze terminy, ale jak to będzie, czas pokaże.

mój zawód, odpoczynek jest związany z kontaktem z ludźmi. Relacje społeczne są dla mnie bardzo ważne. Koronawirus je unieвозмоżliwił.

A pomyślał Pan o tym, że plan na życie okazał się kruchy i może być nie do spełnienia?

Nie, wciąż mam nadzieję że pandemia wreszcie się wyciszy. Byłem zresztą w nieco lepszej sytuacji niż inni znajomi muzycy, bo jednak koncertowałem. W kwietniu miałem recital chopinowski w Radiu Gdańsk, w maju wystąpiłem z Janem Englertem w wieczorze chopinowsko-norwidowskim przygotowanym przez Teatr Wielki – Operę Narodową, transmitowanym przez Program II Polskiego Radia, grałem w Żelazowej Woli, w Łazienkach... Oczywiście to wszystko *online*, bez

publiczności, a mnie to sprzężenie zwrotne, to, co płynie od słuchaczy na estradę, jest potrzebne, buduje atmosferę, napięcie. Nie wyobrażam sobie przyszłości tylko z nagraniami. No i ta świadomość kiepskiej jakości brzmienia fortepianu w przekazie internetowym... Na szczęście życie koncertowe powoli się odmraża i w kraju, i poza granicami. Są już pierwsze terminy, ale jak to będzie, czas pokaże.

W październiku mieliśmy przeżywać emocje kolejnego Konkursu Chopinowskiego, ale przez pandemię będziemy czekać na nie jeszcze rok. Przed pięcioma laty znalazł się Pan w gronie laureatów Konkursu, dwa lata później jako pierwszy Polak wygrał Pan Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. A. Rubinsteina w Tel Awiwie. Czy to otworzyło Panu świat?

Jeszcze 20, 30 lat temu to wystarczyłoby do wejścia na światową arenę, ale wówczas było po prostu mniej pianistów. Teraz nie jest takie proste. Wygranie renomowanego konkursu daje oczywiście sporo, wyłuskuje z tłumu, jednak nie otwiera kariery na zawsze. Ma się swoją chwilę, ale jak się ją wykorzysta, to już jest sprawa indywidualna. Trzeba mieć dobrego menażera, żeby dobrze zacząć drogę artystyczną, bo karierę buduje się całe życie. Ja jestem dopiero na początku.

Urodził się Pan 25 września 1995 roku, a więc skończył Pan ledwie dwadzieścia pięć lat.

Uważam, że do trzydziestki jestem na etapie początkowym, jeszcze wiele może się wydarzyć.

Ma Pan zamiar startować w jakimś konkursie? Jest Pan jeszcze w wieku nazywanym „konkursowym”.

Nie wiem. Chwilami myślę o Konkursie im. Czajkowskiego w Moskwie lub Konkursie królowej Elżbiety w Brukseli, a może Van Cliburna w Stanach Zjednoczonych? To są najpoważniejsze zmagania pianistyczne oprócz Warszawy i Tel Awiwu. Dają laureatom możliwość zagrania w przyszłości wielu koncertów, a o to przecież chodzi...

... koncertów z renomowanymi orkiestrami, z dobrymi dyrygentami... Czy od dyrygentów można się wiele nauczyć?

Spotkałem kilku dyrygentów szalenie inspirujących. Chyba najciekawszy był David Zinman. W ubiegłym roku grałem pod jego batutą *I Koncert fortepianowy Beethovena*

z Tonhalle Orchester Zürich. Niewiele mówił, ale jego rozumienie muzyki było fascynujące. Inspirujący był Jerzy Maksymiuk, gdy graliśmy razem *Rapsodię na temat Paganiniego* Rachmaninowa...

A czy zdarzyło się Panu zmienić interpretację pod wpływem dyrygenta?

Współpraca z dyrygentem prawie zawsze jest poszukiwaniem kompromisu, choć czasem ze szkodą dla muzyki. Ale zdarzyło się nie raz, nie dwa, że pod wpływem sugestii dyrygenta popatrzyłem inaczej na jakiś fragment partytury, zrozumiałem że w moim odczytaniu tego tekstu muzycznego, przykładowo, zabrakło logiki. Poza tym od dyrygentów uczę się orkiestry, cech charakterystycznych poszczególnych jej sekcji, a to wiedza niezbędna do budowania spójnej interpretacji danego utworu. Choć sporo już grałem z różnymi orkiestrami, wciąż brakuje mi doświadczenia w tej dziedzinie.

Czym dla Pana było wyróżnienie w Konkursie Chopinowskim? Niektórzy twierdzą, że ciąży on nad każdym polskim pianistą, że udział w nim jest pewnego rodzaju obowiązkiem.

Nie czułem tego rodzaju presji. Na rok przed konkursem mój profesor Stefan Wojtas zapytał, czy chciałbym spróbować swoich sił. Część potrzebnego repertuaru miałem opanowaną, resztę trzeba było przygotować. Decyzja okazała się trafna choćby ze względu na to, co mi ten konkurs dał, ze względu na doświadczenie jakie zdobyłem, na koncerty, które potem zagrałem. Ale nie byłem w pełni zadowolony z poziomu mojego przygotowania, z tego jak grałem. Niektóre utwory były za świeże, jeszcze nie w pełni przemyślane. Dziś mogę powiedzieć, że to były trochę pierwsze koty za płoty. Mnie w ogóle nie interesuje rywalizacja konkursowa, punkty, statystyki, bo one oddalają nas często od tego, co najważniejsze, czyli od muzyki. A sednem konkursu powinno być jak najlepsze przygotowanie repertuaru i zaprezentowanie go na możliwie najlepszym poziomie, żeby poruszyć jurorów i publiczność. W ogóle marzyłyby mi się konkursy zbliżone do atmosfery festiwalu, a nie do zawodów sportowych. Celem życia nie jest pokazywanie innym, jak interesującą jest się osobowością, ale odnalezienie tej osobowości w sobie, poznanie tego, co w nas indywidualne. Kon-

kurs powinien wygrywać ten, u kogo jurorzy znajdą zdolność dzielenia się z słuchaczami swą wyjątkową wrażliwością muzyczną przez najbliższe dziesięciolecia. A to można osiągnąć tylko szczerością.

Udział w konkursie wymaga odporności psychicznej. Ma Pan tremę?

Oczywiście, ale jakoś sobie z nią radzę. Nie ma chyba ludzi, którzy nie stresują się wyjściem na estradę, przed publiczność. I to bez względu na doświadczenie. Często obserwuję jak z tremą – czasem straszna – łamią się nawet najwybitniejsi pianiści i jak w trakcie recitalu muzyka zwycięża nad nerwami. Mimo że wiele na ten temat myślałem, wciąż nie wiem, od czego zależy, że jednego dnia je-

Wygranie renomowanego konkursu daje oczywiście sporo, wyłuskuje z tłumu, jednak nie otwiera kariery na całe życie. Ma się swoją chwilę, ale jak się ją wykorzysta, to już jest sprawa indywidualna.

stem spokojny, a innego dopada mnie trema. Po prostu tak jest, to jest wpisane w zawód.

Wybrał Pan ciężki zawód...

Czy ja go wybrałem? Po prostu lubiłem muzykę, lubiłem grać. W pewnym momencie punkt ciężkości przesunął się na ćwiczenie, na pracę nad utworem. A że to, co mnie najbardziej interesuje, stało się moim zawodem, to chyba dobrze.

Podobno gdy robi się to, co się lubi, to się nie pracuje.

Coś w tym jest, ale żeby dobrze robić to, co lubię, muszę się napracować.

Także fizycznie.

Tak, ale największy jest wysiłek emocjonalny. To jest rzeczywiście trudne w tym zawodzie. Szachiści mają różne zajęcia fizyczne, umożliwiające im pełną koncentrację intelektualną na zawodach. Pianiści również powinni dbać o formę fizyczną i psychiczną, by móc zachować świeżość emocjonalną.

I Pan dba?

Oczywiście, pływam, gimnastykuję się, chodzę na rehabilitacje...

To strona fizyczna, a odpoczynek intelektualny?

Rywalizacja konkursowa, punkty, statystyki oddalają nas często od tego, co najważniejsze, czyli od muzyki. A sednem konkursu powinno być jak najlepsze przygotowanie repertuaru i zaprezentowanie go na możliwie najlepszym poziomie, żeby poruszyć jurorów i publiczność. Marzyłyby mi się konkursy zbliżone do atmosfery festiwalu, a nie do zawodów sportowych.

Też różny. Teraz uczę się francuskiego. Bardzo mi się ten język podoba i praca nad nim jest świetną odskocznią od nut.

Władza Pan...

... angielskim dobrze, niemieckim znacznie gorzej, bo jakoś nie mogę się do niego przekonać. Lubię też odpoczywać w plenerze. Kontakt z naturą daje spokój. Polska jest pięknym krajem, u nas wciąż można znaleźć prawdziwie wiejskie klimaty i tereny mało zaludnione. Tam regeneruję się wyśmienicie, w czym pomaga poczucie, że jest się u siebie.

Co to znaczy „u siebie”?

Nie potrafię tego zdefiniować. W ostatnich latach wiele podróżowałem i wiem, co to znaczy nie czuć się u siebie. To nie chodzi o krajobrazy czy język, choć on jest ważny, ale o mentalność. Oczywiście widzę nasze wady, ale mam po prostu dużo sentymentu do Polski.

Na początku roku w prasie pojawiły się artykuły dotyczące naszego szkolnictwa muzycznego, szczególnie średniego szczebla. Negatywnie oceniano zajmowanie się jedynie tymi uczniami, którzy na licznych przeglądach i konkursach zyskują nagrody, ze szkodą dla pozostałych, bo według liczby tych nagradzanych ocenia się pedagogów. Czy w swoich latach szkolnych obserwował Pan takie zjawisko?

Byłem w grupie uczestniczących w przeglądach i konkursach i chyba miałem przez to trochę łatwiej w szkole. Nasze szkolnictwo muzyczne, zorganizowane niegdyś na wzór radziecki, rzeczywiście skupione jest na wyprodukowaniu najlepszych, najbardziej sprawnych uczniów, laureatów konkursów.

To są takie szkoły mistrzostwa muzycznego. Ale za mało w nich rozbudzania miłości do muzyki i poszukiwania własnego „ja”. Studiowałem także w Stanach Zjednoczonych i miałem okazję przyjrzenia się tamtejszym szkołom. To zupełnie inny biegun. Tam niemal każdy zajmujący się muzyką uważa się za geniusza, choć czasem brakuje mu podstawowych wiadomości z zakresu teorii, instrumentacji, kompozycji... Nie ma tam takich nakazów i obowiązków jak w naszych szkołach. To też nie jest dobre. Właściwie najlepsze byłoby jakieś wyśrodkowanie, ale czy jest ono możliwe? Może muzycy z Europy poddawani rygorom powinni jakiś czas spędzać na studiach w Stanach, by się pozbyć kompleksów, a tamtejsi przyjeżdżać do Europy?

Patrzę na półkę na ścianie. Książki są dla Pana ważne?

Tak, choć ze wstydem muszę się przyznać, że stosunkowo niedawno odkryłem powaby lektury. W dzieciństwie nie byłem mołem książkowym, a i dziś nie zawsze mam czas na czytanie. Moje lektury są bardzo różne, staram się rozeznac w nich i znaleźć to, co mnie najbardziej interesuje.

To znaczy? Gdyby miał Pan podać trzy nazwiska pisarzy?

To dzisiaj byłby... Dostojewski, Hłasko i Houellebecq. Oczywiście ważne miejsce w moich lekturach zajmują książki o muzyce i muzykach, szczególnie kompozytorach. Poznanie charakteru twórcy jest przydatne w interpretacji jego dzieł. Można potem w dźwiękach odnaleźć osobowość kompozytora.

Czy w czasie swoich podróży artystycznych ma Pan czas, by korzystać z tak zwanych dóbr kulturalnych miejsca, w którym Pan się znajduje?

Dotąd czasu było na to niewiele, ale zawsze starałem się widzieć coś więcej niż lotnisko, hotel i sala koncertowa. Zachwyciłem się Galerią d'Orsay w Paryżu, ciekawy jest Nowy Jork... A dobrem kulturalnym, które najłatwiej poznać, jest kuchnia. Lubię gotować i lubię dobrze zjeść.



Anna Woźniakowska – teoretyk muzyki, absolwentka Akademii Muzycznej w Krakowie. Od lat tłumaczy czytelnikom i słuchaczom, że muzyka ułatwia życie.

„Oby nie zatopił nas pandemiczny socrealizm”

Rozmawiała Elżbieta Wojnarowska Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Prof. Marta Wyka: Przyspieszenie cywilizacyjne i obyczajowe to cecha naszej współczesności i nie chroni przed nią ani krytyka, ani medytacja, ani egzystencjalne przerażenie. Nie zamierzam bić się z silniejszym przeciwnikiem. Razi mnie jednak niezamierzona głupota tych czasów oraz brak pokory wobec wiedzy i wybitnych cech umysłowych. Ludzie są przez to inaczej ukształtowani. Mistrzowie odeszli.

Elżbieta Wojnarowska: W swoich książkach dużo piszesz o dzieciństwie, młodości. Ojciec pełni w nich rolę szczególną...

Marta Wyka: Nie mam wrażenia, że postać ojca w tych książkach jest aż tak wyrazista. Bo to jest jednak postać – czyli pewien szkic literacki. Osoba natomiast, człowiek – tutaj trudno mi się wypowiadać. Jaki był Kazimierz Wyka? Odgrywał na pewno w swoim życiu wiele ról, ale ja nie widziałam ich wszystkich. Lubiłam kibica Cracovii, bawiły mnie rytuały wyjazdów z kolegami na mecze, podziwiałam wybitną znajomość innych sztuk, przede wszystkim malarstwa (ale sam w tej dziedzinie nic nie próbował). Nie zajmował się specjalnie moim wychowaniem, wychowywał mnie dom jako pewna całość: mama, ojciec, babcia, po części liczne pomoce domowe. To był dom w starym stylu, międzywojennym. Po latach moje koleżanki mówiły, że uważały mnie wówczas za osobę uprzywilejowaną: lekcje fortepianu (duża męka), pani od francuskiego, potem pani od angielskiego (tutaj lepsze nieco efekty), wakacje na wsi wraz z całym wyposażeniem (mama, służąca, żadne kolonie). Słowem, uważałam, że hierarchia mojego rodzinnego domu jest zupełnie naturalna. Ale dość szybko to wygodne gniazdo opuściłam.

Dziecko zaczytane w książkach z biblioteki ojca, skazane było niejako, jak sama piszesz, na bycie „młodocianym historykiem literatury”. Długo się przed tym broniłaś?

Nigdy. Lubiłam to, szukałam tego. Nic innego mnie nie pociągało. To znaczy szukałam wciąż nowych opowieści albo je sama wymyślałam.

Czy pójście drogą wytyczoną wcześniej przez ojca, czyli jakby stąpanie po jego śladach, okazało się łatwe czy trudne?

Tej drogi ojciec na pewno mi nie wytyczał. Być może na nią liczył w głębi ducha, ale ze mną o tym nie rozmawiał. W ogóle nie był zbyt rozmowny. Nie żyłam w kokonie zawodowego przeznaczenia, zbudowanym przez ojca. Nie odczuwałam nacisku mentorstwa. Zgoda, miałam pewne przywileje – ale nie zobowiązania. Nie musiałam być badaczką literatury.

W życiu zawodowym obrałaś kierunek zainteresowań prawie taki sam jak Kazimierz Wyka. Ile było w tym nieuchronności, a na ile świadomej decyzji? Spotkało się to z aprobatą taty?

Kierunek podobny, ale tylko momentami. Gałczyński? Tak, ojciec go znał, pisał o nim, łączyły ich powojenne lata w Krakowie, gdzie każdy na swój sposób opiekował się Kostkiem. Dla mnie należał on już do tradycji, do przeszłości, swoją książkę o nim zatytułowałam *Gałczyński a wzory literackie*. Moją teoretyczną inspiracją był wówczas przede wszystkim Ryszard Przybylski. Nigdy nie udało mi się osiągnąć tego wzoru – ale książeczka powstała z moich osobistych fa-

My, dzieci wybitnych, żyjemy na pewno pod presją ich wpływu. Ale wpływy w humanistyce to złożony problem. Nie są przecież pochodną mentorstwa, w tym rodzinnego. Składa się na obszar tego wpływu życie społeczne, wychowanie, szkoła, czyli rodzaj edukacji, przyjaźnie, związki intelektualne. Więc to byłoby zbyt proste – wpływ ojca. Jednak choć w rodzinie się o tym nie mówiło, milcząco oczekiwano ode mnie kontynuacji.

scynacji, z inspiracji ówczesnego środowiska Instytutu Badań Literackich. Powiem więc, że ojciec odegrał przede wszystkim rolę doradcy. Lata 70. ubiegłego stulecia to powrót studiów nad myślą Stanisława Brzozowskiego. Pisarza i filozofa prawie wtedy nieznanego, o niejasnej i tragicznej biografii, wygnańca i outsidera. Sprawa Brzozowskiego, czyli oskarżenie o płatną współpracę z carską tajną policją, była jednym z gorących tematów w prasie kulturalnej. Nad powieściami

Brzozowskiego biedziłam się wiele lat, wyszła z tego dość potężna księga. Ojciec jej nie znał, odszedł przecież wcześniej. My, dzieci wybitnych, żyjemy na pewno pod presją ich

Nie jestem dydaktyczną despotką, ale też nigdy nie miałam ze swoimi studentami kumpelskich związków. Dlaczego ma przestać istnieć hierarchia jako pewien model, szkic układu pomiędzy uczniem i nauczycielem? Oczywiście, oni do nas podchodzą, zapraszają się do towarzystwa, ale czy naprawdę się nim interesują? Wychowują nas czasy, inne moje, inne ich.

wpływu. Wpływy w humanistyce to ciekawy i bardzo złożony problem. Nie są przecież pochodną mentorstwa, w tym również rodzinnego. Składa się na obszar tego wpływu życie społeczne, wychowanie, szkoła, czyli rodzaj edukacji, jaki odebraliśmy, przyjaźnie, związki intelektualne. Więc to byłoby zbyt proste – wpływ ojca. Jednak choć w rodzinie się o tym nie mówiło, milcząco oczekiwano ode mnie kontynuacji. Osobiście wyżej cenię humanistyczne postaci bez rodzinnego dziedzictwa.

Rzuciłaś się w wir studenckiego życia. Co wtedy frapowało Cię najbardziej? Jak odbierał to ojciec?

Nie interesował się moim życiem towarzyskim, choć oczywiście mniej więcej wiedział, w jakich kręgach się obracam. Nie komentował tego. Moi rodzice byli niezwykle toleran-

O pisaniu prozy fabularnej myśli większość polonistów. Wyjąwszy tych, którzy wolą w tajemnicy pisać wiersze.

cyjni – żadnych nakazów i zakazów. Jedno stanowcze żądanie: obiad zawsze o godzinie 13. **Czy jako profesor odczuwasz różnicę pokoleniową między Twoimi rówieśnikami a obecnymi studentami?**

Oczywiście, że odczuwam. I tak powinno być! Nie jestem dydaktyczną despotką, ale też nigdy nie miałam ze swoimi studentami kumpelskich związków. Dlaczego ma przestać istnieć hierarchia jako pewien model, szkic układu pomiędzy uczniem i nauczycielem? Oczywiście, oni do nas podchodzą, zapraszają się do towarzystwa, ale czy naprawdę się nim interesują? Wychowują nas czasy, inne moje, inne ich. Mogę być dla nich obyczajową ciekawostką – może ich interesować pojemność mojej pamięci, wtedy odpowiadam na pytania.

Ale dużo mogę przecież zrobić w materii międzyludzkich kontaktów w trakcie wykładu.

Chociaż... Profesor Juliusz Kleiner, wybitny historyk literatury, którego słuchałam jako ostatni rocznik w jego praktyce dydaktycznej, miał te swoje wykłady napisane. Odczytywał je, nic nie wtrącał, nie komentował dodatkowo, po prostu czytał. I chyba był to ciągły tekst. Przeczytał, wychodził, koniec. Wykłady odbywały się w jego mieszkaniu, przy ulicy Jabłonowskich. Trochę to przypominało przedstawienie teatralne. Wyjście Kleinera na scenę (z drugiego pokoju), zejście ze sceny (śmiech).

Z kolei Roman Ingarden, wykładający dla polonistów historię filozofii, opowiadał, gawędził, przede wszystkim o niemieckim epizodzie swojej kariery. Pewnie za mało to wówczas docenialiśmy. Dużo mówił o Witkacym, ale my przecież wówczas nie wiedzieliśmy, kim ten Witkacy był. Jego dramaty i powieści poznaliśmy o wiele później.

Z kolei profesor Stanisław Pigoń egzaminował, niestety. Niestety – bo domagał się znajomości szczegółów, tak sprawdzał lektury. Suka księcia Radziwiłła (u Sienkiewicza) do dziś tkwi mi w głowie – a jednak zapomniałam jej imienia.

I tyle o dydaktyce i profesorowaniu.

Koleje losu domu rodzinnego i osób z nim związanych wspominasz z nieukrywaną nostalgia. To świat, który minął, ale który próbowałaś utrwalić, jakby to miało go ocalić. Czy tak się stało?

Po to się konfrontujemy z pamięcią – żeby ten świat ocalić albo chociaż przypomnieć. I to się czasem udaje. Bywa to przykre, bywa nieskuteczne. Ten proces wspominania ulega stopniowej przemianie – nasila się z wiekiem. Jest teraz specjalność literaturoznawcza, która nazywa się „pamięciologia”. Jej adepci dbają – między innymi – o wprowadzenie do naszej świadomości określonych znaków, które przywołują do ponownego życia tych zapomnianych, domy, w których mieszkali, miejsca, które odwiedzali. Tak stało się w Krakowie z Zuzanną Ginczanką, żydowską poetką. Jej ostatnie miejsce to ulica Mikołajska. Po donosie dozorczyni Ginczanka została wywieziona do Płaszowa, stracona prawdopodobnie w Treblince. Teraz staje się częścią zbiorowej pamięci.

Ale mamy też własne postaci z prywatnej przeszłości. Im należy się, choć zapewne w ograniczonym zakresie, taka sama pamięć jak Zuzannie Ginczance. Tak myślę i dlatego o nich piszę.

Potrafisz wyłuskać z minionej rzeczywistości detale, pozornie nieistotne, które zaczynają żyć własnym życiem, przydają charakteru opowieściom, nadają im swoistą barwę i aromat jak smak magdalenki Prousta. Myślałaś kiedyś o pisaniu prozy fabularnej?

Większość polonistów o tym myśli (niekoniecznie w proustowskiej perspektywie).



Marta Wyka urodziła się w 1938 roku w Krakowie. Jest historykiem literatury i krytykiem. Ukończyła polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, jest doktorem Instytutu Badań Literackich PAN. Profesor i założycielka Katedry Krytyki Współczesnej Wydzia-

łu Polonistyki UJ. Redaktor naczelna dwumiesięcznika „Dekada Literacka”. Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Pen Clubu, Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków, była członkiem jury Nagrody Literackiej NIKE oraz Nagrody im. A. Kijowskiego.

Wyjąwszy tych, którzy wolą w tajemnicy pisać wiersze. Ale poważniej. Do jakiegoś momentu nie wypadało chwalić się prozatorskimi próbami. Po prostu wizerunek profesora był bardzo jednoznaczny. Nie akceptowano uprawiania literatury jednocześnie z akademicką dydaktyką. Pierwszym takim znanym mi przypadkiem wyłamania się z tej konwencji był profesor Waław Kubacki, przez jakiś czas przyjaciel ojca, specjalista od romantyzmu. Kiedy jego sztuka teatralna spotkała się z uznaniem i scenicznym sukcesem, postanowił przejść na przedwczesną emeryturę uniwersytecką i oddać się wyłącznie twórczości oryginalnej. Niestety, sukces się nie powtórzył. Kubacki opublikował potem

Z eksperymentami w sztuce i literaturze jest jak z nazwami ulic: czasem za szybko czcimy świeżych nieboszczyków tablicami z ich nazwiskiem. A potem nadchodzą inne czasy i zdejmują się stare tabliczki. Przetrwają nieliczni.

Dziennik (złośliwy). Ale nie został znanym literatem. Za czasów bliższych mnie powieści pisali Włodzimierz Maciąg (o konfederacji barskiej) i Wiesław Paweł Szymański (o Miłoszu, ale nie tylko). Podśmiewano się z nich na boku. Jeszcze nie uprawiano takiej biografii jak obecnie – Maciąg napisał też taką dość smętną „opowieść o Żeromskim”. To wszystko uległo samolikwidacji razem z nową humanistyką. Nie powstała w Polsce powieść kampusowa, uniwersytecka (bo i kampusów nie było...) tak wspinała jak pod piórem Davida Lodge’a i innych Anglosasów. A to przecież wyjątkowo zabawne środowisko, kipiące konfliktami, marzeniami, zawiściami. Znam tylko jeden tytuł, adekwatny do tego środowiska: to *Fabulant* Anny Burzyńskiej. Ciągnęło mnie więc do tego gatunku. Może się bałam reakcji? I tego, że pierwowzory postaci rozpoznają siebie? **Kino jest Twoim hobby, a jednocześnie czymś więcej. Co pociąga Cię w kinie najbardziej?**

Nie zamierzałam aspirować do ról artystycznych, skądże. Raczej interesowała mnie reżyseria – ale za moich czasów nie można było studiować dwóch kierunków jednocześnie, reżyserię zaś tylko po innych studiach wyższych. Może to było słuszne? Aby nie mnożyli się pół-amatorzy? Bez kina nie mogłabym się obejść, choć dzisiaj film bardziej nas zmusza do gorzkiego myślenia, niż jest formą hobbistyczną. Dwa najwybitniejsze filmy roku, 2019 czyli *Joker* i *Parasite* to poruszająca diagnoza społecznego upadku jednostki, która nie może sobie poradzić z wymaganiami kon-

sumpcji, z imperatywem ciągłego pokonywania społecznej drabiny, aby wreszcie znaleźć się na jej szczycie. Do wejścia na szczyt (w obu tych filmach) nie dochodzi. Konkluzja: ludzie zbędni i niepotrzebni mogą zniknąć, nikt nie będzie ich specjalnie żałował.

Jak reagujesz na zmiany zachodzące we współczesnym świecie?

Nie mam na to żadnego wpływu, więc zmiany postrzegam, ale ich nie kwalifikuję. Przyspieszenie cywilizacyjne i obyczajowe to cecha naszej współczesności, i nie chroni przed nią ani krytyka, ani medytacja, ani egzystencjalne przerażenie. Nie zamierzam bić się z silniejszym przeciwnikiem. Razi mnie jednak niezamierzona głupota tych czasów oraz brak pokory wobec wiedzy i wybitnych cech umysłowych. Ludzie są przez to inaczej ukształtowani. Mistrzowie odeszli.

Jesteś związana, nie tylko emocjonalnie, z Krakowem. Jest to miasto, w którym mieszkasz od zawsze i tu pracujesz. Co kochasz w Krakowie?

Kraków posiada swoją mitologię, przypisujemy mu szczególną i wyróżniającą „duchową formę życia” (podobnie pisał o swoim rodzinnym mieście, Lubece, Tomasz Mann). I ja rzeczywiście tą mitologią się interesowałam, coś o tym pisałam, starałam się ją rozpoznawać w obyczajach, w gestach, w języku, w pewnych rytuałach (ten galicyjski ton, ten kult Franciszka Józefa). Do budynków byłam przyzwyczajona (Karmelicka 35 Talowskiego, domy profesorskie Wojtyczki, moderna krakowska, czyli cały prawie ciąg Alei). Bo miasta przemawiają do nas architekturą, niekoniecznie ludźmi.

Lubię ten wymiar „galicyjski”, on nie wymaga ode mnie wysiłku. Więc może na tym polega miłość do miasta? Czujemy się w nim wygodnie, nie uwiera nas psychicznie, nie wymaga przystosowania.

Uważasz, że eksperyment w sztuce powinien cieszyć się całkowitą wolnością? I czy wolisz drogę ewolucji czy rewolucji w sztuce?

Bez eksperymentu nie byłoby zapewne nowej sztuki. W żadnej dziedzinie. Czy wymaga on tolerancji? To zależy, kto jest tej sztuki odbiorcą. Czytelnik literatury popularnej uchyla się od eksperymentów. Czytelnik profesjonalny, którym jestem, opisuje je swoim językiem analitycznym. Z eksperymentami w sztuce i literaturze jest jak z nazwami ulic. Czasem za szybko czcimy świeżych nieboszczyków tablicami z ich nazwiskiem. A potem nadchodzą inne czasy i zdejmują się stare tabliczki. Przetrwają nieliczni. Inni padają ofiarami totalnego zamieszania. Najbezpieczniejsze są ulice niepolityczne: Liryczna, Fiołkowa, Kubusia Puchatka i tak dalej. I to jest moja określona odpowiedź na temat eksperymentu w sztuce.

Pisząc o książce Erica Zemmoura, stawiasz tezę, że dziennikarze obecnie nie tylko rejestrują wydarzenia, ale je oceniają i orzekają rozstrzygająco oraz kategorycznie, wpły-

wając w ten sposób na opinię czytelników. Uważasz, że obecnie media stanowią zagrożenie, gdyż posługują się manipulacją?

Rola mediów we współczesności jest znana i będzie się zapewne umacniać. Rywalizacja między poszczególnymi frakcjami politycznymi miewa jednak dość marny poziom umysłowy. Więcej na ten temat nie powiem, bo nie zamierzam się w nią wtrącać – to byłoby dość żenujące. Dziś prawie każdy chce gdzieś zapisać swoją opinię – niektóre z nich są gotowym materiałem kabaretowym. Może kiedyś powstanie z niego jakaś nowa Piwnica pod Baranami (ale barany to już nie budynek, niestety). Książka, którą wymieniasz, nosi tytuł *Francuskie samobójstwo (Le Suicide français)*, na polski nie jest jeszcze przełożona: dziennikarz, znany we Francji antylewicowiec, pisze kronikę upadku francuskiego mitu, od de Gaulle'a, ostatniego charyzmatycznego przywódcy, po nieudane rządy Sarkozy'ego i Hollande'a. Ten francuski mit jest dekonstruowany przez kulturę masową, pomiatany przez emigrantów, piękna Francja powoli się rozpada. Nie mogę tutaj przytaczać dowodów Zemmoura – jedne przekonują, inne nie. Ale dramatyczna przemiana Francji jest dobrze widoczna. Dla mojego pokolenia, frankofilskiego, ta książka jest szczególnie ciekawa.

Często ocena moralności autora idzie w parze z oceną jego dorobku twórczego. Sądziś, że to właściwe?

„Literatura nie jest kwestią moralności” – napisał Czesław Miłosz w *Traktacie poetyckim*. I może tego się trzymajmy.

Wiele jest zagrożeń w dzisiejszym świecie. Które niepokoją Cię najbardziej?

Odpowiadałam w 2020 roku – czegoś takiego nikt się nie spodziewał. Te miesiące rozkwitu pandemii uprzedzają jakąś wielką zmianę. Wszyscy zresztą tak myślimy, ale nazwać czy też opisać tej zmiany już nie umiemy. Możemy ją najwyżej porównywać z czymś podobnym. Dalej będziemy chcieli różnić się od siebie, za wszelką cenę. Ale zahamowanie procesów socjalizacji, czyli prościej – kontaktów pomiędzy ludźmi, może budzić niepokój. Jak długo da się istnieć zdalnie? Czy konieczność nie przerodzi się w nawyk? Będziemy oddzieleni? Od siebie, od świata? Przyroda wydaje się teraz cieszyć z tego oddzielenia. Zwierzęta wylegają na ulice. Są przyjazne. A my? Czy się cofamy, czy zmierzamy ku jakiemuś „innemu światu”? Jestem tego ciekawa.

Zapewne zaczną postawać jakieś powieści w stylu Herberta George'a Wellsa. O wojnie światów, o nowych ludziach? Ludzie jak bogowie? Ale powstanie też dużo pamiętników i dzienników z okresu pandemii. Już pojawiają się ich fragmenty. Ich poziom artystyczny będzie różny. Temat jest słuszny, ale oby nie zatopił nas pandemiczny socrealizm.

Jaka jest wobec tego Twoja definicja szczęścia?

W latach okupacji Władysław Tatarkiewicz napisał książkę *O szczęściu*. Ukazała się po wojnie, ja mam jej piąte wydanie, z roku 1962. W jakim duchowym świecie znajdował się autor, gdy wokół trwała wojna? To fascynująca lektura, dziś chyba zapomniana – wyjąwszy oczywiście filozofów.

Warto ją znowu przeczytać...

Tak. A dlaczego? Tatarkiewicz pisze, że wiele powstało traktatów i ksiąg o szczęściu (poczynając od Seneki *De vita beata*), lecz żadna z nich nie stworzyła definicji szczęścia. Tatarkiewicz taką próbę podejmuje, ale też pozwała czytelnikowi wybierać spośród alternatywnych terminów. Z tego przyzwolenia korzystam i wybieram: „Szczęście oznacza

Zapewne zaczną postawać powieści w stylu Herberta George'a Wellsa.

O wojnie światów, o nowych ludziach?

Ludzie jak bogowie? Ale powstanie też

dużo pamiętników i dzienników z okresu

pandemii. Ich poziom artystyczny będzie

różny. Temat jest słuszny, ale oby nie

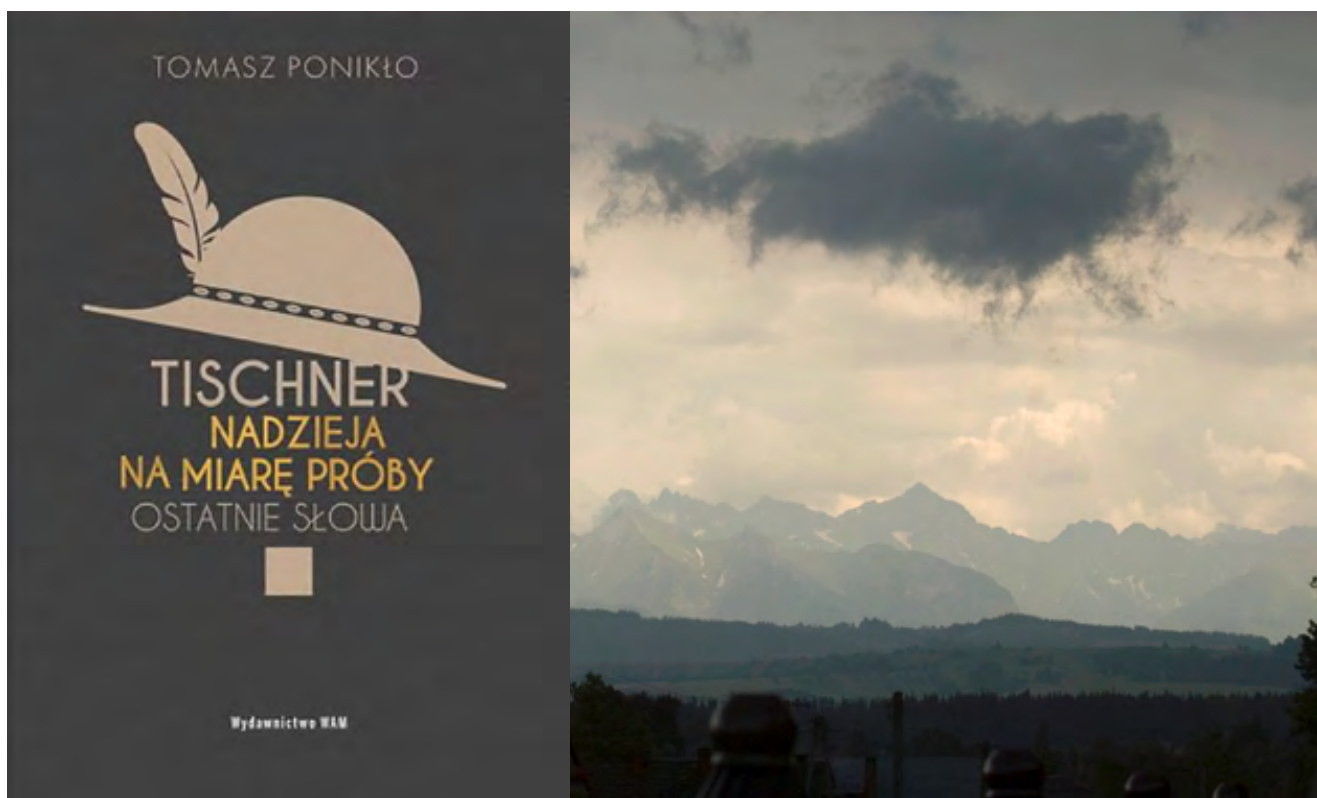
zatopił nas pandemiczny socrealizm.

wybitnie dodatnie wydarzenia, które kogoś spotykają...”. Jesteśmy więc szczęśliwi tylko czasem, okazjonalnie. To nie jest stan trwały. Jedne wydarzenia przeżywamy jako szczęśliwe, inne traktujemy obojętnie. Szczęście to satysfakcja. Zdarza się dość rzadko.

W moich szkolnych latach ucennice posiadały pamiętniczki, wpisywałyśmy sobie do nich różne złote myśli. Mój pamiętniczek się zachował i znajduję w nim taki oto wpis jednej z moich koleżanek: „Szczęście – nie myśl o szczęściu – bo gdy przyjdzie, to zrobi ci niespodziankę – a gdy nie przyjdzie, nie robi zawodu”. Znałyśmy Tatarkiewicza? Oczywiście nie. Ale gdzieś, ktoś, usłyszał tę definicję, moja przyjaciółka ją zapamiętała i wpisała. Nie wiem, co się dzieje z przyjaciółką. Nawet jej dobrze nie pamiętam. Ale tę sentencję zapamiętałam z tamtych szkolnych lat. Dlaczego dziewczynki tak interesowało szczęście? Czyli dobre stopnie, chłopcy podobni do aktorów filmowych, ładne sukienki? Przecież nic nie wiedziały o egzystencji. Ale przygotowywały się do życia. Zabawne, prawda?



Elżbieta Wojnarowska – z wykształcenia jest przyrodnikiem i... scenarzystką. Ale również pieśniarką i aktorką (m.in. należała do zespołu Teatru STU), autorką powieści, baśni dla dzieci, sztuk teatralnych i scenariuszy. W końcu – a może przede wszystkim – poetką.



Ostatni portret wielebnego Tischnera

Tekst: Jan Biela Zdjęcie: Piotr Uss Wąsowicz (za wiedzą i zgodą Fundacji Świat ma Sens)

Maksyma „Lekarzu, ulecz się sam” mogłaby być cynicznym mottem i zarazem najkrótszym streszczeniem książki Tomasza Ponikły *Tischner. Nadzieja na miarę próby. Ostatnie słowa*. Tak się złożyło, że ksiądz profesor Józef Tischner ostatnie trzy lata przeżył w krańcowej sytuacji śmiertelnej choroby. Siedemdziesięcioletni filozof, góral z charakterystycznym tembrem głosu, umiera w 2000 roku.

Trzy lata wcześniej dowiaduje się, że ma raka krtani. Autor książki cofa się czterdzieści lat i kreśli, na tle przejmującego zapisu z choroby, chronologiczny przegląd artykułów i rozpraw obrazujących teologiczne myślenie młodego filozofa o śmierci, w konfrontacji zwłaszcza z Heideggerowskim egzystencjalizmem: „byciem ku śmierci”. Graniczne sytuacje chorobowe nieraz były przedmiotem homilii i nauk rekolekcyjnych ks. Tischnera dla środowisk lekarskich. Takie postaci krakowskich lekarzy jak Kępiński, Aleksandrowicz, Szczeklik odcisnęły wyraźny ślad w filozoficznym myśleniu o nadziei w chorobie i w nieuniknionym umieraniu. Zapewne wówczas, będąc w pełni sił twórczych i fizycznych, Tischner nie zdawał sobie sprawy, że antycypuje sytuację, w której trzydzieści lat później sam będzie musiał się odnaleźć.

Książka posiada delikatny rys przejmującego reportażu. Klimat tragedii chorobowej

bezradności podkreślają zawarte w książce faksymile koślawych rękopiśmiennych notatek na kratkowanym papierze, przywoływane w związku z tą jedyną możliwą formą porozumiewania się profesora w ostatnich dniach życia.

Powstaje pytanie, jak można i w jakim stopniu można chorującemu „na śmierć” ulżyć w cierpieniu? Można odnieść wrażenie, że dostajemy szczególną odpowiedź od samego umierającego filozofa i księdza. Brzmi: nie można. Dowodem może być już słynna i definitywna konstatacja Tischnera o cierpieniu: „Nie uszlachetnia”. Ale też zdecydowanie nie jest zaprzeczeniem tego, co o potencjalnej sile nadziei wcześniej przemyślał i przekazywał młody filozof i ksiądz Tischner.

Tomasz Ponikło, *Tischner. Nadzieja na miarę próby. Ostatnie słowa*, Wydawnictwo WAM, Kraków 2020.



Anna Kaszuba-Dębska, *But 3* (projekt: *Szpilki*)



Krakowskie Muzeum Fotografii, przebudowana siedziba przy ul. Józefitów 16

MuFo. Krakowskie Muzeum Fotografii. Jedyna tego typu publiczna placówka w Polsce. Właśnie po przebudowie jest otwierany budynek dawnej siedziby przy ulicy Józefitów 16. W czasie remontu MuFo działało w Strzelnicy na Woli Justowskiej i tam nadal będzie się wiele działa. Ale adaptowana jest też Zbrojownia przy ul. Rakowickiej (otwarcie w roku 2021). Muzeum żyje więc w trójce trzech adresów. Widz może chwilowo się poczuć zdezorientowany – gdzie co jest?

Dawna siedziba (Józefitów 16). To tu bije serce MuFo, tu są przechowywane, konserwowane i opracowywane wszystkie obiekty muzealne. Nowoczesne magazyny, pracownie konserwatorskie i digitalizacyjne oraz stanowiska

pracy kustoszy pozwolą obiektom zyskiwać nowe życie.

Zbrojownia (Rakowicka 22). To będzie główny adres MuFo, tu zostanie urządzona wystawa główna oparta na zbiorach muzeum oraz wystawy czasowe. Tu też zostanie pomieszczony księgozbiór MuFo, z którego będzie można korzystać w czytelnicy sąsiadującej z kawiarenką. Całość otacza piękny otwarty teren zielony z elementami małej architektury.

Strzelnica (Królowej Jadwigi 220). Ta XIX-wieczna budowla to przestrzeń dla pasjonatów fotografii. Wokół Strzelnicy tworzy się ogród do spędzania wolnego czasu i jednocześnie przestrzeń do eksperymentowania ze sztuką.

MuFo łamie konwencje

Rozmawiała Ewa Kozakiewiczowa **Zdjęcia:** Grzegorz Kozakiewicz, Dorota Marta/MuFo oraz eksponaty z MuFo

Ewa Kozakiewiczowa: Czy pamięta Pan swój pierwszy kontakt z fotografią?

Marek Świca, dyrektor Muzeum Fotografii: Bardzo fascynowały mnie opowieści dziadka o życiu jego rodziny nad Morzem Azowskim jeszcze w czasach Rosji carskiej, które snuł w trakcie wspólnego oglądania pięknych atelierowych fotografii moich przodków. Dlatego do dziś mam taką słabość do dawnej fotografii.

Pamiętam też ojca, który fotografował i dokumentował życie rodzinne. Na moim pierwszym zdjęciu jestem elegancko ubrany i siedzę w wózekczku, mam dwa lub trzy lata. Kiedy byłem starszym chłopcem, ojciec wprowadził mnie w tajniki fotografii, dostałem prosty w obsłudze aparat fotograficzny Smiena Vilia, a w czasach studenckich kupiłem zenita TTL i w akademiku miałem własną ciemnię. Po kilku latach zabawy z fotografią zamknąłem ten krótki, acz ważny epizod w moim życiu.

Do fotografowania wróciłem, kiedy pojawiły się pierwsze aparaty fotograficzne w telefonach komórkowych. Podpatrując młodszych, aparatem telefonicznym robię błyskawiczne notatki, fotografuję własne dzieci czy ukochanego zwierza, robię zdjęcia w trakcie podróży... W sumie nic nadzwyczajnego, ale przecież dyrektor Muzeum Fotografii nie musi być z zawodu fotografem.

Muzeum ma już odpowiednie budynki, inwestycje zmierzają ku końcowi, więc na pewno pada pytanie, co pokażecie w tych nowych przestrzeniach? Jaki jest pomysł na przyciągnięcie ludzi?

Nie mamy swojej *Damy z gronostajem* – jednego emblematu, który kojarzony byłby w oczywisty sposób z naszym muzeum. Siła MuFo tkwi w różnorodności naszych kolekcji, których wartościowanie nie jest tak oczywiste jak w przypadku kanonicznych dzieł sztuki. Mam nadzieję, że nowa wystawa główna, przygotowywana do budynku MuFo Rakowicka, która jest budowana, opierając się wyłącznie na zbiorach własnych, pokaże bogactwo kontekstów, jakie one kreują. Wystawa odpowiadać będzie na tytułowe pytanie: *Co robi zdjęcie?* Skupiliśmy uwagę na kilku z wielu możliwych odpowiedzi: technologii, fotografujących, fotografowanym, fotografii jako nośniku informacji oraz pokazaniu nowatorskich zastosowań

fotografii w XXI wieku. Wokół tych zagadnień tworzymy plan wystaw czasowych oraz spotkania, warsztaty i inne działania towarzyszące.

Zanim zobaczymy to wszystko, które zdjęcia pokażaliby Pan czytelnikom jako ulubione przez siebie i ważne dla kolekcji?

Podobne zadanie wykonaliśmy dla znanego londyńskiego wydawnictwa Scala Arts & Heritage Publishers. Do publikacji z serii Director's Choice staraliśmy się za pomocą 44 fotografii opowiedzieć, jak ciekawym muzeum jesteśmy.

Absolutnie ukochanym moim zdjęciem od lat, zanim zacząłem jeszcze pracować w Muzeum, jest fotografia pieska Stanisława Rawicz-Kosińskiego. To zdjęcie atelierowe, a pies siedzi na krześle zamiast na podłodze, bo studyjnym aparatem na statywie nie dało się fotografować z poziomu podłogi. Mamy wiele zdjęć, na których sportretowano różne zwierzęta, acz podejrzewam, że niektóre z nich są wypchane. Ten pies z pewnością nie – widać, jak drżały jego łapki.

Wielkie wrażenie robi na mnie zdjęcie lokomotywy utopionej w morzu – jest niesamowite i pełne grozy. To zdjęcie Maksymiliana Jankowskiego wykonane gdzieś na Pomorzu w latach 1945–1955, nie nosi tytułu. W jaki sposób pociąg znalazł się w takim miejscu? Czy w miejscu, w którym zrobione zostało zdjęcie, znajdowały się tory prowadzące wprost do morza? Nie mamy pewności. Ciemnoszare morze, złowrogie kłębiące się chmury i tony stali wrzucone w morze malują obraz totalnej katastrofy, końca świata. Ta fotografia niesie ogromny ładunek emocjonalny, jest symboliczna.

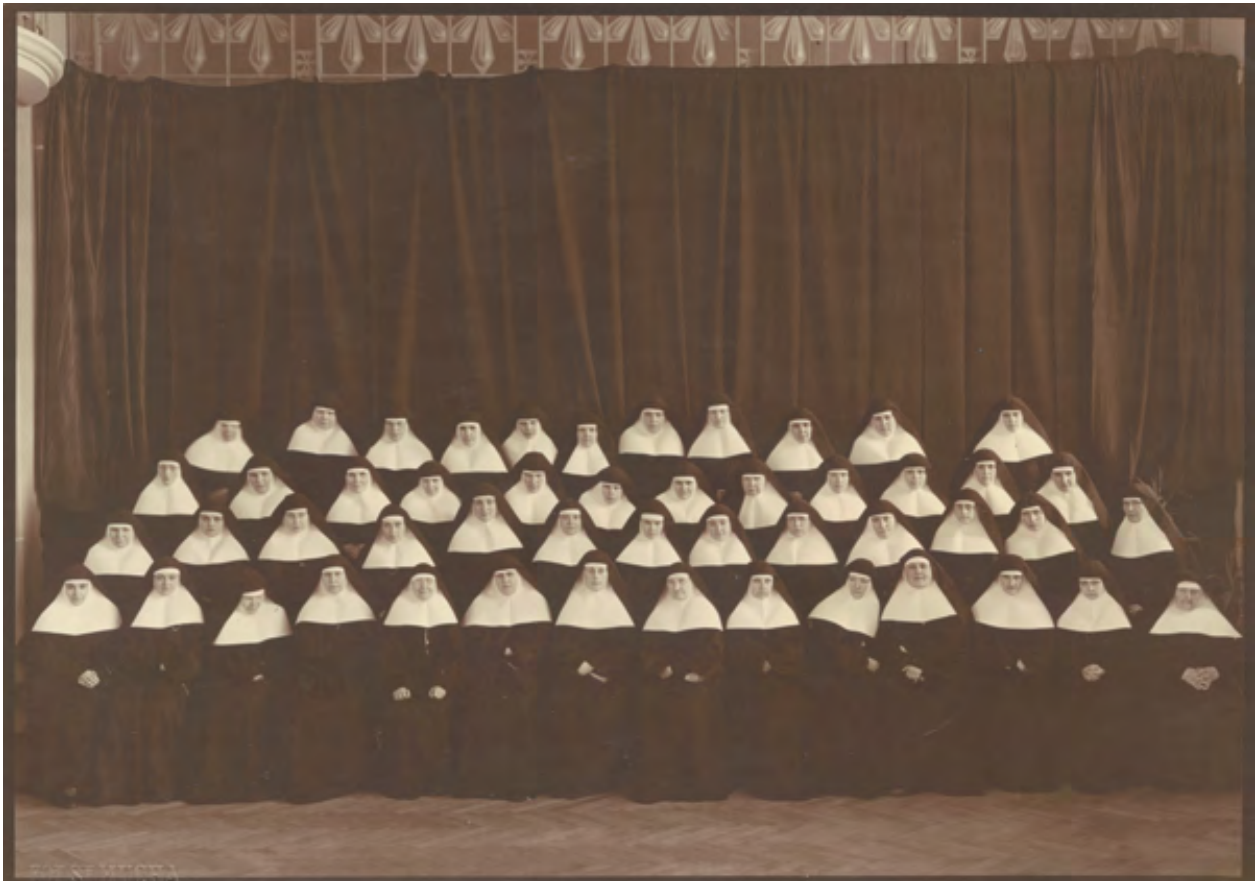
Niezwykłym, wręcz cudownym zdjęciem jest zbiorowy portret siostr Urszulanek wykonany przez Stanisława Muchę. Fotografia oryginalna ma niewielkie wymiary 12,4 x 17,5 cm. Oglądając oryginał, umykają nam szczegóły, białe welony pozujących odcinające się od ciemnych habitów wyglądają jak ornament, jak lambrekin. Widać, że fotograf starał się stworzyć idealnie geometryczną kompozycję, jednak pozujące okazały się niezdyscyplinowane. Tu przechylona głowa w prawo, tam w lewo... Oglądając fotografię przez lupę, a jeszcze lepiej na ekranie komputera, można zauważyć, że czarno-białe figury geometryczne tracą syntetyczność i stają się ludźmi



Fot. Stanisław Rawicz-Kosiński



Fot. Maksymilian Jankowski



Fot. Stanisław Mucha



Dyrektor MuFo Marek Świca w remontowanej na potrzeby muzeum Zbrojowni przy ul. Rakowickiej 22

przyjmującymi różnorodne pozy, mającymi konkretne rysy twarzy, miny.

Co Pana szczególnie fascynuje w fotografii?

Mam oczywiście własne rewiry. Blisko mi do podejścia do fotografii reprezentowanej na wystawie *Osobliwe* kuratorowanej przez Martę Miskowicz i Bartosza Flaka. Pomysłodawcy wystawy wybrali 70 obrazów z tysięcy fotografii ze zbiorów Muzeum Fotografii, a kilkadziesiąt pochodziło z prywatnych kolekcji Jacka Dehnela i Wojciecha Nowickiego. Nie były to zdjęcia doskonałe – wręcz przeciwnie, to zdjęcia niewytłumaczalne, nie wiadomo po co robione, a nawet źle zrobione.

W życiu zawodowym miałem od samego początku kontakt z fotografią, chociażby pracując w Galerii Krzysztofora – siedzibie słynnej Grupy Krakowskiej. Grupa ta przede wszystkim kojarzy się z malarstwem i rzeźbą. Mało kto wie, że wielu jej członków wykorzystywało w praktykach artystycznych także fotografię.

Ważnym dla mnie doświadczeniem z tamtych lat były odwiedziny w pracowniach artystów i uczestniczenie w powstawaniu wielu wystaw i towarzyszących im publikacji, między innymi fotogramów Jerzego Wrońskiego, i retrospektywy Andrzeja Pawłowskiego. Razem z Józefem Chrobakiem byłem kuratorem *I Wystawy Sztuki Nowoczesnej. 50 lat później*. To była wielka przygoda, bo studia zakończyłem pracą magisterską, w której analizowałem pięciolecie życia artystycznego w Polsce po zakończeniu II wojny światowej – a był to ważny okres dla naszej kultury, także dla fotografii.

W społeczeństwie wciąż pokutuje stereotyp, że muzea to nieatrakcyjne i nudne miejsca...

Tak. Zwłaszcza dla młodych ludzi słowo „muzeum” miewa wydźwięk zdecydowanie pejoratywny. Myśląc o przyszłości takich instytucji jak nasza, musimy uczyć się ko-

munikować z tą grupą publiczności. Dlatego między innymi coraz zuchwalej korzystamy ze skrótu MuFo od Muzeum Fotografii. Od lat łamiemy, podobnie jak wiele polskich placówek muzealnych, konwencje, które zapewne pracowały na negatywny odbiór muzeów. Czujemy, że spoczywa na nas wręcz misyjny obowiązek edukacji wizualnej. Jesteśmy przecież jedynym w Polsce muzeum publicznym poświęconym wyłącznie fotografii, więc kto jeśli nie my powinien uczyć czytać obrazu. Chcemy pomóc współczesnemu odbiorcy w zrozumieniu problemów wizualności – jej kanonów kulturowych, przekazów obrazowych dawnych i obecnych, a także zachęcać naszą publiczność do samodzielnego widzenia, interpretowania i odczuwania obrazów, jak również otaczającej rzeczywistości. Jak do tego dążymy? Między innymi poprzez stawianie istotnych pytań problematyzujących zagadnienia fotografii i – szerzej – obrazu. Zależy nam na tym, żeby Muzeum Fotografii było miejscem spotkań i wymiany poglądów dotyczących współczesnych problemów wizualności oraz kanonów kulturowych. Stawiamy na budowanie dialogu z publicznością, staramy się rezygnować z relacji mistrz i uczeń na rzecz inspirowania i uczenia się od siebie wzajemnie.



Ewa Kozakiewiczowa – jest krakowską dziennikarką. Związana była etatowo z „Dziennikiem Polskim”, „Gazetą Krakowską” i „Przekrojem”, współpracowała między innymi z „Warsaw Voice”, „Newsweekiem”, „Czasem Krakowskim”,

kilkoma wydawnictwami i portalami internetowymi. Zajmuje się głównie tematyką kulturalną, opublikowała trzytomowe *Opowieści fotografistów* (Muzeum Historii Fotografii), kilka katalogów o fotografii, bywa kuratorką wystaw fotograficznych.



Anna Kaszuba-Dębska, *Luna*



Anna Kaszuba-Dębska jest malarką, graficzką, ilustratorką, projektantką książek dla dzieci i dorosłych, a także reżyserką filmów animowanych. Ukończyła malarstwo i grafikę na ASP w Krakowie. Doktorat zro-

biła na ASP w Warszawie w Pracowni Projektowania Książki i Typografii. Niedawno nakładem Znak ukazała się jej najnowsza książka – biografia Brunona Schultza *Bruno. Genialna epoka*.

Schulzowi podałamby ciasteczka imbirowe

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Zuzanna Kardys

Ostatnie 10 lat Anna Kaszuba-Dębska spędziła w mrocznym świecie Brunona Schulza. Teraz wraca do pogodnych barw i feministycznego projektu związanego z kobietami, które zasiadały na polskim tronie.

Do jej pracowni wchodzi się jak do baśniowej krainy. Wzrok przyciągają mieniące się wszystkimi kolorami tęczy obrazy przedstawiające *Poczet polskich królowych*. Ich wizerunki opierają się o ściany, czekając na dokończenie projektu malarki, która zamierza namalować 54 noszące polską koronę władczynię. Radosna atmosfera tego miejsca w żaden sposób nie nasuwa skojarzeń z mroczną, tajemniczą aurą, jaką otoczona jest twórczość Brunona Schulza, któremu poświęciła ostatnie 10 lat życia.

– Dzieje się tak pewnie dlatego, że nigdy nie weszłam w świat czarno-białych rysunków Schulza. Nie połączyła nas estetyka, tylko wspólne marzenie o powrocie do utraconego dzieciństwa. Moją wrażliwość kształtowali pradiadkowie i dziadkowie. Ci pierwsi mieszkali w starym domu obrośniętym winem. Pradziadek był, tak jak ojciec Schulza, magiem. Rozmawiał z ptakami, hodował na gruszy jabłka i opowiadał mi bajki, które, jak teraz przypuszczam, były jego wspomnieniami z młodości. Z kolei dziadek brał mnie na kolana i godzinami urabiał plastelinę, z której lepiłam różne scenki. Przerywał zabawę dopiero wówczas, kiedy w telewizji zaczynał się *Bolek i Lolek* – wspomina.

Dziewczynka siadała z dziadkiem przed telewizorem nie tylko dlatego, że uwielbiała bohaterów kreskówki. Istniał jeszcze jeden powód. Jej twórca Leszek Lorek był bliskim krewnym rodziny. Nic więc dziwnego, że Ania studiowała nie tylko na wydziale malarstwa krakowskiej ASP, ale też na wydziale grafiki, wybierając specjalizację z filmu animowanego. Po latach swój debiutancki film *Czesława woli Wiesława* nakręciła w Studiu Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej, które założył jej wujek.

To było jeszcze zanim trafiła na ASP w Warszawie i zanim Bruno Schulz na dobre rozgościł się w jej życiu wraz z tematem pracy doktorskiej, którą było zaprojektowanie książki *Kobiety i Schulz*. Szukając do niej materiałów, wchodziła w jego owiany tajemnicą, mityczny świat. Aż jednej nocy przyśniło się jej, że maluje buty. Od razu wiedziała, że ma to związek z artystą, który nie daje jej spokoju. I to z dwóch powodów. Po pierwsze, buty kojarzą się z Holocaustem, podczas którego zginął Schulz, a po drugie z fetyszem, jakim były dla niego kobiece stopy. Z tych skojarzeń narodził się projekt *Szpilki*.

– Przez Facebooka poprosiłam kobiety z całego świata, żeby przesyłały mi swoje szpilki z wypełnioną ankietą, w której pytałam je o ich zewnętrżność – o kolor oczu, włosów, a także o wnętrze – marzenia, rozterki... Na podstawie ich wypowiedzi malowałam buty. Dołączałam do nich kod QR. Można go

było zeskanować telefonem i dowiedzieć się więcej o właścicielce szpilek. Moją instalację pokazałam w Drohobyczu, mieście Schulza. To właśnie na tamtejszym trawniku rozkwitły one niczym barwne kwiaty – opowiada Ania.

Kontynuacją *Szpilek* był projekt *Emeryty*. Jego nazwa pochodzi od manekinów z opowiadań Schulza, które wprowadził też do swojego teatru Tadeusz Kantor. W jego *Umarłej klasie* pojawiły się worki z wizerunkiem matki w różnych okresach życia, stając się znakiem przemijania. Zainspirowana nimi Ania uszyła własne obiekty. Na jednej stronie dwumetrowych worków były nadrukowane stare fotografie z dzieciństwa ludzi z kręgów artystycznych, a z drugiej namalowane przez nią ich dorosłe portrety. Worki posiadały metki, na których umieszczony był także kod QR. Z ich pomocą widz mógł poznać historię danej postaci, a dzięki specjalnej aplikacji jej filmową opowieść o sobie. Instalacja pokazywana była przed Cricoteką.

– Miałam już tyle materiałów dotyczących Schulza, że postanowiłam napisać jego biografię. Myślę, że biografia *Bruno. Epoka genialna*, która się właśnie ukazała, zamknie ten okres w mojej twórczości – mówi Ania, gdy rozmawiam o jej książce w Cafe Szafe. Kawiarnia mieszcząca się przy ul. Felicjanek może nie jest tak kolorowa jak jej pracownia, ale bez wątplenia w jej wystroju czuć rękę malarki. Założyła ją razem z mężem Łukaszem Dębskim, kiedy udało im się zarobić trochę pieniędzy na pisanych przez niego, a przez nią ilustrowanych bajkach dla dzieci. Cafe Szafe to ulubione miejsce krakowian, do którego pewnie miałyby też ochotę wpaść przepadający za kawą Schulz.

– Co byś mu do niej podała?

– Chyba ciasteczka imbirowe. Uwielbiał słodczyce, więc pewnie by mu smakowały – uśmiecha się.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

Odpowiada Anna Kaszuba-Dębska

Jaka pierwsza myśl przychodzi Ci najczęściej do głowy po przebudzeniu?

OK. Dziś jest nowy dzień, zabieram się do pracy.

Co cię napędza do wstania z łóżka, gdy leje deszcz?

Lubię, gdy pada. Myślę, że deszcz jest potrzebny. Martwię się tylko, że nie będę mogła nigdzie pojechać na rowerze.

Jakie kolory poprawiają ci humor?

Turkus, szmaragd, ale też fuksja i pomarańcza.

O czym myślisz, gdy wchodzisz do kuchni?

Znowu trzeba zmyć naczynia.

Lubisz gotować?

Czasem tak, a czasem nie. W kuchni lubię eksperymentować, raczej nie korzystam z przepisów. Za to uwielbiam pieczenie.

Jakie masz ulubione danie?

Nie mam jednego, wybranego dania, lubię próbować różne potrawy. Na pewno nie lubię ostrego smaku.

Przy jakie muzyce odpoczywasz?

Jazz. Zdecydowanie jazz, ten klasyczny.

Czy jest utwór, bez którego nie potrafiłabyś żyć?

Nie, ale wracam często do utworów śpiewanych przez Evę Cassidy.

Twoja ulubiona powieść to...

W życiu sporo już przeczytałam, dlatego nie potrafię jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Nigdy nie czytam powieści po raz drugi. W różnych okresach życia fascynowały mnie różne książki, był czas Kertesza, Littela, był czas Ferrante.

Wiersz, który wydaje ci się bardzo bliski?

Nie ma jednego, jest ich pewnie kilka, może kilkanaście. Ostatnio znowu zaczytywałam się w twórczości Edwarda Leara. Jakoś fascynuje mnie ten zabawny absurd.

Czy istnieje film, przy którym zawsze płaczesz?

Wzruszam się często na filmach, ale podobnie jak z książkami, nie oglądam ich po raz drugi, wolę poznać coś nowego.

Co uważasz za swoje największe osiągnięcie?

Zawodowo – zakończenie pracy nad biografią Brunona Schulza.

Z kim lubisz spędzać wieczory?

Przez ostatnie cztery lata z moją najmłodszą córeczką. Czytamy, śpiewamy i razem zasypiamy.

Gdzie w Krakowie zaprosiłabyś przyjaciół na kolację?

Do restauracji z pięknym widokiem, najlepiej gdzieś na dachu.

Czy są w Krakowie miejsca, gdzie chodzisz na samotne spacery?

Na samotne spacery jeżdżę najczęściej na rowerze, oczywiście nad Wisłą.

A gdybyś na przechadzkę mogła zabrać kogoś z malarzy, kto to by był?

Byłoby ich kilku i kilka, nawet kilkanaście. Zarówno artyści, jak i artystki. Renesansowa malarka Sofonisba, Giotto, Van Gogh, Frida, Nikifor, Rothko, Malewicz, Mela Mutter, Pająkówna, Kisling, Soutine i wielu, wielu innych wspaniałych twórców i twórczyń.



Przechowalnia dzieci

Tekst: Sylwia Pyzik Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Szramy. Jak psychosystem niszczy nasze dzieci to porażająca rekonstrukcja ścieżki leczenia, którą prowadzone są dzieci i młodzież z zaburzeniami psychicznymi w Polsce. Pojedyncze historie splatają się w jeden głos, który ukazuje dramatyczny stan polskiej psychiatrii dziecięcej.

Niezrozumienie problemu w szkole, niedostępni specjaliści, szpital, który mógłby być miejscem akcji powieści Stephena Kinga, gdyby nie istniał naprawdę. Agnieszka, mama Kacpra: „Dla matki to jest podwójny szok. Widzisz to okropne miejsce, a równocześnie myślisz o tym, że twoje dziecko cały czas chce się zabić. Przełykasz ślinę, powstrzymujesz łzy. (...) Kacper był tam półtora miesiąca. Będę tego żałowała do końca życia”. Kiedyś Agnieszka wchodząc na oddział, zauważyła, że dzieci zbiorowo okaleczają się ostrymi przedmiotami, a po rękach spływa im krew. Gdy zgłosiła to pielęgniarce, usłyszała: „No nie upilnuje ich pani, tacy to są gówniarze”. Z niemal każdym wspomnieniem demaskuje się kolejna szrama.

Autorzy, bez nachalnego wytykania winnych palcem, oddają głos tym, którzy poddani są działaniom niewydolnego systemu – dzieciom i ich rodzinom. Adela: „Kiedyś, opowiadano mi, była na oddziale wigilia. I personel nawet opłatkami się nie podzielił z pacjentami. A już żeby wziąć planszówki i z nimi pograć? Żeby jakieś zajęcia zrobić, czymś ich zająć? Tak żeby pacjenci nie wymyślali sobie sposobów na destrukcję. (...) Żeby to nie była po prostu przechowalnia dzieci po próbach samobójczych”.

Czy w takim środowisku możliwe jest wyleczenie lub choćby poprawienie stanu zdrowia pacjenta?

Gdzie jest filozofia humanistyczna, podmiotowość dziecka, myśl Janusza Korczaka i inne osiągnięcia pedagogiki XX wieku? Gdzie współczesna psychiatria, terapia, psychologia środowiskowa? Gdzie godność, wrażliwość, ludzka przyzwoitość? Książka nie daje odpowiedzi, ale szuka przyczyn, autorzy piszą: „Trzeba coś zrobić, skoro wiadomo, że nic się nie da zrobić”.

Kacprze, Olgo, Aniu, Aleksandro, Adelo i Wy wszyscy – wyjątkowi i odważni, którzy macie siłę, by opowiedzieć o tym, co Was spotkało – oby Wasze głosy wreszcie zostały usłyszane.

Jeśli miarą społeczeństwa jest to, jak traktuje najsłabszych – zawiedliśmy. Książka Witolda Beresia i Janusza Schwertnera to policzek wymierzony czytelnikowi, policzek bolesny, ale zasadny. Problem sięga bowiem głębiej niż szpitalny oddział. Jest w szkole, w pracy, na ulicach, w debacie publicznej. Olga: „Wtedy rozumiałam, że ja i »Zetka« nie mamy na kim polegać. Że cały ten system nas zawiódł. Że dorośli nas zawiedli”.

Witold Beres, Janusz Schwertner, *Szramy. Jak psychosystem niszczy nasze dzieci*, Wielka Litera, Warszawa 2020 (premiera 16 września).

Miesięcznik „Kraków” jest partnerem medialnym książki.

Wszystkie drogi prowadzą do ciszy

Tekst: Dominik Jedliński Zdjęcia: Sannhet Studio (Dominika Feiglewicz) i Piotr Kubic (*Wojna w niebie*)

Jej *Wojna w niebie* pokazała, że osoby z niepełnosprawnościami mogą odnaleźć swoje miejsce w świecie sztuki. Ale aktorka i reżyserka Dominika Feiglewicz ma światu jeszcze wiele do wykrzyczenia. I o dziwo nie potrzebuje do tego potężnych megafonów – może to robić w zupełnej ciszy.

„Milczymy wszyscy tak samo” – powiedział kiedyś Krzysztof Globisz. Słynny aktor, który w lipcu 2014 roku przeszedł rozległy udar mózgu, zawzięcie walczył o zdrowie i wreszcie wrócił na scenę w wielkim stylu. Przy okazji pomógł wszystkim wykluczonym upominającym się o głos. Był też inspiracją dla Dominiki Feiglewicz, aktorki i reżyserki teatralnej, działaczki społecznej i prezeski Fundacji Migawka zajmującej się tworzeniem przyjaznej przestrzeni w sztuce dla osób z niepełnosprawnościami.

Poznali się w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej im. Ludwika Solskiego (dziś Akademia Sztuk Teatralnych im. Stanisława Wyspiańskiego). Feiglewicz była wówczas na czwartym roku studiów aktorskich. Jej rocznik był jednym z pierwszych, który miał zajęcia z aktorem po jego udarze.

– Kiedy rozpoczynałam aktorską przygodę, miałam spore trudności z wypowiedaniem swoich myśli na forum. Wydawało mi się, że nikt mnie nie rozumie, więc pomysły przekładałam na konkretne działania na scenie. Na czwartym roku spotkałam kogoś, kto miał podobnie. Tym kimś był Krzysztof Globisz – wspomina Feiglewicz.

Aż słowo się stworzy

Zaczęła się wielka przygoda, ale i prawdziwa lekcja pokory i cierpliwości. Globisz pokazał młodym studentom, jak w praktyce wygląda (dziś nieco wyświechtane przez reklamowy slogan) powiedzenie: wyrazić więcej niż tysiąc słów. On powoli wypowiadał słowa, oni – jak to z młodymi gniewnymi bywa – chcieli przyspieszyć. Nie było wyjścia, trzeba było czekać. Aż słowo się stworzy.

– Praca z nim otworzyła przede mną nowe perspektywy dotyczącego tego, co można robić w teatrze. Pokazała, jak bawić się słowem, jak poszukiwać w języku – opowiada Feiglewicz, wspominając Globisza, który czasami na zajęciach słowa wygrywał nawet na harmonijce ustnej.

Pracowali na poruszającym tekście *Wojna w niebie* Josepha Chaikina. Nie przez przypa-

dek. Amerykański dramaturg, dobijając pięćdziesiątki, sam doznał udaru, a poprzez afazję (zaburzenie funkcji językowych powstałe w wyniku uszkodzenia mózgu) został wykluczony ze społeczeństwa. Mimo to nadal tworzył, co stało się jego terapią i drogą powrotu do zdrowia.

Globisz pokazał młodym studentom, jak w praktyce wygląda powiedzenie: wyrazić więcej niż tysiąc słów. On powoli je wypowiadał, oni – jak to z młodymi gniewnymi bywa – chcieli przyspieszyć. Nie było wyjścia, trzeba było czekać. Aż słowo się stworzy.

Dzielić się z potrzebującymi

Doświadczenie tych zajęć popchnęło aktorkę do dalszych poszukiwań. Pewnego dnia na drodze pojawili się głusi. Pierwsi, poznani tuż przy Rynku, podczas niedzielnych spotkań z bezdomnymi podczas akcji Zupa na Plantach. Przynieśli upieczone przez siebie ciastka, żeby podzielić się z potrzebującymi.

– Zaczęłam z nimi rozmawiać. Szybko złapałmy dobry kontakt. Zaprośili mnie do swoich przestrzeni. I tak nogi powiodły mnie do Polskiego Związku Głuchych. Tam poznawałam kolejne osoby i krakowskie „miejsca głuchych” – opowiada aktorka.

W głowie kiełkowała jej myśl o własnym spektaklu. Zrobiła casting. Wtedy poznała Patrycję, Dominikę, Krystiana i Rafała.

Łamać bariery

Patrycja Nosowicz lubi czytać poezję, tańczyć i słuchać muzyki, bez której nie umiałaby żyć. Dominika Kozłowska kocha balet i emocje chce wyrażać w tańcu, Krystian Maligłówka uwielbia kreskówki i pantomimę (Człowiek-Komiks, jak opisuje go Feiglewicz). Z kolei



Rafał Bołdys nie może żyć bez nowych wyzwań, sportu i dobrego filmu.

Każdy chciał swoje pasje wykorzystać na scenie. Niestety, osoby głuche często są wykluczone ze świata kultury. Jeśli już się ich do niego dopuszcza, to głównie w roli odbiorców.

Postanowili to zmienić i stworzyć spektakl, który będzie łamać bariery komunikacyjne. Przygotować sztukę tworzoną razem przez osoby głuche, niedosłyszające i słyszające, która pokaże, że teatr może być przestrzenią poruszającego doświadczenia i spotkania różnych światów. Co ważne, słyszący twórcy działali tutaj za kulisami. To odwrócenie ról w stosunku do tego, jak może wyglądać codzienność.

Pracowali za darmo. Pieniądze na wyprodukowanie spektaklu pozyskali ze zbiórki w sieci. Spora część poszła na wykupienie praw autorskich do tekstu.

Na próbach łączniczką w komunikacji tych dwóch, choć wcale nie tak różnych światów, była Patrycja. Całą ekipa pilnowała jednak reżyserki, żeby jak najszybciej zaczęła posługiwać się językiem migowym. Udało się. Nauczyła się opowiadać świat na migi. Na początku przełamanie tej bariery wymagało wysiłku. Ale o to w tym przedsięwzięciu chodziło.

W świecie zdominowanym przez dźwięk

Tekst Chaikina został przetłumaczony na polski język migowy, tak aby jego poetycka forma została zachowana, a jednocześnie była w pełni zrozumiała przez osoby głuche. Nie słyszające miewają bowiem kłopoty z myśleniem abstrakcyjnym i metaforycznym, dlatego potrzebują dodatkowych objaśnień. Zasadniczą część interpretacji tekstu nadali oczywiście sami aktorzy, wcielając się w postaci i przelewając w nie swoje emocje.

Wojna w niebie to historia aniołów, które znalazły się na ziemi i nie potrafią się odnaleźć w świecie. Podobnie jak osoby z wadą słuchu, które próbują przebić się przez różne przeszkody w świecie zdominowanym przez dźwięk. Spektakl opowiada o poszukiwaniu tożsamości, problemach bycia niezrozumianym przez otoczenie i trudnościach społecznych wynikających z barier komunikacyjnych.

– Nieważne, czy jesteś głuchy czy słyszający; migasz czy mówisz, sam siebie też poszukujesz w tym zwariowanym świecie – mówi reżyserka. Ostatecznie podczas *Wojny w niebie* inną treść otrzymują osoby niesłyszające, inną osoby słyszające. Dla „słyszaków”, którzy nie migają, spektakl staje się jedynym w swoim rodzaju doświadczeniem, intymnym wglądem w świat głuchych. Sztuka pozwala osobom niesłyszającym usłyszeć. I zrozumieć, że świat tych ludzi nie musi być światem równoległym i obcym dla naszego. Używamy innego języka. I nic więcej.

Ważną rolę w tym procesie odgrywał sprostokowany do patrzenia odbiorca. Wciąż

przecież odruchową reakcją w przestrzeni publicznej na osoby z niepełnosprawnościami jest odwrócenie wzroku.

Nie lubię robienia z osób niepełnosprawnych biedaczków, którzy jedyne, co mogą zagrać, to beznadziejne rólki w domu kultury z bibułami na głowie. Zależało mi, by zrobić z nimi coś na normalnych deskach teatralnych, z normalną scenografią, kostiumami. Żeby poczuli, że biorą udział w czymś pro-

Globisz na zajęciach czasami wygrywał słowa nawet na harmonijce ustnej.

fesjonalnym. Dać im poczucie, że robią coś ważnego, że mogą spełnić swoje marzenia – mówi Feiglewicz.

Oni są całą prawdą

Według reżyserki osoby z niepełnosprawnościami wnoszą do teatru prawdę, której dziś często na deskach brakuje: – Ten język jest żywy, prawdziwy. Odstaniają swoje głęboko ukryte przeżycia. Gdy migają, masz poczucie, że dają siebie w całości. Ta prawda z nich płynie. Oni są całą prawdą. Język jest w nich, a prawda przenosi się na widza.

Aniołem stróżem pomysłu został sam Globisz. – Kiedy profesor usłyszał, że pracujemy nad takim projektem, od razu postanowił nam pomóc – wspomina Feiglewicz. Aktor użyczył głosu w spektaklu, był też na premierze w czerwcu 2018 roku w Cricotece. Oprócz niego na wydarzeniu pojawili się inni aktorzy: Anna Dymna, Roman Gancarczyk, Rafał Dziwisz, a także Dorota Segda, rektor AST.

– Nie czuliśmy między sobą żadnych barier. Cudownym doświadczeniem było dla mnie pokazanie słyszającym prawdy o naszej codzienności. Myślę, że kiedy słyszający nas zrozumieją, świat zmieni się na lepszy – mówił po premierze Rafał Bołdys.

– Gra w spektaklu była dla mnie jak przekroczenie bariery, którą jest moja wada słu-

Postanowili stworzyć spektakl, który będzie łamać bariery komunikacyjne. Przygotować sztukę tworzoną razem przez osoby głuche, niedosłyszające i słyszające, która pokaże, że teatr może być przestrzenią poruszającego doświadczenia i spotkania różnych światów.

chu. Od dzieciństwa marzyłam, żeby wystąpić na scenie teatru. (...) Chcę dalej tworzyć sztukę dla głuchych, nasz świat jest pełen uczuć – dodała Patrycja Nosowicz.

Wojna w niebie okazała się najlepszym spektaklem teatru niezależnego ubiegłego sezonu. Spektakl wyruszył w tournée

po Polsce, ekipa zawitała do miast Małopolski: Zakopanego, Nowego Sącza, Tarnowa. Ale także dalej: do Wrocławia, Katowic czy Warszawy. Występy przerwała pandemia COVID-19.

Łączenie światów

Feiglewicz poszła za ciosem.

Jeszcze przed wybuchem zarazy, postanowiła założyć fundację. Widząc, z jakimi trudnościami mierzą się osoby z niepełnosprawnościami, zapragnęła stworzyć prze-

Osoby niesłyszące i posługujące się językiem migowym wyrażają emocje w sposób o wiele bardziej ekspresyjny. Mają w sobie niespotykaną uważność na mimikę twarzy, gestykulację i mowę ciała innych osób. To wszystko przekłada się na nową gamę środków teatralnych, które można stosować na scenie. Osoby z wadami słuchu tworzą nowy język dla teatru.

strzeń w sztuce, by także niepełnosprawni czuli się spełnieni. I tak w lutym 2019 roku oficjalnie zaczęła działać Migawka. Wszystkie warsztaty teatralne, plastyczne i muzyczne współtworzą osoby niesłyszące, niedosłyszące i słyszące.

- Założyłam, że ta fundacja ma integrować przez sztukę. Do świata kultury ma włączać osoby z niepełnosprawnościami, a nie tylko ją udostępniać. Większość fundacji dąży do tego, aby poszczególne wydarzenia były dostępne dla osób wykluczonych. Mnie zależało na tym, by rozwijać artystycznie osoby z niepełnosprawnością słuchu. Sprawić, by to oni byli twórcami. Nie robimy teatru głuchych wyłącznie dla głuchych. Dążę do tego, żeby fundacja działa-

Wojna w niebie okazała się najlepszym spektaklem teatru niezależnego ubiegłego sezonu. Spektakl wyruszył w tournée po Polsce. Występy przerwała pandemia.

ła na rzecz przełamywania barier i łączenia środowisk, łączenia światów, wspólnego tworzenia - mówi.

I idzie krok dalej.

- Bardzo bym chciała, żeby osoby z niepełnosprawnościami mogły dostać się do szkoły teatralnej albo miały jakiegokolwiek możliwości rozwoju w kierunkach artystycznych - wyznaje.

Odrzucenie

Na akademiach teatralnych w Polsce nie ma miejsca dla niesłyszących, bo to dla uczelni dodatkowy problem. Osoba z niepełnosprawnością potrzebuje asystenta lub tłumacza języka migowego. Z drugiej strony, cudzoziemcy, którzy podobnie jak niesłyszący posługują się innym językiem, mogą zdawać do szkół teatralnych. Języki obce nie są problemem, ale język migowy już tak.

Co więcej, w zasadach postępowania kwalifikacyjnego przy przyjmowaniu na I rok studiów na wydziale aktorskim na krakowskiej AST możemy przeczytać, że „studia aktorskie, jak również samo wykonywanie zawodu aktora wymagają ogromnej sprawności fizycznej i dobrej kondycji”, a także że „w trakcie sprawdzania zdolności artystycznych zbadana zostanie przez komisję ogólna sprawność ruchowa, poczucie rytmu oraz wyrazistość ciała”.

Z doświadczeniem odrzucenia przez szkoły artystyczne spotkali się także niesłyszący aktorzy z zespołu Feiglewicz. Usłyszeli, że teatr i scena nie są dla nich. Oni wytrwali i uczyli się aktorstwa w innych miejscach - w szkołach specjalnych, na zajęciach dodatkowych, na warsztatach, w integracyjnych grupach teatralnych. - Patrząc na ich doświadczenie, wierzę w to, że kiedyś osoba niesłysząca zostanie przyjęta na akademię teatralną” - zapowiada reżyserka.

Władze uczelni swoje podejście motywują troską o szanse przyszłego aktora na rynku pracy. Nawet Mat Fraser, dotknięty phomielią, który rozpoznawalność zawdzięcza między innymi roli w serialu *American Horror Story: Freak Show*, narzekał, że sukces ten nie pozwolił mu zaistnieć w głównym nurcie przemysłu filmowego: „Byłem odpowiednią osobą do pokazu osobliwości, ale oni nie są w stanie dostrzec we mnie sąsiada albo ojca, albo nauczyciela”. Zasada ta działa jednak tylko w jedną stronę, bo już do ról postaci z niepełnosprawnościami najczęściej angażowani są aktorzy bez niepełnosprawności.

Nowy język dla teatru

Tymczasem Feiglewicz zauważa, że osoby niesłyszące i posługujące się językiem migowym wyrażają emocje w sposób o wiele bardziej ekspresyjny. „Mają w sobie niespotykaną uważność na mimikę twarzy, gestykulację i mowę ciała innych osób. To wszystko przekłada się na nową gamę środków teatralnych, które można stosować na scenie. Osoby z wadami słuchu tworzą nowy język dla teatru, którego nasze wydziały aktorskie nie znają” - tłumaczyła przed rokiem w rozmowie z *Holistic.News*.

Jej zdaniem, celem twórców powinno być włączenie artystów z niepełnosprawnością w obręb polskiego teatru, umożliwienie koegzystencji różnorodnych podmiotów na deskach teatralnych, jak również general-



na zmianę myślenia o niepełnosprawności. Chodzi o poszerzenie perspektywy i świadomość, że różnice nie muszą blokować twórczej współpracy.

– Dzięki pracy z osobami niesłyszącymi nauczyłam się słuchania, cierpliwości, patrzenia na codzienność nieco inaczej. I ogromnej wdzięczności za to, co się ma – mówi.

Augusto Boal, wizjoner i teoretyk teatru, jeden z najwybitniejszych reżyserów Ameryki Łacińskiej, profesor i wykładowca na Harvardzie i w Nowym Jorku, wielokrotnie podkreślał, że w najbardziej pierwotnym rozumieniu teatr jest to właściwa wyłącznie ludziom „zdolność obserwowania samych siebie w działaniu”. Teatr to przestrzeń do samorealizacji – pozwala obserwować samych siebie i poprzez doświadczanie roli innej osoby wyobrażać sobie siebie, czy to teraz, czy w przyszłości. Zwracał przy tym uwagę, że sztuka teatralna uwrażliwia ludzi na „spektakle” dnia codziennego. W nich aktorzy są własnymi widzami, natomiast scena oraz wi-

downia się przenikają. Każdy człowiek jest artystą, a poprzez teatr ma możliwość dostrzec to, czego zazwyczaj nie widzi (i nie słyszy!), mimo że mogłoby się to wydawać oczywiste.

Działania Feiglewicz i Migawki zbliżają nas do tego celu. Pozwalają „rzucić światło na scenę życia codziennego”.



Dominik Jedliński – absolwent Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej. Autor bloga filmowego Filmbuk (filmbuk.weebly.com), na którym można znaleźć m.in. pierwszą w języku polskim analizę filmografii amerykańskiego re-

żysera Scotta Coopera. Miłośnik kina prawniczego. Tworzył działy prasowe największych krakowskich festiwali filmowych: Off Camera oraz Etiuda&Anima. Pisał o kulturze dla wielu mediów.


Kraków

Cykl koncertów jubileuszowych z okazji 25-lecia odnowienia Willi Decjusza

Stanisław Słowiński
– I Koncert Skrzypcowy *Visions*
6 września 2020, godz. 17.00

Ludwig van Beethoven
– Septet *Es-dur*
2 października 2020, godz. 17.00

Franz Schubert
– Kwintet Smyczkowy *C-dur*
Felix Mendelssohn - Bartholdy
– Oktet *E-dur*
25 października 2020, godz. 17.00

Wstęp wolny.

Obowiązuje wcześniejsza
rejestracja online.

www.willadecjusza.pl

INSTYTUT KULTURY WILLA DECJUSZA – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

Organizatorzy:



25
Instytut Kultury
Willi Decjusza 25 lat odnowienia
Willi Decjusza



Finansowanie:

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Instytut Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

OSZCZĘDNOŚĆ
KRAKÓW
ZWIĘZIENIE

Dofinansowanie ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, pochodzących z Funduszu Promocji Kultury w ramach programu „Muzyka”, realizowanego przez Instytut Kultury i Teatru.

Dofinansowanie ze środków
Rady Distryktu VII Zastawny

Patrocy medialni:

o2stygnie

RADIO
KRAKÓW

kraków.pl

muzyczny
krakow.eu

PRESTO

KRAKÓW

Central Music

Jest takie miejsce

Tekst: Witold Beres (opracowanie) Zdjęcie: Fundacja Zawsze Warto

**Klasyczny niemal, mieszczański salon na pierwszym piętrze kamienicy z przełomu XIX i XX wieku. Dębowe parkiety, wysokie okna, a w rogu potężny for-
tepien August Förster. 200 metrów od siedziby naszej redakcji.**

Fundacja Zawsze Warto, Radziwiłłowska 23. Motto tych ludzi mogłoby płynąć z wiersza-piosenki Jonasza Kofty: „Zawsze warto... coś, co się być może nie opłaca”. Bo celem fundacji stworzonej przez krakowską firmę Laboratorium Kosmetyków Naturalnych „Farmona” jest program najszerzej rozumianej edukacji humanistycznej i obywatelskiej adresowany przede wszystkim do ludzi młodych. Fundacja formalnie powołana została pięć lat temu, ale że wywodzi się programowo oraz kadrowo z Fundacji Panteon Narodowy na Skałce oraz Panteonu Narodowego, więc jej tradycja jest dużo, dużo dłuższa.

A samych inicjatyw – bez liku.

Zacznijmy od tych, które właśnie są na tapecie.

1.

Ogólnopolski projekt „Matura na 100 procent” realizowany jest w partnerstwie z Centralną Komisją Egzaminacyjną (organizatorem matur), a jego celem jest wyróżnienie i promocja najlepszych polskich maturzystów – tych, którzy zdają wszystkie egzaminy na 100 lub prawie na 100 procent. To również promocja szkół i środowisk tworzących warunki do osiągnięcia tak znakomitych wyników oraz uczelni, tych najlepszych, wybieranych przez „maturzystów na 100 procent”.

Kolejne Gale – spotkania corocznych laureatów – odbywają się w największych ośrodkach akademickich kraju, a ich współgospodarzami są prezydenci miast i marszałkowie województw. W ubiegłym roku była to na przykład Gdynia (patrz: zdjęcie).

Teraz gospodarzem były Katowice, choć z powodu pandemii spotkanie mogło się odbyć tylko wirtualnie. I pomimo tych perturbacji oraz surowych kryteriów regulaminowych wymagania projektu spełniło w tym roku więcej uczniów niż w latach minionych. Aż finalistami tej edycji zostało aż 96 uczniów, a spośród tej grupy Kapituła wyłoniła 24 najlepszych. To rzeczywiście najlepsi z najlepszych i tu różnice są już minimalne, więc nie ma zwycięzców – są po prostu finaliści finału. Są na tej liście niespodzianki (na przykład, pierwszy raz w tej grupie znalazła się absolwentka Technikum nr 7 w Nowym Sączu czy z Zakliczyna), ale i są „pewniaki” znane z wszystkich edycji – w finale finałów jest aż sześciu uczniów z Małopolski, w tym czworo

absolwentów „piątego zakładu”, czyli V LO im. Augusta Witkowskiego w Krakowie.

W skali kraju największą grupę wśród finalistów (21) stanowią absolwenci szkół mazowieckich, a wśród finalistów są też uczniowie III LO im. Marynarki Wojennej w Gdyni, XIV LO im. Polonii Belgijskiej we Wrocławiu, Gdańskiego Liceum Autonomicznego, Uniwersyteckiego Liceum Ogólnokształcącego w Toruniu.

Jeden z krakowskich laureatów, Michał Radecki z krakowskiej „piątki”, tak komentuje swój sukces:

– Myślę, że ukształtowali mnie otwarci na świat i wrażliwi na otaczającą rzeczywistość, nieustannie ze sobą dyskutujący rodzice. Podczas zabawy samochodzikami chłonałem te rozmowy i już jako dziecko powtarzałem podobno bez większego zrozumienia złożoną terminologię, co musiało być zabawne. Wierzę jednak, że później przełożyło się to na moją ciekawość świata i pasję zdobywania wiedzy. A jeśli *sky is the limit*, to moim marzeniem jest wnieść się ponad *sky*. A tak poważnie, to chciałbym zostać wielkim naukowcem i mieć wpływ na losy świata.

2.

W pierwszych dniach października (8–10 października) rusza inna stała impreza: Jesienne Święto Poetów zbiegające się z krakowską Nocą Poezji. Zawołaniem tegorocznej Nocy jest „Podróż”, a jak podróż i poezja, to Gałczyński, zaczarowana dorożka zwana dryndą i... Jan Kaczara, dorożkarz co poezją gości swoich bawił. Ponieważ mija w tym roku 40 lat od śmierci słynnego dorożkarza, organizatorzy pragną, aby na ulice Krakowa znów wyjechała (jak epidemia pozwoli) dorożka pełna poezji i poetów – z wielkim ukłonem pod adresem Ewy Lipskiej i Bronisława Maja. Trasa: przelazowa. Start spod Domu Literatów na Krupniczej 22, przystanek pod Adasiem (czyli pomnikiem Mickiewicza na Rynku Głównym), a potem kwiaty pod Kamienicą Murzynów na rogu Rynku i Floriańskiej, pod kamienicą z mieszkaniem Czesława Miłosza i meta pod domem rodzinnym Wisławy Szymborskiej na Radziwiłłowskiej 29. A potem wieczór poetycko-muzyczny i rozstrzygnięcie konkursu, do którego, podobnie jak w roku ubiegłym, w przededniu Nocy (w piątek 9 października) zaproszeni są wszyscy mieszkańcy Krakowa – miasta literatury

UNESCO, miłośnicy poezji, tej współczesnej i tej ze szkolnych lat.

3.

Poza tym Zawsze warto organizuje w Salonie Radziwiłłowskim co miesiąc, zwykle w trzecią niedzielę, spotkania z muzyką klasyczną w wykonaniu młodych artystów. Tu prowadzona jest również Muzyczna Akademia Ma-

wspólnie ze Stowarzyszeniem Polonistów w Krakowie.

Widać się spodobał, skoro od kilku już lat w Dyktandzie biorą udział uczniowie wszystkich typów szkół w kilku województwach (w tym roku w ośmiu) oraz szkoły polskie za granicą. To corocznie kilkadziesiąt tysięcy osób – łącznie w minionych latach już niemal 150 000!



lucha – program edukacji muzycznej adresowany do dzieci.

Jest nadto Fundacja (wspólnie z Polską Akademią Umiejętności) organizatorem trwającego wiele lat projektu Herbaciarnia Naukowa, czyli comiesięcznego otwartego spotkania z przedstawicielami świata sztuki, kultury i nauki, których uczestnikami są uczniowie krakowskich i małopolskich szkół. Wśród gości byli między innymi Krzysztof Zanussi, prof. Jan Miodek, prof. Grzegorz W. Kołodko, prof. Marta Wyka, prof. Andrzej Zoll, Krzysztof Globisz, Jerzy Stuhr, Anna Dymna, Michał Rusinek.

4.

Jest wreszcie i Dyktando Niepodległościowe Po polsku o historii – pomysł będący próbą reaktywacji klasycznej formy sprawdzianu znajomości języka ojczystego oraz podstaw współczesnej historii Polski realizowany

Dyktando jest tradycyjne, jak tradycyjne jest nasze miasto, ale to kolejne wartościowe przedsięwzięcie edukacyjne, promujące Kraków i województwo.

*

Pisząc o Fundacji i ulicy Radziwiłłowskiej, nie można zapomnieć o jeszcze jednym: oto Zawsze warto zadbała (wspólnie z urzędem miasta, Fundacją Wisławy Szymborskiej oraz rodziną pp. Elżbiety i Jana Pindlów) o upamiętnienie noblistki pamiątkową tablicą na jej domu rodzinnym (przypomnijmy: numer 29, skądinąd tuż obok siedziby fundacji).

Słowem – magia miejsca podtrzymana.



Witold Bereś – producent filmowy, scena-rzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

Teatr mój widzę ogromny ... a w nim pusta scena i pusta widownia?

Tekst: Agencja Reklamy „Wenecja”/Martyna Nowakowska Zdjęcie: Agencja Reklamy „Wenecja”

Kiedy w marcu zawieszono działalność instytucji kultury, nikt nie przypuszczał, że pandemiczna ostrożność stanie się codziennością. A teatr to taka forma sztuki, która nie może żyć bez powietrza, czyli bez widzów.



Rząd wcześniej, bo już w maju, zezwolił na działalność galerii sztuki, muzeów czy kin plenerowych. Następnie wznowiono prace na planach filmowych oraz próby teatralne. Jednak na otwarciu teatrów trzeba było czekać aż do 6 czerwca. Reżim sanitarny – udział maksymalnie połowy publiczności, maseczki, wypełnianie oświadczeń i strach przed zakażeniem sprawiły, że wiosenny sezon przez widzów, pracowników i dyrektorów został spisany na straty. Jeszcze była nadzieja, że we wrześniu nastąpi pełne otwarcie. Sytuacja jednak się nie poprawiła. Zielony, żółty, czerwony – trzy kolory bezpieczeństwa oznaczają, że trudno cokolwiek zaplanować. W powiatach „żółtych” teatry mogą grać wyłącznie dla 25 procent publiczności. W strefach czerwonych – pozostają zamknięte. Kiedy Kraków zaświecił się na żółto, instytucje musiały zweryfikować plany, opracować system sprzedaży oraz zwrotu biletów i znów drżeć o przyszłość.

Przykładowo dotacja dla Teatru Bagatela pokrywała jedynie 40–50 procent kosztów stałych funkcjonowania teatru. W pozostałej części teatr utrzymywany był przez widzów. Brak wpływów ze sprzedaży biletów to co najmniej 250 tysięcy złotych miesięcznie, o które pogłębia się dziura w budżecie.

Podobnie jest na przykład w Bielsku-Białej. Teatr Polski został zamknięty w marcu, dwa dni po premie-

rze *Cyrano De Bergerac*. Później dyrekcja teatru zdecydowała się ruszyć ponownie w pierwszy możliwy dzień, czyli 6 czerwca, a chcąc nadrobić stracone miesiące, teatr grał także w lipcu i sierpniu.

Aktywność instytucji kultury w czasie zamknięcia przeniosła się do internetu. Teatry dzieliły się z publicznością nagraniami ze spektakli, przygotowywały cykle tematyczne czy słuchowiska. Ze środków programu „Kultura w sieci” zrealizowano wiele materiałów audiowizualnych. Takie działania podejmowano nie tylko w Polsce, ale i za granicą. We Włoszech na przykład już na początku pandemii powstały dziesiątki internetowych projektów. Wenecki Teatr Goldoni udostępnił widzom filmy ułatwiające nabranie dystansu do trudnej sytuacji, w jakiej znalazła się kultura. „Jak mogliśmy przetrwać wcześniej, bez wszystkich korzyści płynących z dowodzenia życiem jednym kliknięciem?” – pytają w jednym z nich weneccy artyści.

Kraków uruchomił specjalną platformę VOD – Play Kraków, za pomocą której teatry i inne instytucje będą mogły udostępniać online materiały audiowizualne. (Bielsko-Biała przygotowanie i wdrożenie platformy VOD ma już za sobą).

Wraz z nowym sezonem teatry podjęły decyzję o powrocie do wystawiania spektakli repertuarowych. Teatr Nowy zaprosił widzów na premierę sztuki *Kazik. Ja tylko*

zartowałem. Jako że bezpieczeństwo jest priorytetowe, odbyła się on zgodnie z obowiązującymi wytycznymi sanitarnymi: płyny do dezynfekcji, mierzona temperatura, zachowane odległości, obowiązkowe maseczki.

Teatr Bagatela uruchomił sprzedaż biletów w połowie sierpnia, ale było widać, że widzowie nie byli pewni, czy to dobry moment na zakup.

W innych krajach naszego regionu jest podobnie. Rząd Austrii rozpoczął znoszenie restrykcji w sektorze kultury jeszcze w maju. Theater an der Wien wznowił grę wraz z premierą ZAZÀ zaplanowaną na 16 września – oczywiście zgodnie ze wszystkimi wymogami higieny i bezpieczeństwa. Aby zachować zalecaną minimalną odległość, zmniejszono liczbę dostępnych miejsc w teatrach. Widzom już na etapie zakupu biletu przydzielane są określone kolory (żółty, niebieski, zielony, biały) oznaczające wejścia i sektory. Podczas wizyty w teatrze należy pozostać w wyznaczonych strefach kolorów.

Czy rzeczywiście znaleźliśmy się w miejscu, gdzie wszystko wraca do normy? Wygląda na to, że największym wyzwaniem będzie utrzymanie miejsc pracy i stabilizacja finansowa, która pozwoli dotrzeć do przyszłego roku. Niestety, perspektywy listopada czy grudnia są dosyć kiepskie. Dziś odpowiedzialny dyrektor instytucji kultury powinien zdawać sobie sprawę z tego,

w jakim miejscu się znajduje i – niestety – przyjąć nawet najbardziej niepopularne decyzje, które jednak nie spowodują jeszcze większej straty ekonomicznej. Wygląda na to, że instytucje kultury powinny skupić się na wewnętrznej pracy artystycznej. Teatr w Bielsku-Białej liczy się ze spadkiem frekwencji, jednak wykazuje optymistyczne podejście. Przed pandemią mieli niemal stuprocentową frekwencję na obu scenach, ponad czterdzieści wydarzeń w miesiącu. Teraz, co prawda z dyskomfortem oglądania spektakli w maseczkach, do końca roku mogą grać przy widowni zapełnionej w połowie.

*

– Krakowska kultura przetrwała już niejedną dziejową sprawdzian, a trudne sytuacje służyły czasem do wyznaczenia nowych kierunków rozwoju – liczę, że tym razem nie będzie inaczej – prof. Jacek Majchrowski.

– Idźcie do teatru. Do teatrów. Każdy teatr Was, publiczności, teraz potrzebuje – Piotr Sieklucki, Teatr Nowy Proxima

– Jednego jestem pewien, że jak się to skończy, to będziemy mieć pełną widownię w teatrach. A tymczasem musimy być ostrożni i każdą decyzję, zwłaszcza finansową, podejmować bardzo odpowiedzialnie – Andrzej Wyrobiec, Teatr Bagatela.

Prezydent Krakowa prof. Jacek Majchrowski: Utraczone przychody wynikające z zamknięcia instytucji dla publiczności i koszty związane z zapewnieniem odpowiedniej ochrony przed koronawirusem dla pracowników i widzów są bardzo duże. Najtrudniejsza sytuacja jest w tych teatrach, które dotychczas znaczną część swojej działalności finansowały z przychodów ze sprzedaży biletów, takich jak Teatr Bagatela, Ludowy i Groteska. Miasto na bieżąco śledzi kondycję finansową teatrów miejskich i stara się wspomagać te instytucje, których przychody szczególnie spadły w okresie epidemii. Udziela wsparcia w postaci zwiększenia dotacji podmiotowej, przeznaczanej na dofinansowanie działalności bieżącej i dotacji celowych na realizację zadań inwestycyjnych oraz projektów dofinansowanych ze źródeł zewnętrznych.

Mam nadzieję, że powrót studentów spowoduje większą otwartość na bezpośrednie uczestnictwo w kulturze – w spektaklach, koncertach, spotkaniach i warsztatach. Zdajemy sobie sprawę, że proces odbudowy poziomów frekwencyjnych sprzed pandemii potrwa długo – szacuje się, że minimum rok lub dwa lata po ustaniu stanu epidemicznego.

Teraz naszym głównym celem jest pielęgnowanie potrzeby uczestnictwa w kulturze i utrzymywanie kontaktu z publicznością zarówno w przestrzeni bezpośredniej, jak i wirtualnej. Produkcja materiałów audiowizualnych w formie spektakli teatralnych, obok prezentacji ich „na żywo”, pozwoli na uzyskanie dodatkowych wynagrodzeń dla twórców i artystów oraz pracowników teatrów.

*

Andrzej Wyrobiec, dyrektor Teatru Bagatela: Czym innym jest 50 procent widowni na hali sportowej, gdzie jest kilka tysięcy miejsc, a czym innym w teatrze, gdzie jest 338 miejsc. Wpływy ze sprzedaży biletów, po odjęciu kosztów eksploatacji, mogą przy pełnej widowni

dać 15–20 procent zysku. Przy połowie czysty zysk jest w zasadzie nierealny. Mamy świadomość, jaki wysiłek podejmuje gmina, żebyśmy przetrwali. Otrzymujemy regularne wsparcie w formie dotacji. Jeśli zaczęlibyśmy w najbliższych miesiącach zwiększać koszty, byłoby to nieodpowiedzialne, a wobec miasta po prostu nieuczciwe. Dlatego wybraliśmy na wrzesień i październik takie spektakle, które są tańsze w eksploatacji, żeby nie dopłacać do tego, co robimy.

Jako instytucje kultury, co oczywiste, nie jesteśmy dzisiaj pierwszym wyborem dla mieszkańców. Naszym obowiązkiem jest zmiana tego nastawienia: troska o łatwy dostęp widza do kultury i atrakcyjna oferta programowa.

*

Diletta Rostellato, asystentka ds. promocji dyrektora teatru, Teatr Goldoni, Wenecja: Przyjmując wszystkie przepisy bezpieczeństwa wymagane przez rząd włoski przy otwieraniu teatrów, przedstawiliśmy program letni z pokazami od lipca do września. A w listopadzie wznowimy sezon zimowy!

*

Irena Świtalska (asystent dyrektora ds. artystycznych, Teatr Polski, Bielsko-Biała): Przez cały okres pandemii i zamknięcia sceny wpuszczaliśmy widzów w swój domowy świat i dzieliliśmy się swoimi przemyśleniami. To wytworzyło nowy rodzaj więzi z widzami. W drugiej połowie czerwca odbyła się prapremiera polska spektaklu *W górę!* Petera Quiltera. Z uwagi na obostrzenia spektakl premierowy został również udostępniony na platformie internetowej. Dzięki temu ci widzowie, którzy z uwagi na sytuację i obostrzenia sanitarne nie mogli dotrzeć do teatru (w tym sam autor!), zobaczyli jego transmisję.

Ale tworzymy. Na teatralnym Facebooku działaliśmy trzy miesiące pod hasłem „Show must go on!” i tak się dzieje.



Świtezianki z wiankiem na głowie

Tekst: Marta Gruszecka Zdjęcie: Halina Jagielska/za wiedzą i zgodą archiwum LOR

Są urocze, młodziutkie i piekielnie utalentowane. Wyglądają jak świtezianki z Mickiewiczowskiej krainy Świtezi. Panny z zespołu LOR to nasze krakowskie dobro narodowe.

Grupę tworzą cztery artystki: dwie Julie – Skiba na pianinie i Błachuta na skrzypcach, jedna Jagoda Kudlińska w roli wokalistki oraz jedna Paulina Sumera, czyli autorka tekstów i łebsko żartująca podczas koncertów konferansjerka. Wszystkie są z Krakowa, trzy skończyły szkołę muzyczną, dwie pisały w tym roku maturę. Poznały się kilka lat temu przez internet, ale szybko postanowiły zamienić wirtualnie wysłane wiadomości w spotkanie na żywo. Jeszcze szybciej ze wspólnych pomysłów nastolatek zaczęły tworzyć się piosenki. Pierwszą z nich, *The Garden of Happy Dead People*, dziewczyny napisały w 2015 roku zainspirowane ponoć obrazem *Ogród szczęśliwych zmarłych* Friedricha Hundertwassera. Do kolejnej, *Windmill*, od razu nagrały teledysk. Jego bohaterki plotą sobie w nim warokocze, biorą udział w lekcji biologii i niewinnie biegają po szkole. Niewinność, do tego zwiewność i urok osobisty to do dziś znaki rozpoznawcze zespołu LOR, bo właśnie tak dziewczęta postanowiły nazwać swoją grupę.

Tym, który odkrył nastolatki, był Artur Rojek, dyrektor OFF Festivalu w Katowicach. „W muzyce LOR słyszę szlachetną naiwność. Ale to nie naiwność rozumiana wprost. Kiedy ich słucham, wydają mi się nieskalane” – mówił przed koncertem. O znaczeniu jego słów można było się przekonać pewnego sierpniowego popołudnia 2017 roku, kiedy na OFF-ową scenę eksperymentalną wyszły dziewczyny w kolorowych sukienkach oraz wiankach na głowie. Eksperyment się udał – nie ma żadnej przesady w tym, że tam, wtedy, w Dolinie Trzech Stawów, świtezianki z LOR zahipnotyzowały publiczność. Były zjawiskowym połączeniem naturalności, dziecięcej beztroski i wielkiego

talentu z delikatnym, choć niosącym w sobie energię rozzuchwalonego morza akustycznym brzmieniem pianina i skrzypiec.

Po katowickim koncercie skrzynka mailowa krakowianek pękła w szwach. Z wielu propozycji LOR wybrał choćby Orange Warsaw Festival, gdzie dziewczyny udzieliły jednego z pierwszych wywiadów na żywo. Niedługo później o zespół upomniał się Opener, a my mogliśmy śledzić, jak z nieśmiałych nastolatek panny z LOR wyrastają na odważne kobiety. Oraz jak z materiału pochowanego po szufladach tworzy się debiutancka płyta. *Lowlight* ukazała się 12 kwietnia 2019 roku nakładem Wydawnictwa Agora. Album doskonale oddaje temperament LOR – chce się przy nim biegać po łące, pleść wianki, oglądać Perseidy, czytać wiersze i dumać nad strumykiem.

Niecały rok po debiucie dziewczyny wydały EP-kę *Sunlight*, w nagraniach której wzięli udział panowie z Sarapata Sound Workers. Mateusz i Michał, „Majster” i „Mamut”, starszy brat i młodszy brat to profesjonalni i pełni szalonych pomysłów artyści. Tworzą muzykę do filmów, teatrów i reklam, zagrają na każdym instrumencie. Ba, grania nauczą też na prowadzonych przez siebie warsztatach. Na przykład z finger-drummingu.

Dziewczyny z LOR koncertowały dotychczas w czwórce, ale odkąd wydały *Sunlight* do koncertowego składu zaprosiły braci Sarapata. O tym, jak sześciuosobowy zespół brzmi na żywo, przekonamy się jesienią na krakowskim Kazimierzu.

Koncert LOR 8 października o godz. 19 w Alchemii (Estery 5). Bilety w cenie 40 zł na biletomat.pl.

Kiedy kobieta spotyka mężczyznę

Tekst: Kinga Strzelecka-Pilch

Niespełna dziesięć lat temu, podczas studiów w Krakowie kochałam się do nieprzytomności w pewnym profesorze (może to czytasz). Byłam młodziutką, pełną ideałów. Zapatrzona w jego szeroką szyję, opaloną skórę. Zасłuchana w jego niski głos. Kiedy kobieta spotyka mężczyznę, może zamienić się w groteskę. Prócz obowiązkowego wykładu zaczęłam chodzić też na wykład innego roku i na wykład weekendowy (studia niestacjonarne), i tak się zaczęło. W zasadzie z tej dziedziny jestem czytana wzdłuż i wszerz (byłbyś zaskoczony). Kilka godzin tygodniowo słuchania o tym samym. Wtorek, środa, sobota. Trwało to dwa semestry. Wtorek, środa, sobota. Zaczęło się od tego, że zimnego popołudnia chwyciłeś moją dłoń w swoją i schowałeś je obie do kieszeni tweedowego płaszcza. Pruski błękit. Skończyło się tak, że zbiegłam z dużych kamiennych schodów (i już nigdy więcej cię nie zobaczyłam).

Kiedy kobieta spotyka mężczyznę, tego mężczyznę, najczęściej poprawia włosy, niedbale wypuszczony kosmyk zakłada za lewe ucho albo wypuszcza niedbale kosmyk z nisko upiętego koka – to zależy już od charakteru. Przegląda się w szybie, sztućcach, szklance, wygładzonej podłodze, w czymkolwiek, co tam ma pod twarzą, ręką, stopami. Może zagryzać usta, jeśli zależy jej maksymalnie. Może zakładać nogę na nogę, nerwowo patrzeć na zegarek, trzepotać rzęsami, mogą jej się rozszerzyć źrenice, może jej się rozgrzać szyja, do czerwoności czy też do temperatury ścięcia jajka, srebrne naszyjniki topią się i spływają szlachetnym stopem w dekolt i po łądźwiach.

Kiedy kobieta spotyka mężczyznę, zostaje osaczona przez inne kobiety – najbliższe przyjaciółki chcą wiedzieć co, jak, dlaczego, dalsze przyjaciółki trzymają kciuki za kompletny rozpiędotł każdej twojej relacji, na szlabanach kolejowych jego serca stoją już tłustawe zawiadownicze w wykwintnie i jednoznacznie granatowych czapczkach z czarnym filcowanym daszkiem. Tak, nie mam ja szczęścia do kobiet, nie mam sympatii kobiet i – co niepoprawne politycznie, niemodne i niezgodne z ogólnowiatowym dyskursem – nie mam ja sympatii do kobiet, większość kobiet podchodzi do mnie podobnie, jak traktują mnie pracownicy PKP – są wielką pożądaną przynoszącą nieszczęścia, a ja jestem ziemią, ziemią, którą można, a i trzeba zaorać i dokładnie posolić, wymazać z map.

Bywa, że kiedy kobieta spotyka mężczyznę, po dziesiątej randce, ze zniecierpliwienia, z presji otoczenia, z chęci zapełnienia swoich mediów społecznościowych idealnymi zdjęciami, w głowie wyświetla sobie perfekcyjny film reklamowy – ja, on, biała

suknia o kroju księżniczki, długie wesele, trzy pokoje w nowym budownictwie, garaż, w planie dom pod miastem, ale najpierw przekroczmy trzydziestkę, dzieci – chłopczyk i dziewczynka, chociaż może lepiej dziewczynka i chłopczyk, tak, w tej kolejności. Świetnie.

Nie powiem ani słowa o tym, jak spotkałam Tego mężczyznę, co się stało, czas, miejsce, dekoracje, scenografia, rekwizyty, pogoda, mimika twarzy, ale teraz, kiedy go spotykam, doskonale wiem, o czym pisał Marcin Sendeccki, a uważam to za zdanie wybitne

Kiedy kobieta spotyka mężczyznę, tego mężczyznę, najczęściej poprawia włosy, niedbale wypuszczony kosmyk zakłada za lewe ucho, albo wypuszcza niedbale kosmyk z nisko upiętego koka – to zależy już od charakteru.

i po Białoszewskim nikt takiego zdania nie stworzył: „Nocą siedzę przy zlewie i patrzę na wodę”. Teraz, kiedy jadowity wzrok starszych pań mnie nie dosięga, zapalam na cmentarzu papierosa. Palimy razem. Zawsze na przywitanie mówię „Hej, Jurek”. Facet obok niemal nie dostał zawału. Słuchamy muzyki. Polubiliśmy nową płytę Rojka. Lubimy nadal Dalidę. Jako romanistka pozwałam sobie na wszelkie żenady i płaczę w takt *Je suis malade*: „Et tous les bateaux portent ton drapeau”. Mam sentyment do LP i jej wielkiego żaglowca wytatuowanego na piersi. Podlewamy kwiatki. Takie tam zwyczajne, małżeńskie obowiązki. Nic dziwnego, nic nowego. Nic poza tym nam się nie przydarzy. Niekiedy tylko mam naiwną, dwudziestoletnią, z wolna dobijającą trzydziestki nadzieję, że kiedy przyjdę, położę na chodniku swoją wielką ratanową torbę od Maison Bengal wypełnioną wszelkimi niezbędnymi rekwizytami damskiej torebki – zapalniczką, wkładami do zniczy, ręcznikiem papierowym, butelkami z wodą; rozłożę swoją osobistą, czarną, plastikową, acz gustowną, ławeczkę, siądę i spojrzę na napis na płycie, to usłyszę odpowiedź na to pytanie, na pytanie, które stawiam mu zawsze, kiedy tam jestem.



Kinga Strzelecka-Pilch – tłumaczka języka francuskiego, wdowa po Jerzym Pilchu.

Wrzesień i październik 1920 roku

Tekst: Krzysztof Jakubowski

✂ **1 września.** Dzienniki przyniosły wiadomość o wyjeździe na front wojny polsko-bolszewickiej oddziału harcerzy krakowskich.

✂ **1 września.** Tego samego dnia prasa relacjonowała uroczystość poświęcenia na krakowskim dworcu pociągu pancernego „Bartosz Głowacki” wykonanego w całości w fabryce Zieleniewskiego. Pociąg składał się z czterech wagonów opancerzonych i lokomotywy z węglarką. Uzbrojony był w dwie armaty i karabiny maszynowe, obsługę stanowiło 80 żołnierzy.

✂ **1 września.** Jak donosił „IKC”: „Ubiegłej nocy bandyci napadli na patrol ochotniczego oddziału obrony złożony z uczniów gimnazjalnych, którzy pilnowali jednego z bastionów. Bandyci usiłowali dostać się do wnętrza, gdzie byli zamknięci przestępcy. Młodzi ochotnicy z brawurą odparli atak, a jeden z nich zranił bandytę, którego aresztowano”. *Relacja dotyczyła Bastionu IVa, czyli tzw. Lunety Warszawskiej przy ul. Kamiennej 16, zamienionego w czasie I wojny na więzienie, funkcjonujące tam też w okresie międzywojennym. W czasie okupacji przejęło je gestapo, a w latach 1945–1950 Urząd Bezpieczeństwa.*

✂ **6 września.** „Dyrekcja policji przypomina mieszkańcom miasta Krakowa i właścicielom pensjonatów, hoteli, zajazdów i domów noclegowych, że ze względu na choroby epidemiczne obowiązani są do najściślejszego przestrzegania przepisów meldunkowych, a ponadto są zobowiązani o każdym przyjeździe obcych donosić natychmiast do Urzędu Zdrowia w magistracie. Nieprzestrzegający tego zarządzenia pociągnięci zostaną do surowej odpowiedzialności w drodze administracyjnej, a w razie rozwleczenia choroby, karni sądownie” – informował „Głos Narodu”.

✂ **9 września.** „Z powodu szerzenia się w mieście epidemii czerwonki magistrat najsurowiej zakazuje płukania jarzyn w tzw. płuczkach (Młynówce, w dzielnicach XIV, XV i XVII pod zagrożeniem karami” – przestrzegała „Nowa Reforma”.

✂ *Płuczki to lokalna nazwa studzienek utworzonych dzięki kanałom sztucznie rozprowadzanym od głównego koryta Młynówki. Czworokątne ocembrowane studzienki były udogodnieniem dla tamtejszych ogrodników, toteż urządzano je przed większością gospodarstw w wymienionych wyżej dzielnicach: Czarnej Wsi, Nowej Wsi i Krowodrzy. W la-*

tach 1912–1925 nazwę „Płuczki” nosiła późniejsza ul. Chopina.

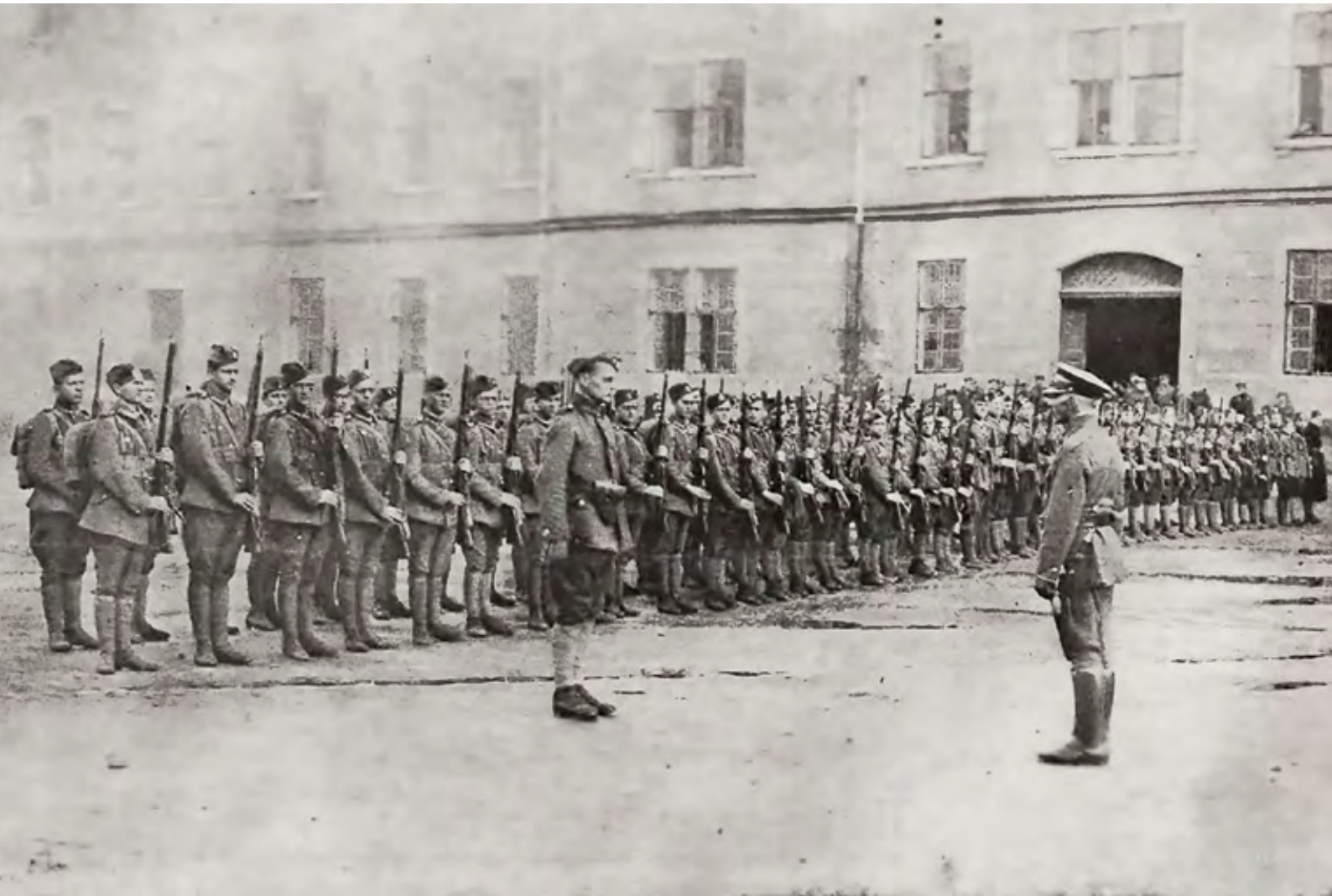
✂ **9 września.** „Nowa Reforma” odnotowała wyburzenie piętrowego domu stojącego u zbiegu ulic Wielopole i Starowiślnej. W jego miejscu przewidziano gmach domu towarowego spółki Bazar Polski, według projektu Tadeusza Stryjeńskiego i Franciszka Mączyńskiego. Obaj architekci znaleźli się też w spółce inwestycyjnej, a wraz z nimi między innymi Teofil Trzciniński, ówczesny dyrektor Teatru im. J. Słowackiego i zarazem właściciel burzonego domu.

Ze względu na kryzys, jaki miał nadejść, i hiperinflację w latach 1922–1923, przedsięwzięcie to się nie powiodło. Gmach odkupił w 1924 roku Marian Dąbrowski na siedzibę koncertu „IKC”, przeprowadzonego tam w marcu 1927 roku. Po wyprowadzce „Dziennika Polskiego” (w 2011 roku) gmach pełni funkcje biurowe.

✂ **11 września.** Notatka z „Nowej Reformy”: „Jedną z przyczyn szerzenia się nosaczyny u koni jest jej podobieństwo do zołzów. Celem zapobieżenia temu magistrat wzywa posiadaczy koni, aby bezzwłocznie, skoro tylko zauważą oznaki choroby, które według ich mniemania wskazują na istnienie zołzów, w każdym przypadku donosili miejskiemu biurowi weterynaryjnemu (pl. Wszystkich Świętych 6) albo dzielnicowym oglądaczom bydła, celem ustalenia rodzaju choroby przez lekarza weterynaryjnego, a to pod groźbą surowej kary”.

✂ **11 września.** „IKC” relacjonował osobliwy pochód: w drodze z dworca, przez Rynek Główny i Grodzką przemaszerowało około 3 tysięcy Żydów zwolnionych z obozu internowanych w Jabłonnie. Poufnym powodem internowania była nieufność do żołnierzy-Żydów (utrwalony stereotyp „żydokomuny”) w obliczu ofensywy wojsk sowieckich. Wypuszczono ich po interwencjach posłów i wicepremiera Daszyńskiego, a władze wojskowe wcieliły ich z powrotem do wojska w różnych okręgach.

✂ **13 września.** Ważne wydarzenie odnotował „IKC”: „Związek Pracowników Pióra przyjmuje statut warszawskiego i lwowskiego »Związku Literatów« i przybiera nazwę »Krakowski Związek Literatów«. Związek postanawia wejść w porozumienie z »Syndykatem Dziennikarzy Krakowskich« celem koleżeńskiej współpracy”.



Oddział harcerzy krakowskich przed wyjazdem na front wojny polsko-bolszewickiej, fot. 1920, „Nowości Ilustrowane”

✦ **13 września.** Informacja z tej samej kroniki: „Przechodzących ul. św. Anny uderza opłakany stan gmachu Biblioteki Jagiellońskiej. Odrapane ściany, sypiący się tynk, strzępy starych afiszów, a przyległy budynek Czytelnicy Jagiellońskiej oblepiony afiszami, które nie chcą się mieścić na przeznaczonych na nie tablicy”.

Chodzi o Collegium Maius, które było istotnie w fatalnym stanie. Prace zabezpieczające przeprowadzono dopiero w 1926 roku. Biblioteka pozostała tam do przeniesienia księgozbioru do nowego gmachu przy al. Mickiewicza w 1940 roku. Collegium Maius zajęte zostało wtedy przez okupanta na Institut für Deutsche Arbeit.

✦ **13–25 września.** We wspieranej przez prasę akcji „Ubiór dla żołnierza” udział wzięło 6614 krakowian. Złożyli oni 7514 koszul, 97 swetrów, 176 kaftanów ciepłych, 5494 pary kalesonów, 3279 par skarpet, 339 par kamaszy i owijaczy, 139 kurtek i kożuchów, 1233 pary spodni, 171 marynarek i kamizelek, 269 cza-

pek, 182 prześcieradła, 292 ręczniki, 511 chustek do nosa, 732 koce, 63 kołdry i jedną pierzynę.

✦ **15 września.** W prasie ukazały się nekrologi dra Wincentego Staniszewskiego, byłego wiceprezydenta miasta, byłego posła do parlamentu wiedeńskiego i emerytowanego dyrektora Miejskiej Kasy Oszczędności.

✦ **18 września.** „Policja krakowska aresztowała niejakiego Jana Wanatowicza, lat 81, pod zarzutem dokonania gwałtu na 14-letniej M.G.” – odnotowała „Nowa Reforma”.

✦ **20 września.** Z kroniki „Nowej Reformy”: „Jak się dowiadujemy, artysta malarz Wojciech Kossak wyjechał w tych dniach do Ameryki, zaproszony przez tamtejszą Polonię. Kossak wziął ze sobą duplikat obrazu *Szarża pod Grochowem*, który Polacy amerykańscy zakupili za 5 tys. dol.”.

✦ **20 września.** „Wczoraj biegł ulicami miasta płonący chłopak, Kazimierz Pieczara (lat 11), syn montera z ul. Kujawskiej 17 na Krowodrzy. Zdradził on krzykiem złodziei, którzy



Gabriel Narutowicz (1865–1922), minister robót publicznych, pierwszy prezydent RP, zamordowany przez prawicowego fanatyka

zakradli się do magazynu jego ojca, ukraść naftę. Za karę oblali go naftą i podpalili. Ciężko poparzonego, opatrzyło pogotowie” – relacjonował „Głosu Narodu”.

✦ **20 września.** „Nakładem księgarni Gebethnera i sp. w Krakowie ukazały się w druku poezje formistyczne *Zielone oko. Elektryczne wizje*. Na tomik składają się twory o nowej formie. Książkę zdobią oryginalne rysunki autora. Do nabycia we wszystkich księgarniach, jak i w redakcji »Formistów« Kraków, Długa 65” – rekomendował „Czas”.

✦ **25 września.** Z rubryki *Odpowiedzi redakcji „Głosu Narodu”*: „P. Ferd. Dobrz.: Uwagi pańskie w sprawie żydowskiej są zupełnie słuszne, ale ołówek cenzorski skreśliłby je w całości, więc nawet nie próbujemy ich ogłaszać w naszym piśmie”.

✦ **2 października.** Jak podał „Czas”: „Minister robót publicznych Narutowicz będzie udzielał posłuchań w niedzielę 3 bm. w gmachu starostwa od godziny 5 po południu”. *Mowa, rzecz jasna, o późniejszym prezydencie RP Gabrielu Narutowiczu, który przybył do Krakowa, aby między innymi wizytować prace regulacyjne nad Wisłą. Gmach starostwa to obecny Urząd Wojewódzki.*

✦ **3 października.** Z kroniki „Nowej Reformy”: „Wczoraj do siedzącego na ławeczce na Plantach obok Teatru im. Słowackiego Szymona Morawieckiego, zam. przy ul. Kalwaryjskiej 5, przystąpiła jakaś prostytutka i namówiwszy go, aby poszedł z nią do jednej z kamienic przy ul. Radziwiłłowskiej, wyciągnęła mu portfel z kwotą 16 tys. marek, a na-

stępnie zniknęła. Pieniądze były przeznaczone na wypłatę pensji dla artystów teatru. Morawiecki podczas wypadku był w stanie silnie nietrzeźwym”.

✦ **4 października.** „Wczoraj pędziła pasterka od sióstr albertynek przez ul. Zamojskiego krowę, która zanieczyściła chodnik koło domu nr 21. Stróżka tego domu W. Ciapała oburzona takim postępowaniem krowy, uderzyła pasterkę tak silnie, że ta padła bez przytomności na ulicę. Zawezwane pogotowie odwiozło ofiarę uniesienia do szpitala” – odnotowała „Nowa Reforma”.

✦ **8 października.** Prasa doniosła o odkryciu w trakcie przebudowy murów wawelskich resztek średniowiecznego, wykonane go z dębowego drewna mostu, prowadzącego do bramy zamkowej.

✦ **11 października.** „Wiceprezydent Daszyński przybywa dziś rano do Krakowa i będzie o godz. 11 udzielał posłuchań w gmachu starostwa – informował „IKC”.

Ignacy Daszyński był oczywiście wicepremierem. Obowiązywała wtedy Mała Konstytucja z 1919 roku i nie było jeszcze prezydenta RP, a kompetencje takie miał Tymczasowy Naczelnik Państwa Józef Piłsudski. Szacunek, jakim darzono premiera Paderewskiego, sprawił, że tytułowano go prezydentem rady ministrów i stąd „viceprezydent Daszyński”. Urząd prezydenta przewidziany został dopiero w Konstytucji marcowej z 1921 roku.

✦ **14 października.** Ważną informację podała „Nowa Reforma”: „Z Warszawy donoszą: Na mocy układu między ministrem wojny i ministrem oświaty, mają być do 20 października zwolnione bezwarunkowo wszystkie gmachy szkolne zajmowane dotąd przez wojsko. Opróżnienie szkół zajętych przez szpitale wojskowe, będzie traktowane osobno i indywidualnie”.

✦ **17–18 października.** Prasa różnych odcieni pisała z entuzjazmem o ofiarności krakowian. Zbiórka prowadzona pod hasłem „Złoto i srebro dla Ojczyzny” przyniosła do tego dnia 2112 kg złota, 30 kg srebra, 18 kg miedzi, niklu i brązu oraz 2515 marek w gotówce.

✦ **18 października.** „Otwarta została wystawa jesienna w Pałacu Sztuki przy pl. Szczepańskim 4. Na całość tej bogatej wystawy składają się dzieła: A. Karpińskiego, H. Uziembły, F. Turka, I. Galla, V. Hoffmana, L. Kowalskiego, J. Grossego, T. Rybkowskiego i wielu innych” – zachwalała „Nowa Reforma”.

✦ **24 października.** „Głos Narodu” zamieścił notatkę-prośbę: „Zapomnianym przez społeczeństwo jest Zakład staruszek przy ul. Kołłątaja 7, w którym około 100 osób najrozmaitszych warstw społecznych znalazło przytułek. W ostatniej biedzie pogrążone mieszkanki Zakładu zwracają się do mieszkańców naszego miasta z gorącą prośbą, by skromnymi bodaj datkami, jakie na ten cel będą zbierać w niedzielę 24 bm. uproszone panie, ulżyli ich skrajnej nędzy”.



Bastion IVa („Luneta Warszawska”) mieścił ciężkie więzienie w latach 1915–1950, fot. 1934, NAC

Ów przytułek jest jedną z najstarszych tego typu instytucji w Krakowie. Założony w 1856 roku przez hr. Anastazję Sołtykową, pozostawał później pod kuratelą jej syna Henryka, następnie został w latach 80. XIX wieku przekazany pod opiekę felicianek. Obecny budynek Zakładu wzniesiono w 1905 roku. W czasach PRL-u pozostawał częściowo pod zarządem Zrzeszenia „Caritas”. W 1990 roku wrócił do felicianek jako „Zakład Opiekuńczo-Leczniczy”. Dziś jest domem dla około 70 pensjonariuszek.

✦ **24 października.** Nekrologiem na całą pierwszą stronę uczcił dziennik „Czas” pamięć swego redaktora naczelnego Rudolfa Starzewskiego, zmarłego po krótkiej chorobie w wieku 50 lat. Jego następcą został Antoni Beaupré.

✦ **25–28 października.** Dzienniki rozpiszywały się o niewiarygodnej zbrodni. Oto na polach w dzielnicy Warszawskie (okolice dzisiejszej al. 29 listopada) znaleziono wiklinowy kosz, a w nim poćwiartowane zwłoki kobiety. Szybko wyszło na jaw, że sprawczynią mordu na Rozalii Jabłońskiej, zamieszkałej przy ul. Zyblikiewicza 11, okazała się jej nieślubna córka 18-letnia Eugenia. Podczas śledztwa zeznała, że zabiła matkę ponieważ ta jej dokuczała. Beznamiętnie opowiadała,

jak za zrabowane matce pieniądze i garderobę kupiła sobie białe boa i żółte trzewiki. Sprawa została przekazana sądowi do rażnemu.

✦ **30 października.** Prasa donosiła o śmierci dra Mikołaja Buzdygana, cenionego lekarza-społecznika.

✦ **31 października.** Z kroniki „Nowej Reformy”: „Wczoraj niejaka Maria Wielgusówna, lat 21, podczas zabawy skradła Franciszkowi Mielecowi, palaczowi kolejowemu, 4800 marek. Wielgusówna, którą aresztowano, wyparła się kradzieży, dopiero podczas rewizji znaleziono pieniądze w jej fryzurze”.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Miron Białoszewski słucha Ewy Demarczyk

Tekst: Paweł Głowacki

Środa

Chłopczyk? Może pan, w którego gardle mutacja nie skończyła pracy bądź w ogóle je omięła? Dziś znów to brzmienie w radiu, ten sam tenor lichesy, sopran prawie. To samo brzmienie przez kilka minut na antenie Programu II. Niby zawodzenie szamana, lecz bez śladu nawiedzenia, patosu, bez wywalania białek oczu, bez dymów, magicznych tańców i składania z krów ofiar bożkom. Ot, melorecytacja szamana, któremu znużyły się rytualne szaty, także babranie twarzy tajemnymi znakami, cały ten cyrk metafizyczny, i w codziennym przyodziewku, daleko od wioski, bez nawiedzonych współplemieńców wokół – bawi się przepowiadaniem końca świata. Przepowiadaniem? Nie. Bawi się w portretowanie niegdysiejszego końca świata, umierania udanego. Od 1 sierpnia – dzień w dzień zmienia chłopczyk trupa w opowieść, bajaniem płaci za swą starą rozpacz, okruch po okruchu przeistacza dawne ruiny Miasta w kopce fantastycznie zrujnowanych zdań, to znaczy – w pamięć o dawnych ruinach. Od 1 sierpnia głos chłopczyka wraca co popołudnie i będzie się tak dzień w dzień zjawiał w radiowej Dwójce aż do 3 października – tyle razy, ile dni trwała śmierć Miasta. Głos Mirona Białoszewskiego, czytającego swój *Pamiętnik z powstania warszawskiego*. Lichesy tenor, letni i jasny, wcale nie dumny, skulony raczej, miękki, co słowo potykający się na wadach dykcji – zupełne przeciwieństwo potęgi gardeł aktorskich, scenicznej odświętności, teatralnego majestatu ku czci. Wielki teatr! Dziś też. I dziś – jak wczoraj, jak od początku, jak do końca – w tym godnym domu lalek brzmieniu znów ogrom zdań pokawałkowanych. Sypie się gruz. Nawalnica miliarda kropek szatkuje intonację na tycie kawałki, przemieniając słowa w rzeczy – w smaki, barwy,

zapachy i ciężary, w sensualną materię. Dziś, w sunącym z radia lichym tenorze chłopczyka „kawał schodów”, oderwanych przez bombę z kamienicy przy Miodowej, waży tyle, ile kawał schodów kamienicy przy Miodowej naprawdę oderwany przez bombę w sierpniu roku 1944. Nie da się go udźwignąć. Trzeba się poddać. I tak dziś, jak wtedy, nie pomaga pocieszenie zdań elegancko pełnych, obłych, gramatycznie bezbłędnych w granicach ładnego początku i celnego końca. Nie pociesza więc i to zdanie – jedna z niewielu całych, ocalałych w *Pamiętniku z powstania warszawskiego* fraz, którą chłopczyk przestał w radiu nucić sekundę temu. „To wszystko zresztą zupełnie jest tak jakby jednym złudzeniem...” Teraz, w ciszy po chłopcu – Ewa Demarczyk nuci gdzieś opowieść o innym złudzeniu, innym znikaniu.

Czwartek

Dawne jarmarczne karuzele weneckie, wirujące odwrotnie niż wędrują wskazówki zegara, nigdy nie były demonami prędkości obrotowej. Ot, co najwyżej kłus – tyle da się powiedzieć o zastawionej drewnianymi koźmi, łabędziami, słoniami oraz tygrysami, krążącej wokół własnej osi kolistej drewnianej platformie, napędzanej machiną parową bądź krzepą zawiadowcy karuzeli skrytego wewnątrz budki stojącej w środku drewnianego okręgu. Przyglądając się z boku kolistej wędrowce sztucznych zwierząt z dziećmi na grzbietach, dało się łatwo dostrzec ich znikanie za krawędzią budki zawiadowcy. Było tak, jakby jedna krawędź, ta po prawej stronie, plaster po plastrze okrawała łabędzia, słonia lub tygrysa aż do zupełnego zniknięcia zwierza za budką, zaś krawędź druga, ta po lewej, też plaster po plastrze cudownie zwracała zwierzę rzeczywistości.

Z konia, co zawsze ukazany były w galopie, zawsze pierwsze znikają wyrzucone w powietrze przednie nogi, później zaś łeb, tak że koń z dzieckiem na grzbiecie wyglądał przez mgnienie całkiem jak Centaur. Pamiętacie, jak w roku 1963 na scenie Piwnicy pod Baranami, a później wiele, wiele razy, na wielu estradach, też na płytach, Ewa Demarczyk odcinała pierwszą sylabę słowa *Sześciokonych*?

Sobota

Wtedy, w roku 1963, Białoszewski jeszcze nie wiedział, jak mówić, jak pisać o śmierci Miasta, którą przeżył. W roku 1963 i dalej. Przez 20 lat jego pamięć szukała dla siebie dźwięku. Jak wiele tonów odpadło? Jak wiele brzmień nie sprostało? Jak wiele intonacji się poddało? Jak wiele taktów Białoszewski odrzucił z powodu ich malowniczej bombastyczności, chęci podobania się, zrobienia oszałamiającego efektu? Przez 20 lat – jak wiele razy garść wciąż tych samych słów rozrzucił na kartkach i układał je w szereg za każdym razem inny, po czym zerkał na twarz pamięci i znajdował na niej grymas znużonego rozczarowania? Od końca wojny krążył z ołówkiem w palcach wokół swojej trupiej traumy, próbował wielu językowych konstrukcji – lecz wciąż wychodziły mu zdania sztuczne, dekoracyjne, gdyż pełne, krągłe, całe, nieusuwalnie spójne. Powiedzmy – oficjalne. Zdania niczym szczelny tynk na fasadzie kamienicy, tynk piękny, ale też na amen odcinający od krajobrazów pod tynkiem, od prawdy dna, od niezliczonych ingrediencji, szczelnie wypełniających ciemność. *Pamiętnik z powstania warszawskiego* – byłby więc naprawdę „Pamiętnikiem z poszukiwania czystego dźwięku dla pamięci”? Albo powieścią „Dźwięki znalezione w roku 1967”? Jedno pewne – w roku 1963 bądź 1964 oglądał Białoszewski gościnne występy Piwnicy pod Baranami w Warszawie, słyszał Demarczyk śpiewającą jego stary wiersz *Karuzela z madonnami*, portret sennego krążenia karuzeli weneckiej wokół kolorowej budki, plaster po plastrze okrawającej drewniane zwierzęta, także zaprzęgowe konie, zamarałe z przednimi nogami wysoko w powietrzu. A później, po występach, rzekł do kompozytora Zygmunta Koniecznego: „Owszem, podobano mi się”...

Poniedziałek

„Wsiadajcie madonny / madonny / Do bryk sześciokonych / ...ściokonych! / Konie wiszą kopytami / nad ziemią / One w brykach na postojach / już drzemią” – tak otwierał Białoszewski wiersz z debiutanckiego tomu *Obroty rzeczy*. Wiedział, że kiedy tam, w rzeczywistości, karuzela za chwilę ruszy, wtedy budka zacznie okrawać drewniane zwierzęta i z rzeźby sześciokonnej bryczki jako pierwsze prze-

Może w tym krystalicznie czysto podanym do słuchania przez Demarczyk przejściu od „sześciokonych” do „...ściokonych”, Białoszewski usłyszał w roku 1963 lub 1964 finezyjny teatr miliarda okrawków zdań poszatkwanych i słów przemienionych w rzeczy, którym stanie się jego *Pamiętnik z powstania warszawskiego* wydany w roku 1970.

niesie w nieistnienie kopyta przedniej pary koni. Wiedział o tym dobrze, dlatego już teraz, zanim karuzela oraz wiersz rozkręca się na dobre, zapowiedział okrawanie bryczki w rzeczywistości – w prologu wiersza odkrawając i przenosząc w ciszę przednią sylabę imienia bryczki. Przeszedł z sylab czterech na trzy – z „sześciokonych” na „ściokonych”. I także już teraz sportretował chwilę, w której bryczka zacznie z drugiej strony budki zawiadowcy powoli odzyskiwać istnienie, powoli i nie w pełni wprawdzie, lecz skutecznie, kopyto po kopycie, noga po nodze albo, co na jedno wychodzi, sylaba po sylabie: „Wsiadajcie/w sześćo...!”. Zatem to nie tylko rzeczywistość przeorganizowała słowa, lecz było i odwrotnie. Odwrotnie, bo przecież na początku wiersza karuzela jeszcze drzemie, budka zawiadowcy jeszcze nie okrawa rzeźb, to tylko słowa przepowiadają przyszłość... A może w ogóle inaczej jest? Może tutaj – w pisaniu Białoszewskiego – nie o rzeczywistość, a o pamięć chodzi? Tak, o to. Karuzela wenecka jest oczywiście – tylko zapomniana. Nie ma dla niej innej rzeczywistości niż kawałek wnętrza głowy, w którym kleci się

mętny spektakl o przeszłości. I dla powstania warszawskiego jedyną formą istnienia jest teatrzyk pani Mnemosyne. Gdy wiele, wiele lat później Białoszewski napisze *Wyglądanie przez pręty* – wiersz, co tak oto brzmi w całości: „ebo/ężyc” – nie będzie to kalka dziennego i nocnego widoku z okna bloku obstawionego rusztowaniami okrawającymi realność, tylko seans dwóch słówek próbujących zadowolić pamięć jak zawsze nieostrą. Któż wie, może w tym krystalicznie czysto podanym do słuchania przez Demarczyk przejściu od „sześciokonnnych” do „...ściokonnnych”, a także w tym cierpkim finale śpiewu, w nagłym jej zamilknięciu: „Wsiadajcie w szczęście...” – Białoszewski usłyszał w roku 1963 lub 1964 cały finezyjny teatr miliarda okrawków zdań poszatkowanych i słów przemienionych w rzeczy, którym stanie się jego *Pamiętnik z powstania warszawskiego* wydany w roku 1970?

Wtorek

Białoszewski bez wątpienia widział, słyszał Demarczyk śpiewającą jego stary portret drewnianych istnień, co znikają, aby się pojawić i znów zniknąć, i nie być do kolejnego narodzenia, i tak aż do chwili, w której skryty w budce zawiadowca opadnie z sił i karuzela znieruchomieje. Tak, poznał ten trzyminutowy teatr, ten wielki monodram, lecz nie wiadomo, czy zobaczył emitowany w roku 1972 w Teatrze Telewizji – ale grany też w Piwnicy pod Baranami, na tej samej scenie, na której Demarczyk śpiewała Karuzelę z madonnami – spektakl Lidii Zamkow *Pamiętnik z powstania warszawskiego*, z nią, Leszkiem Herdegenem i Wojciechem Ziętarskim w rolach głównych? Zapewne powtórzyłyby swe stare słowa: „Owszem, podobało mi się”. Bo ile przedmiotów, ile i jakich przedmiotów potrzebowała Zamkow, by powtórzyć w na scenie taniec intonacji Białoszewskiego z jego wiecznie mglistą pamięcią o 63 dniach śmierci Miasta, którą przeżył? Niewiele więcej niż Demarczyk snująca bajkę o karuzeli, czyli o losie, a potrzebowała – jeśli da się nazwać to rzeczami – tylko swoich spojrzeń, swoich warg i swojego gardła. U Zamkow – kilka przedmiotów tak biednych, że płakać się chce, na czele z drewnianym kółkiem, pozwalającym myśleć o nieskończoności lub karuzeli weneckiej. Gdy w roku 1955, na długo przed seansem Zam-

kow i monodramem Demarczyk, wirującym niczym oberek, Białoszewski otwierał swój teatr – jako pierwszą pokazał *Wiwisekcję*, monodram grany w... krześle. W krześle po usunięciu siedziska.

Piątek

Był to seans rodem z Eklezjasty – marność nad marnościami. Był to monodram na dziesięć palców udających szalenie mądrych doktorów holenderskich lub przemądrzałe zakonnice. Na dziesięć palców i kilka przedmiotów banalnych. Grzebień, solniczka, druciana trzepaczka do piany. Ilekroć któraś z tych marności zjawia się przy filozofujących palcach, napuszony ich język idzie w rozsypkę, po czym słowa muszą na nowo się ułożyć, by uporać się z istnieniem niemej marności. Próbują więc palce sklecić mowę, która dotknie tajemnicy. Choćby tylko dotknie, przynajmniej raz i przez jedną dziesiątą sekundy. Tak niewiele – to już coś. Palce są małe niczym chłopczyk, co w radiu dzień w dzień czyta okruchy swojej pamięci o śmierci Miasta. Gdyby chłopczyk dołączył do dziesięciu palców, w finale *Wiwisekcji* recytujących stary aforyzm, żydowskie pocieszenie każdej ludzkiej bezradności – nie byłby to błąd. „Gut is fun a haser a hor” – „Dobrze jest wyrwać świni choć jeden włos”.

Może w tym krystalicznie czysto podanym do słuchania przez Demarczyk przejściu od „sześciokonnnych” do „...ściokonnnych”, a także w tym cierpkim finale śpiewu, w nagłym jej zamilknięciu: „Wsiadajcie w szczęście...” – Białoszewski usłyszał w roku 1963 lub 1964 finezyjny teatr miliarda okrawków zdań poszatkowanych i słów przemienionych w rzeczy, którym stanie się jego *Pamiętnik z powstania warszawskiego* wydany w roku 1970.



Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.



Anna Kaszuba-Dębska, *Anna Habsburganka* (projekt: *Poczet królowych polskich*)

Czarna Kamienica

Tekst: Marta Wyka Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Legenda miejska – nie tylko zresztą ona – nie musi dostarczać sprawdzalnych dowodów swojego istnienia. Wystarczy, jak sądzą antropolodzy, że będzie przekazywana ustnie, utrwalając się tym samym w świadomości jej kolejnych opowiadaczy i słuchaczy.

Różnego rodzaju przekazy znajdują się w legendowym zasobie: wśród bliższych – czyli krakowskich – wymienia się legendę o czakramie wawelskim. Ale dom profesorski na skrzyżowaniu alei Słowackiego i ulicy Łobzowskiej jest dalej sprawdzalny naocznie, choć jego realia w ciekawy sposób mieszają się z emocjonalnymi opowieściami. Pani na przystanku naprzeciw Czarnej Kamienicy pyta mnie, czy wiem, skąd te czarne kafle na jej fasadzie. Na wszelki wypadek nic nie mówię (choć wiem), ale ona wie coś zgoła innego i mówi: syn mojej znajomej spadł tutaj z roweru i zginął na miejscu. I dlatego ta żałoba. Nie prostuję, bo i po co, oto czyste źródło każdej legendy: wiara w przekaz, nawet absurdalny.

Czarna Kamienica, ograniczona domem społeczność inteligentka może być materiałem do studium o pochodzeniu polskiej inteligencji.

Historia prawdziwa Czarnej Kamienicy jest wielowątkowa i spróbuję ją tutaj opowiedzieć. Wiąże się ona najpierw z miejskim projektem, w myśli którego Aleje i przylegające do nich tereny miały stać się dzielnicą inteligentką, ale niepodlegającą przestrzennym restrykcjom w rodzaju strzeżonych bram, ogrodzeń i tym podobnych przeszkód. Mieszkalne tereny inteligentkie miały zostać otwarte dla oczu z zewnątrz, nie wykluczały zatem społecznej komunikacji. Intencja została podana do publicznej wiadomości, zaczęła się praktyka.

Nowoczesność dzielnicy i jej domów budowanych z myślą o profesorskiej elicie sięła rzeczy stała się zadaniem architekta. Jej zaprojektowanie powierzono Ludwikowi Wojtyczce, już wtedy bardzo znanemu, zaczynał się też zmieniać styl w architekturze, co wiadać dobrze, gdy porównać z Czarną Kamienicą poprzednie domy Wojtyczki w tej samej

dzielnicy: ten na ulicy Łokietka ma jeszcze od frontu dworcowe – czyli szlacheckiej proveniencji – kolumnienki okalające wejście; ten przy parku Krakowskim, piętrowy, nie ma co prawda windy, ale jego fasada jest pięknie zdobiona.

Oba są domami z pogranicza miejskiej wyobraźni Wojtyczki, ta zaś poszerza się o wymagania nowoczesności. Architektoniczne realizacje Ludwika Wojtyczki są już znane: zarówno te śląskie (dom Sejmu), jak i krakowskie (kamienica Czepiela).

Pierwsze zdjęcia budowy ukazują nam pusty plac i załączki konstrukcji: jeszcze nie wiadomo, jaka ona będzie, ale już widać, że dysponuje rozległą przestrzenią.

Czarna Kamienica – jak się okaże – ma już wszystko, czego tamte domy profesorskie jeszcze nie posiadały: dwie windy, dwa wejścia, suszarnię i piwnice, i, co ważne, osobny pokój dla służącej przy każdym mieszkaniu. To były czasy, gdy łóżko sługi (pomoc domowe pojawiły się w języku później) stawiano w kuchni. Służąca staje się zatem posiadaczką własnej przestrzeni – a także osobnej toalety. Ale granica pomiędzy państwem i służbą nie zatarła się. Świadczą o tym osobne wejścia (drzwi wejściowe), jedno od frontu, drugie od oficyny. Te pierwsze są okazałe, z miedzianym numerem. Te drugie o wiele węższe, z numerem z białego fajansu. Podział po latach okaże się z powrotem użyteczny, a także ideologiczny.

Zacząto budowę na gruncie kupionym od Ignacego Chrzanowskiego (nie zaś podarowanym, jak głosi inna legenda).

Plany poszczególnych mieszkań nie zachowały się – każde zresztą było inne – co pozostało realną udręką mieszkańców aż po dziś (gdy, na przykład, trzeba odnaleźć cieknącą rurę... Mieszkania przydzielał senat – on też ustalał wysokość czynszu. Nie mamy żadnych informacji o tym, czy i jak oceniano jakość profesury. Kto zasługiwał na ten dom, jakie musiał wypełniać niepisane kryteria? To ciekawe pytanie, ale można na nie udzielić tylko hipotetycznej odpowiedzi. Czym charakte-



ryzowała się profesorska populacja? Wtedy bardzo zróżnicowana nie tylko zawodo-wo, ale również ze względu na zakorzenie. O czym później. Swoista ideologizacja dziel-nicy – zbudowanie czegoś na kształt ideopolis – nie powiodła się. Zabrakło czasu. Pomysł unicestwiła wojna, wysiedlenie dzielnicy i ob-sadzenie jej niemieckimi lokatorami, powo-jenna demokratyzacja, a także – inna już ideo-logizacja. Siedem metrów kwadratowych na osobę stawiało pod znakiem zapytania cały projekt Wojtyczki. Nie odpowiadał przecież mieszkaniowej polityce. Równość obowiązuje również w metrach.

Działania, zmierzające do patriotyzacji (a zatem również ideologizacji Krakowa) opi-suje Jacek Purchla w książce *Miasto i polityka*. Było ich wiele, były inne. Na uwagę zasługują pomysły i realizacje Karola Estreichera: aby uczcić odzyskanie niepodległości po latach zaborów, starał się z architektonicznej po-wierzchni miasta usuwać ślady austriackie

Pierwszymi mieszkańcami Czarnej Kamienicy byli Ignacy Chrzanowski, Władysław Konopczyński, Stefan Szuman, Wojsław Mole, Teodor Szpiczakow. Tuż przed II wojną wprowadzają się Janusz Supniewski, Tadeusz Dziurzyński, Henryk Barycz. Po wojnie większość nazwisk się powtarza, dochodzą zaś Ludwik Erlich, Rudolf Weigl, Zenon Klemensiewicz, Maria Dłuska, Mieczysław Porębski.

– między innymi odwach przy kościele Mariackim, niektóre elementy zdobnicze Collegium Maius.

Ale wcześniej jeszcze nieco podobna była myśl Wyspiańskiego: projekty Wawelu jako Akropolis, świątyni kultury wzorowanej na tradycji greckiej. Projektowanie znaczeń kul-turalnych miało zatem stać się – częściowo – zadaniem i przeznaczeniem Czarnej Kamienicy. Ale nie zostało to nigdzie zapisane, nie mamy więc dowodów, jaka idea inteligencka stała za tą budową. Miasto miało się przekształcać, to pewne.

Czarna Kamienica miała ciekawych lo-katorów, zaś przekrój tej małej społeczno-sci jest wymowny. A więc – kto mieszkał, ile to kosztowało: zaraz po ukończeniu domu, przed wojną, po wojnie?

W Polsce międzywojennej zawodem, gdzie się nic nie zarabiał, był zawód stróża. Dosta-wał kandydat co prawda mieszkanie, miotłę i zakres obowiązków, ale żadnych pieniędzy. Starano się więc o posadę w zamożnych ka-mienicach, których mieszkańcy czasem spę-

dzali wieczór po za domem. Obowiązywała bowiem szpera i za otwarcie bramy po go-dzinie 22 trzeba było zapłacić. Mieszkańcy Czarnej Kamienicy zapewne dość rzadko by-wali na dansingach i w nocnych lokalach za-równo przed, jak po wojnie. Ale podczas oku-pacji tylko posada stróża ostała się w Czarnej Kamienicy. Podobno wykonywał ją wówczas najmłodszy lokator, jeszcze nie profesor, Henryk Barycz. W zamian pozostał w swo-im parterowym mieszkaniu i zapewne mógł obserwować nowych lokatorów. Jak finanso-wo prosperowała międzywojenna intelligen-cja? Zawodem najlepiej opłacanym był zawód sędziego (1500 zł). Prezydent RP miał pensję 5000 zł. Lekarze nie zarabiali zbyt wiele – bo pracowały przede wszystkim kobiety. Jak za-wsze najlepiej mieli przedsiębiorcy: przecięt-nie 10 000 zł. To zmieniło się zresztą po wiel-kim kryzysie lat 30.

W Czarnej Kamienicy jej reprezentacyj-ną klatkę schodową pokrywał czerwony, su-kienny chodnik, przytwierdzony złożonymi uchwytami do poręczy. Wystarczyło go zdjąć, aby kamienica zaczęła zmieniać klasowy cha-rakter. I tak się stało.

Osoby, inteligencja akademicka – tak ją na-zwijmy. Skład tego ciała bardzo zróżnicowany. Po wojnie urzędnik w administracji notuje: Aleja Słowackiego 15 – 72 izby. Ciekawy ję-zyk: ani mieszkania, ani pokoje, apartamenty już (albo jeszcze) nie istnieją – zatem „izby”.

Pierwsi mieszkańcy – zbliża się wielki kryzys, ale budowę ukończono – to: Ignacy Chrzanowski, Władysław Konopczyński, Ste-fan Szuman, Wojsław Mole, Teodor Szpicza-kow, tuż przed wojną wprowadza się Janusz Supniewski, Tadeusz Dziurzyński, Henryk Barycz, po wojnie większość nazwisk się po-wtarza, dochodzą zaś Ludwik Erlich, Rudolf Weigl, Zenon Klemensiewicz, Maria Dłuska, Mieczysław Porębski.

Profesor Porębski, lokator ostatniego pię-trza, zyskuje, po odejściu, nową tożsamość: jego biblioteka, drewniany stół, przy którym prowadzono rozmowy, niektóre obrazy sta-ją się częścią Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie. Tym samym część tożsamości kamienicy zmienia się w przekaz kulturowy. Na ile żywy, to już osobne pytanie.

Twarz Wojsława Mole, Słoweńca urodzo-nego w Trieście, historyka sztuki, znamy ze wspaniałego portretu, który namalował Wit-kacy (czy na zamówienie)?

Teodor Szpiczakow, ichtiolog, z pochodze-nia Rosjanin, założył słynną i do dziś chyba istniejącą w podkrakowskich Mydlnikach stację hodowli i badania ryb.

Stefan Szuman, psycholog, był dobrze znany w różnych humanistycznych śro-dowiskach. Odwiedziny w jego mieszka-niu w Czarnej Kamienicy wspomina Danuta Szczepańska (żona Jana Józefa).

Władysław Konopczyński, historyk, eru-dyta, poliglota, powołał do życia (w roku 1931)

Polski Słownik Biograficzny, wychodzący do dziś. Od niego wywodzą się też krakowscy historycy Kazimierz Lepszy i Emanuel Roztworowski.

Wreszcie prawnicy: Tadeusz Dziurzyński, specjalista z dziedziny prawa handlowego, Ludwik Erlich, odsunięty od nauczania (wrócił po roku 1956). Erlich był jednocześnie ostatnim wśród naukowców ziemianinem: należał do niego majątek Falejówka.

Po różnych perypetiach życiowych osiedla się na krótko w kamienicy Rudolf Weigl, wynalazca szczepionki przeciwko dżumie (we Lwowie z jego nazwiskiem wiąże się przede wszystkim akcja „karmienia wszy”).

Każda z tych osób posiada swoją personalną legendę. Byli znani jako uczeni, ale również jako fundatorzy i kontynuatorzy nie tylko stylu bycia, ale również form zakorzenienia w polskiej społeczności. Byli też – tak chciałabym sądzić – pionierami dzielnicy, dumnie zaprojektowanej, nigdy nie dojrzałej.

Po roku 1945 zaczęło się ograniczanie przestrzeni. Zasada równościowa, czyli 7 metrów kwadratowych na osobę jest początkiem procesu dekonstrukcji projektu Ludwika Wojtyczki. Mieszkania podległy podziałowi, co było technicznie możliwe dzięki nowoczesnemu i modernizacyjnemu zamysłowi architekta. Dwa wejścia, niegdyś demokratyczny przywilej, okazały się argumentem za zrównaniem klas. Nazwa domu pozostała, ale jego zawartość z biegiem lat ulegała zmianie, podobnej do totalnej przemiany społecznej.

Co prawda punkty za pochodzenie zaliczano tylko w trakcie egzaminów na wyższe studia, punkty za zasiedlenie domu pozostawały w gestii administracji. Bowiem kamienica dalej pozostawała majątkiem uniwersytetu – choć jej funkcje integracyjne znikły stopniowo pod wpływem, aby tak rzec, historii. A może już nikt nie chciał się integrować, poznawać, odwiedzać? Dzielnica nie powstała. Spacerowy trakt w kierunku Wawelu przestawał istnieć, drzewa wycinano, aby poszerzyć miejsce dla dynamicznej obwodnicy miasta.

Proste skojarzenie kolorystyczne staje się lekturą domu – bowiem czerń to trumna, choć po prawdzie, trumny rzadko bywają czarne. Czarne kafle na fasadzie kamienicy, wykonane na zamówienie w Grudziądzu, miały jedno, według zamysłu Wojtyczki, podstawowe zadanie, zaś było ono estetyczne: odbijanie światła słonecznego i samochodowego, widoczne również wewnątrz mieszkań. Nie chodziło więc o żalobę, lecz o przyjemność z mieszkania, w którego wnętrzu da się wygodnie obserwować ruch świata na przebiegającej pod oknami ulicy.

Ten efekt zachował się po dzień dzisiejszy, pomimo remontów, przeróbek i podziałów. Szkielet tamtych czasów jest trwały.

Ograniczona domem społeczność inteligencka, jeśli przywołać ją, tak jak uczyniałam,

jest materiałem do studium o pochodzeniu polskiej inteligencji. Napisano już wiele takich studiów, łącznie z wielką trzypięciową historią (dokładnie omówioną przez Andrzeja Mencwela), zatem Czarna Kamienica to tylko niewielki przyczynek do nich. Duże całości narracyjne są dla naszej współczesnej świadomości zadaniem trudnym czasem do pokonania.

Domy przyszłości – ich prehistoria jest długa, opowieści o nich barwne. Są – bywają – marzeniem. Tadeusz Peiper wyobrażał sobie nowoczesne osiedla mieszkaniowe wzorowane na Bauhausie. Le Corbusier projektował mieszkalne enklawy, absolutnie samowystarczalne. Szklane domy Żeromskiego obrosły w różnorodne interpretacje – polityczne, społeczne, ideologiczne przede wszystkim. Ale to Zofia Nałkowska przenikliwie zobaczyła mieszczańską kamienicę jako zarzewie tragicznych w efekcie podziałów.

Istnienie „kamienicy inteligenckiej” nigdy bodaj nie stało się ponawianym (po Granicy Nałkowskiej) tematem literackim. Kamienica jako prototyp życia – tak jest, chociażby w prozie George’a Pereca. Jej mieszkańcy tkwią we własnych, egzystencjalnych kokonach i nie chcą zbyt wiele o sobie wiedzieć. Ich historie nie zachęcają do wzajemnej komunikacji. Wyobcowana dziś Czarna Kamienica mogłaby posłużyć więc jako zarzewie literackiego eksperymentu, omijającego jej realną przeszłość. Wielość jej mieszkańców dałoby się zapewne przełożyć na zróżnicowanie literackich bohaterów. Wielki budynek-falowiec zbudowany w Gdańsku i pomyślany jako przestrzeń integracyjną, rozwinął się podobno w zespół komórek do mieszkania, słabo się między sobą kontaktujących. Samobójstwa zdarzają się w nich dość często.

Tekst ten zamyka książkę *Tamten świat. Szkice literackie dawne i nowe*, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Literackiego jesienią roku 2020.



Marta Wyka – urodziła się w 1938 roku w Krakowie. Jest historykiem literatury i krytykiem, założycielką Katedry Krytyki Współczesnej Wydziału Polonistyki UJ.

Radosne powroty

Tekst: Maria Malatyńska Zdjęcie: Stefan Cieplak/Wikimedia Commons

Pisałam o tym już tyle razy, że temat ten powinien być dla mnie niczym barwna legenda trochę oddalonego wydarzenia. Tymczasem nie jest. Jest natomiast ciągle radosnym zdumieniem, że tak wspaniale udało się polskiemu kinu otrzeć o wielkie sprawy historyczne i wyciągnąć z nich aktualne dla siebie do dziś wnioski artystyczne. I ja w tym byłam.

Blisko i intensywnie, wszystko widziałam, przeżywałam, pamiętam i wiem. I mogę wciąż przekazywać. Pewnie dlatego za każdym razem, gdy mija kolejna okrągła rocznica, powracam do tych czasów i faktów trochę jak do jakiegoś wciąż ważnego dla naszego kina, mitu założycielskiego. Bo coś się wtedy zaczęło. Niezależnie od tego, że zaczęło się „dla Polski”, „dla czasów”, „dla historii”.

Dziś też wracam, oddzielając jednak od siebie to wszystko, co jest wielką historią i co jest piękną anegdotą, od tego, co dla naszej, polskiej sztuki kina okazało się prawdziwym odkryciem.

*

Wielka historia – to rok 1980, Gdańsk, Stocznia, przełom sierpnia i września, podpisanie porozumień gdańskich, a więc niewiadomy jeszcze wówczas do końca zasięg rewolucji, która się właśnie zaczynała. Obrazy i klimaty te znają zresztą do teraz wszystkie pokolenia widzów, także te najmłodsze, i to nie tylko w Polsce, a to głównie dzięki filmowi Wajdy *Człowiek z żelaza*, owemu słynnemu obrazowi, powstałemu kilka miesięcy później, na wiosnę 1981 roku. Ale ja chcę przypomnieć ściśle określony moment roku 1980. Bo właśnie to jest podstawą obecnego jubileuszu, a jak łatwo obliczyć, kilka tygodni temu minęła 40. rocznica podpisania porozumień, co w naszej skomplikowanej, politycznej rzeczywistości znaczy obecnie tyle, że rocznica obchodzona była i jest przez różne „strony” i „odłamy” nadal uroczyste, ale osobno. Ale to temat na inne opowiadanie.

Natomiast ciągłym zachwytem napawa to, że ta wielka historia niespodziewanie połączyła się z Festiwałem Polskich Filmów Fabularnych. Odbywał się on co roku, od 1974, zawsze we wrześniu, a jeszcze, co okazało się dla tej opowieści ważne – w Gdańsku, a nie, jak teraz, w Gdyni. Ta ówczesna impreza, wciąż będąc w rozwoju organizacyjnym, nie mając jeszcze swojego „pałacu festiwalowego”, gościnnie przyjmowana była przez tak zwaną Notówkę, czyli gdańską siedzibę Naczelnej Organizacji Technicznej, do dziś mieszczącą się jak wtedy około 500 metrów od bramy Stoczni Gdańskiej. Tej Stoczni i tej Bramy. Takie było to szczęśliwe „miejsce akcji”. A czas? Wprost wymarzony: festiwal zaczynał się 8 września, osiem dni po podpisaniu Porozumień. Wielojęzyczne tłumy na ulicach gdańskich, pielgrzymujące pod bramę Stoczni, musiały zadziałać na organizatorów, twórców i uczestników Festiwalu. I zadziałały: obudziły potrzebę współuczestniczenia. Niech żałują młodzi, że nie przeżyli tamtej gorączki, tamtego oszołomienia, że nie widzieli tamtej naturalnej wspólnoty wszystkich ze wszystkimi, tamte-

go pojmowania całym sobą, co znaczy słowo i pojęcie „solidarność”. Bo tego nie da się opowiedzieć.

*

Pięknych anegdot z tamtego naszego festiwalu jest oczywiście mnóstwo! Począwszy od tej, że Andrzej Wajda (ówczesny prezes Stowarzyszenia Filmowców Polskich) otrzymał zgodę na to, by festiwal się odbył, i to od samego przywódcy strajku i sygnatariusza Gdańskich Porozumień, czyli od Lecha Wałęsy. Nie wiem wprawdzie, po co taka zgoda była potrzebna, ale anegdota funkcjonuje jako pewnik. Tym bardziej że Wajda rzeczywiście jeździł pod koniec ówczesnego sierpnia do Stoczni i spotkał się ze strajkującymi. To wtedy zapytali go, czy będzie dalszy ciąg *Człowieka z marmuru*. Nawet podobno sami wymyślili wtedy tytuł oczekiwanego filmu: *Człowiek z żelaza*.

To była anegdota pierwsza. A anegdota ostatnia to obrazek siedzącej przed salą kinową w Notówce Agnieszki Holland, która tuż po zakończeniu Festiwalu przyjmowała nasze zapisy do powstającej spontanicznie „Solidarności” filmowców! Taka była siła ówczesnej gorączki! Taka była potrzeba natychmiastowego działania!

A dla mnie szczęśliwą sytuacją jest to, że byłam wówczas w jury tego festiwalu. Razem z kilkoma wspaniałymi ludźmi sztuki, między innymi z reżyserami Krzysztofem Kieślowskim i Wojciechem Marczewskim, ze znakomitym dokumentalistą Tadeuszem Makarczyńskim, ze świetnym operatorem Mieczysławem Jahodą i innymi. I pamiętam, że nawet jurorów, a co dopiero zwykłą publiczność trudno było utrzymać na sali kinowej! Bo wszystkie drogi prowadziły pod Stocznę, a prawdziwe życie było na nigdy wówczas nieuspiających ulicach, wśród nigdy nieśpiących tłumów, w ustawicznej drodze pod tamtą bramę. „Nadrabialiśmy” projekcje nocami, aby wszystko zobaczyć i wiedzieć. A filmy w ówczesnym konkursie były ciekawe, Złote Lwy Gdańskie otrzymały *Paciorki jednego różańca* Kazimierza Kutza, nagrodami różnymi obsypana została wspaniała *Wizja lokalna 1901* Filipa Bajona, były także w konkursie dwa filmy Krzysztofa Zanussiego, debiutowała wtedy, rewelacyjnym filmem *Bez miłości* Barbara Sass – i tyle jeszcze innych było tytułów! Było więc dobrze! Skąd więc przecucie jakieś podskórne, że musimy czekać na coś odkrywczego? Czy dlatego, że wymagała tego gorączka czasu?

*

Odkrycie pojawiło się rzeczywiście! W ostatnią noc festiwalu niespodziewanie pojawił się pewien film dokumentalny. Albo raczej zestaw skręconych na taśmie zdarzeń, które na naszych oczach stawały się filmem, jakby wyolbrzymione głodem widowni i en-



tuzjazzem czasów. Wszyscy się cieszyli, że zdążył dojść ten materiał, zapowiadany jako niespodzianka. I, że stało się to jeszcze w czasie trwania festiwalu! Surowy, nie do końca zmontowany, chropawy w fakturze, jakby w ogóle niereżyserowany, gorący... Był to słynny potem dokument Andrzeja Chodakowskiego i Andrzeja Zajączkowskiego *Robotnicy 80*. Poprzedziła go ciekawość ideowa, to jasne, ale także i „strukturalna”: bo jakże to było możliwe, aby mógł powstać film, jakby sam z siebie, poza cenzurą, poza odgórnym zatwierdzeniem? Przecież nikt do tychczas nie wiedział, że można tak wprost, bez planu, niemal bez scenariusza, bez myśli przewodniej i tezy zatwierdzonej pokazać bez wyboru wszystko to, co się dzieje, a z tego może zrodzić się i rodzi się rzeczywiście kawał życia i kawał kina? A na ekranie było to, co zdarzyło się przed samym rozpoczęciem festiwalu: strajki, obrady w sali BHP w Stoczni, tablica 21 postulatów, podpisanie Porozumień i... ludzie, ludzie. Nieupozowani, autentyczni, niespodziewanie świadomi każdego gestu. Jednym słowem – pojawił się cały dokumentalny zapis ostatnich dni

Czy Sierpień 1980 był przełomem także dla polskiego kina? Był. Bo przypomniał na konkretnym, jednoznacznym, ważnym dla wszystkich materiale, a więc w jakiś sposób na materiale bezdyskusyjnym, starą prawdę, że kamera potrafi rejestrować świat. I to w jego naturalnym przepływie, bez posługiwania się propagandą, bez wyboru faktów dogodnych i bez odrzucania niedogodnych. I że genialne narzędzie, jakim jest i zawsze była kamera, ma takie zadanie, misję, przeznaczenie!

Sierpnia. Nawet i wszystkie emocje tu były. Był entuzjazm, zmęczenie, modlitwy, strach, bezradność, nadzieja, wreszcie zwycięstwo. I jeszcze była Brama, coraz bardziej symboliczna, oddzielająca dwa światy, a pod Bramą czuwający bez przerwy ludzie. Udało się to wszystko pokazać w dokumencie. Ten film miał swoją historię późniejszą, był słynny, także i swoją przeogromną popularnością, stał się symbolem oporu wobec socjalistycznej władzy, a władza tak się go bała, że chociaż był w wybiórczy sposób rozpowszechniany w kinach, to cenzura zakazała wymieniania jego tytułu. Był więc w kinowych repertuarach pod tytułem: „Seans zarezerwowany”. Ale wszyscy wiedzieli, o co chodzi, obejrzało go wtedy 10 milionów widzów.

*

Czy to był dla polskiego kina przełom? Był. Bo przypomniał, na konkretnym, jednoznacznym, ważnym dla wszystkich materiale, a więc w jakiś sposób na materiale bezdyskusyjnym, pewną starą, dawno zaniechaną prawdę, że kamera potrafi rejestrować świat. I to w jego naturalnym przepływie, bez posługiwania się propagandą, bez wyboru faktów dogod-

nych i bez odrzucania niedogodnych. Przypomniał więc ten obraz o tym, że właśnie z takiego naturalnego przepływu akcji wynika prawda zdarzenia. Że genialne narzędzie, jakim jest i zawsze była kamera, ma takie zadanie, misję, przeznaczenie! Że może być uczestnikiem zdarzeń bez własnych komentarzy – po to, by potoczność narracji stała się wiarygodną rejestracją prawdy.

To proste odkrycia. Znane od początku istnienia kina, ale dawno i łatwo zapomniane. Bo w praktyce kino zbyt często i na różne sposoby ulegało i ulega naciskom politycznym i propagandowym. Stało się dogodną maszynką do manipulacji, zależną od nadawcy i adresata.

Takie prościutkie przypomnienie „czystości dokumentalnej” jest aktualne do dziś i na pewno będzie aktualne zawsze. Bo jest w tym odpowiedzialność za niczym nieograniczone oko kamery nie tylko w filmie, ale i w telewizji, gdzie proste zarejestrowanie fragmentu świata ma szansę wchodzić w jakąś całość, w akcję, jest materiałem dla rejestracji „kroniki życia”.


To prawda, że wtedy, w 1980 i 81 roku pewne porażenie siłą tamtego filmu doprowadziło także do bardziej powierzchownego przejęcia wartości. Pojawiło się sporo dokumentów o chropawej fakturze, niewykończonym montażu, pozornie niedopracowanej całości, chcących może zasugerować zbyt prosto, że oto bez nacisku rejestrujemy świat. To jednak było tylko chwilowe zachłyśnięcie się warsztatem. Okazało się, że ważniejsze jest to, iż z prostej rejestracji świata odczytać można jeszcze inną podskórną wartość: siłę emocjonalną samego wydarzenia. Jeśli ona w wydarzeniu istnieje, to cudem kamery jest to, że potrafi ją odfotografować jakby bez udziału autora.

Przeniesienie tego przypomnienia w sferę filmu fabularnego nastąpi wkrótce po tamtym filmie. Dokona się to u Wajdy w *Człowieku z żelaza* na wiosnę 1981 roku. Film Wajdy też rozgrywał się równocześnie z rzeczywistością. Robiłam wtedy wywiad ze scenarzystą Aleksandrem Ściborem-Rylskim i byłam przy tym, jak przychodziły do niego do domu codziennie kartki, listy, wspomnienia ludzi, którzy przeżywali te nasze czasy „Solidarności” i on na bieżąco wkładał te fakty i słowa w scenariusz. Szybkość działania była imponująca: wieczorem wspomnienia stawały się fragmentem sceny, a rano jechał nowy kawałek scenariusza na plan filmowy i natychmiast był kręcony.

Ale to już temat na większe i inne opowiadanie. Po sukcesach, po zachwytach i tak nastąpi wkrótce stan wojenny, a pierwsze, co władza zaaresztuje, to będą kamery filmowe. Wiedziela, co robi?



Maria Malatyńska – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.



Kraków

TEATR
bagatela

premiera

24 października 2020

ICH *Gabriela Zapolska*
CZWORO

Tragedia ludzi głupich
reż. *Giovanny Castellanos*

spektakle

23 października, godz. 19.15

25 października, godz. 17.00

rezerwacja

tel. 12 422 66 77

www.bagatela.pl

Skandal. Ewenement Molesty, reż. Bartosz Paduch

Tekst: Łukasz Maciejewski Zdjęcia: Krzysztof Kowalski/dystrybutor: Best Film

Te narracje są zadziwiająco do siebie podobne. W pewnym momencie, z różnych, najczęściej personalnych i osobowościowych przyczyn, zespoły rockowe czy szerzej grupa kilku ściśle ze sobą współpracujących artystów, którzy, jak to się mówi, pojawili się we właściwym czasie i we właściwym miejscu, musi się rozstać.

Musi, ponieważ wszystkiego było już między nimi akurat za dużo i za mało. Za dużo namiętności, ambicji albo dragów; za mało empatii, wyrozumiałości albo dragów.

Ewenement Molesty nie jest ewenementem. Opowiada o drodze hipopowego fenomenu od końca. Od sytuacji, w której niegdysiejsi, zrewoltowani przeciwko systemowi buntownicy, nie do końca

Losy artystów, losy raperów, nie są tajemnicą: dopóki sami się w tym nie połapią albo nie wejdą we flirt z bezwzględną machiną korupcyjno-produkcyjną, będą zawsze poobijani. Nawet już z kasą, z rodziną, z wakacjami *all inclusive*. To siniaki wrażliwości, która ich zbudowała, której się z czasem wyparli.

nawet rozumiejący, czym jest ów system i co znaczy rewolta, układają się z życiem na zasadzie małych lub większych kompromisów. I odcinają kupony od czasu przeszłego. Zawsze już będą odcinali. Tak, to jest smutne, brzmi jak wyrok: tak będzie zawsze.

Byli pierwsi, również dlatego zostali uznani na najważniejszych, ale może prawda jest bardziej pojemna. Chłopcy z Molesty mieli na pewno coś do wykrzyczenia, wyrapowania. Byli naturalni, ponieważ nie stał za nimi żaden marketingowy system przerabiania artystów w komercyjną miazgę, wymyślania wizerunków, *image'u*, czyli wymłócania resztek z tego, co może być i oryginalne, ale w procesie przerabiania intuicji w dedukcję zagubiło się i zatraciło. Molesta, w pierwszym, historycznym etapie, uniknęła maszynki do komercyjnego mięcha i dlatego właśnie tamta muzyka przetrwała. Jest w niej hop, jest hip, jest detal ursynowskich wymiocin na niesprzątanym blokowiskach, zmysłowość szczególnie cnotliwych dziewczyn w nieszczególnie dobrym nastroju.

Bartosz Paduch, autor między innymi cennego dokumentu o Totarcie, gdańskiej formacji artystycznej walczącej z systemem za pośrednictwem prowokacji i szydery, tym razem, w wielogłosowym hipopowym numerze, jakim w swojej istocie jest *Skandal. Ewenement Molesty*, pokazuje rusztowania wielu podobnych karier. Najpierw jest złość, najpierw żar, stowarzyszony z młodością, ale i z niena-

wiścią. Bo jak można pokochać świat z perspektywy pełnej petów klatki schodowej na Ursynowie? Nie pisze się wtedy wierszy, wiersze raczej nie przejdą, krzyczy się rap. Rap o nędzy, ale i o marzeniach, i jeszcze rap o tym, żeby nie wyśpiewać tego jednego słowa za dużo, że za wszystkimi akcjami tego typu nie stoi wcale macyzym, przewaga testosteronu, ale kompleksy, strach o przyszłość i chyba najskrzętniej ukrywana – wrażliwość.

Losy artystów, losy raperów, nie są tajemnicą: dopóki sami się w tym nie połapią albo nie wejdą we flirt z bezwzględną machiną korupcyjno-produkcyjną, będą zawsze poobijani. Nawet już z kasą, z rodziną, z wakacjami *all inclusive*. To siniaki wrażliwości, która ich zbudowała, której się z czasem wyparli.

Tak było z Molestą – szczyt nastąpił, zanim ktokolwiek zdążył się do tego przygotować. Potem, oczywiście upraszczając, rozpoczęło się wielkie spądanie. W podrygach (bo czasami jednak ich kariery idą lekko w górę), ale artystycznie jednak doliny. Tekst Klimy z pierwszej, legendarnej i najlepszej płyty Molesty *Skandal* brzmi niczym memento: „Parę osób w duszy zjednoczonych mistycznie/Na skórze alfabetycznie, Europa mówiąc geograficznie/To, co honorowe pieczętuję krwią/Muzyką, zmolestowaną techniką/Bo nieważna jest sytuacja, Klima korporacja w siłę rośnie/Większą niż bomby, które rozjechały Bośnię/Poczekaj, a każdy z nas dorośnie, postara się i przyjmie pozycje/W świecie, który pierdoli”. Poczekali, przyjęli pozycje w świecie, który zniszczył ich idealizm. Tylko czy można być idealistą przez całe życie? Czy w pewnym momencie nie staje się to nie tylko trudne do przyjęcia, nieakceptowane przez system, czyli świat właśnie, ale w gruncie rzeczy żałosne?

Słuchając wypowiedzi dawnych członków Molesty, można odnieść wrażenie, że ci lekko podstarzali buntownicy najbardziej obawiają się dzisiaj śmieszności, oskarżeń o małostkowość, naiwność. Jest, owszem, naiwność bohaterka, na przykład wtedy, kiedy opowiadają, jak dali się nabierać rządzającym wtedy korporacjom wydawniczym, ale jest też naiwność występna, zakazana, z której wynika, że nie tylko nie bardzo potrafili rachować, ale też myśleć, dbać o siebie, kojarzyć fakty.

Skandal był sukcesem unikatowym, wyjątkowym. Nie stała za tym żadna kampania reklamowa, wzmocnienie marketingowe, tylko siła autentyczności. Rap się u nas dopiero zaczynał, do okien wielkich bloków z wielkiej płyty przytwierdzone były małe anteny satelitarne, jeden z mniej fotogenicznych symbo-



li transformacyjnych zmian. Rodzice oglądali bawarskie softporno na RTL-u, ich synowie w dresach („żli i łysi” – kolejny cytat z Klimy) raczej MTV Rap, pierwsze programy o muzyce, której *de facto* w Polsce nie było. Ci chłopcy, czyli późniejsze ikony polskiego hip-hopu – Vienio i Włodi, zakładają zespół Mystic Molesta (później Molesta i Molesta Ewement), do zespołu dołączają Wilku, Pelson, Kaczy, DJ 600V czy nieżyjący już Chada, któremu Michał Węgrzyn poświęcił film *Proceder*. Nie zastanawiali się – potrafią czy nie. Musieli to zrobić, ten jedyny raz po prostu musieli. Nagrali płytę, zrobili hałas, pokochali ich rówieśnicy z innych blokowisk, ale także nadwrażliwi chłopcy we flanelowych koszulach w domach z ogródkiem, dziewczyny w opiętych dżinsach i z ukrywanym w plecaku tomikiem Poświatowskiej. Zespół Molesta zredukował podziały, był hymnem wszystkich nieboraków. „Bo nasze zadanie to molestowanie/Leszczy ściemnienie, sprytne przekręcanie”.

W filmie Paducha historie sypią się jak z rękawa. Prawdziwe czy podrasowane, nie ma to wielkiego znaczenia. Są opowieściami o latach 90. ubiegłego wieku. Łapanie policyjne i zgrywanie się na bohaterów, archiwalia i rejestracje historycznych dla zespołu momentów – kluczowego koncertu w Remonce, pierwsze, nieporadne wywiady, studio nagrań, papiery do podpisania, cyrografy z systemem. Ten obyczajowy szwung przekłada się na przekaz filmowy przekraczający ramy samego zespołu. *Skandal* staje się, być może mimowolnie, opowieścią o systemie kreuującym bogów i bożków i wyrzucających ich do śmietnika, jest także historią cynizmu. Hip-hop zaczął być szanowany dopiero wtedy, gdy stał się intratną pozycją do zaksięgowania, a szefowie

Hip-hop zaczął być szanowany dopiero wtedy, gdy stał się intratną pozycją do zaksięgowania, a szefowie majorsów wyczuli (z dużym opóźnieniem), że na tym naprawdę można świetnie zarobić. Dzisiaj wiemy, że na TYM zarabia się chyba najlepiej.

majorsów wyczuli (z dużym opóźnieniem), że na tym naprawdę można świetnie zarobić. Dzisiaj wiemy, że na TYM zarabia się chyba najlepiej. Dzisiaj już to wiemy, ale zarabiają inni, młodszy. Nie Vienio, nie Włodi, nie Molesta.

„My, łysiejący już i nie piękni, i nie dwudziestoletni, mieliśmy tych parę kroków w słońcu” – pisał w *Pięknych dwudziestoletnich* Marek Hłasko. Bohaterowie *Skandalu* mogą to powtórzyć. Parę kroków jednak było.



Łukasz Maciejewski - wykładowca na Wydziale Aktorskim Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi. Dyrektor artystyczny festiwalu Kino na Granicy w Cieszyźnie, ambasador projektu „Kultura Dostępna w Kinach”, kurator filmowy Małopolskiego

Ogrodu Sztuki w Krakowie, członek kapituły Paszporty Polityki w kategorii „Film”, członek Europejskiej Akademii Filmowej i Międzynarodowej Federacji Krytyków Filmowych FIPRESCI.



Idzie październikowe rewolucyjne przesilenie, rys. Andrzej Zaręba

Jestem z lepszego sortu

Tekst: Mieczysław Czuma

Z dumą i satysfakcją oznajmiam, że jestem z lepszego sortu. O wiele lepszego od sortu przypisanego mieszkańcom okolic Pałacu Kultury i Nauki, jakiegóż tam Mokotowa czy ulicy Nowogrodzkiej.

A z lepszego sortu jestem dlatego, że moi antenaci – członkowie plemiennego związku Wiślan – ochrzczeni zostali prawie sto lat wcześniej niż pozostali mieszkańcy ziem rozpiętych między Tatrami i Bałtykiem. I to właśnie my, mieszkańcy okolic Wawelu, jesteśmy – tak, tak – starszymi chrześcijanami, to nasz staż w kontaktach z niebiosami jest – tak, tak – po prostu dłuższy. Wszystko dlatego, że w roku 874 przyłączeni zostaliśmy do państwa wielkomorawskiego (dzisiejsze tereny Czech, Słowacji i Węgier) i przyjęliśmy zaprowadzone tam przez Cyryla i Metodego chrześcijaństwo w obrządku starocerkiewno-słowiańskim.

Jestem z lepszego sortu także i dlatego, że tegoroczne wakacje spędziłem nad Dunajcem, w pobliżu Tropia. Położone w dolinie tej rzeki osady, takie jak znajdująca się w sąsiedztwie Podegrodzia wieś Naszacowice (okolice Nowego Sącza) czy usytuowana bardziej na północnym wschodzie Zawada Lanckorońska (okolice Zakliczyna), utrzymywały zażyłe kontakty z Wielką Morawą. Świadczą o tym znajdujące w tych miejscowościach, a pochodzące z południowej strony Karpat fragmenty metalowych ostróg czy ozdobne lunule, srebrne kobiece wisioriki w kształcie półksiężyca. Ale jeszcze ciekawsze jest to, że te tereny – tak, tak – próbowano chrystianizować o wiele wcześniej, zanim jeszcze plemiona Wiślan przyłączono do państwa wielkomorawskiego.

Pierwsi przybyli w te strony mnisi zwani Iroszkotami. Byli to zakonnicy z francuskiej Bretanii, z Irlandii, a także ze Szkocji, którzy najpierw zasiedlali klasztory nad górnym Dunajem, zwłaszcza w Bawarii. Stamtąd wyprawiali się na wschód, aby pełnić posługę misyjną wśród Słowian. Kiedy jednak władcy państwa wielkomorawskiego przyjęli u siebie Cyryla i Metodego (rok 863) i zaprowadzili u siebie obrządek starocerkiewno-słowiański, zaczęto ich usuwać z ziem położonych na południe od Karpat. Doliną Popradu powędrowali wtedy ku nam, na północ. Zachowało się wiele śladów ich pobytu w tych stronach, zwłaszcza w nazewnictwie. Posługujący się greką Iroszkoci pozostawili tu po sobie liczne terminy greckie i celtyckie. I tak, na przykład, sama miejscowość Tropie ma źródłosłów grecki (trope to grecku „zwrot”, „obrót”), a trzeba wiedzieć, że Dunajec wykonywał tu kiedyś jeden i drugi gwałtowny skręt. Do dziś zresztą ta miejscowość to dla wielu

tutejszych mieszkańców po prostu Zawrot. Często spotykane w tych stronach nazwisko Szot, a to nic innego jak skrócona i uproszczona wersja słowa Szkot. Natomiast założyciel pobliskiej wsi Iwkowa miał na imię Jan, a w wersji celtyckiej to Iwo.

Członkowie plemiennego związku Wiślan ochrzczeni zostali prawie sto lat wcześniej niż pozostali mieszkańcy ziem rozpiętych między Tatrami i Bałtykiem. I to my, mieszkańcy okolic Wawelu, jesteśmy starszymi chrześcijanami, to nasz staż w kontaktach z niebiosami jest dłuższy.

Jestem z lepszego sortu, bo z moim wakacyjnym Tropiem związana jest postać św. Świerada, jednego z największych ascetów, pierwszego polskiego misjonarza i świętego. Ten świadek początków chrześcijaństwa w tej części Europy najpierw uprawiał swoją pokutniczą i pustelniczą posługę w Tropiu, drugą część życia spędził na dzisiejszej Słowacji. Wstąpił tam do klasztoru na górze Zabor koło Nitry, odział się w habit i przyjął imię zakonne Andrzej. Ale wyrastał Świerad na chrześcijańskiej, już małopolskiej glebie. I choć ascezę i cierpienie uczynił swoim powołaniem, to jego imię – popularne wtedy w tych stronach – poświadcza, że był człowiekiem szczęśliwym. Świerad to po staropolsku „wsze rad”, „zawsze rad”. Tradycja mówi, że nauczał i wiódł swoje pustelnicze życie na terenie Tropia w lesie, pod skałą, kilkaset metrów od obecnego sanktuarium. A kiedy udał się do Nitry (rok 1018), zasłynął z ascezy, co drugi dzień pościł, posilał się tylko jednym orzechem włoskim. Do legendy przeszły tortury, jakie potrafił zadawać samemu sobie.

Wróciłem z wakacji z przeświadczeniem, że mam już chyba dostateczną liczbę dowodów na to, aby tytuł tego mojego gadania był prawdziwy.



Mieczysław Czuma – profesor kraukauerologii, redaktor niehabilitowany.

O Atlanticu na dziewięćdziesiąte, oby nie ostatecznie, urodziny

Tekst: Magda Miśka-Jackowska

Chmielna 33 jest jednym z najważniejszych filmowych adresów Warszawy. Czy to wytwórnia? Nie, kino. Miejsce, bez którego filmowcy nie mieliby powodu, aby kręcić. Być może jedno z ostatnich w Polsce kin z tak długą i bogatą historią. Atlantic zaczął właśnie walkę o przetrwanie.

Nie wiem, ile razy zdarzyło mi się w ostatnich latach w Warszawie zamawiać taksówkę i prosić: „do Atlantica!”. Setki? Błędym świtem na poranne pokazy prasowe, gdy człowiek z trudem utrzymuje kubek z kawą. Popołudniami na spotkania, wywiady, przed którymi lubię sobie postać chwilę na zewnątrz i popatrzeć na ludzi. I wieczorami, gdy się jeździ na premiery, z których część miałam zaszczyt

Rozbudowa biurowców, sklepów, apartamentowców zmiotła z mapy kulturalnej stolicy (a i innych polskich miast) wiele ważnych dla polskiej kultury miejsc – w tym kin. Owszem, sale można zbudować na nowo. Ale ich duszy odtworzyć się nie da.

tam prowadzić. To miejsce ze szczególną atmosferą, która odcina widza od świata w ciemności na dwie godziny, a potem wpuszcza do niego z powrotem, gdy wychodzi się po seansie na gwarną Chmielną. Jest się wtedy „zakinionym”, jak pisał pięknie Gałczyński. I to nie jest jakiś nieprzyjemny zgiełk, choć normalnie by był. Ten pofilmowy gwar jest przyjemny, jest jak most między fikcją a rzeczywistością. Czy sobie wyobrażam, że tam nie jadę, bo kina już nie ma? Nie.

Ale o to trzeba będzie powalczyć. I to nawet nie chodzi o dzisiejsze protesty, listy wsparcia i petycje, pod którymi podpisało się już wielu widzów, w tym bardzo znanych, między innymi Agnieszka Holland, Jan Komasa, Paweł Pawlikowski czy Krzysztof Zanussi. Bo oni też są widzami i też sobie nie wyobrażają, aby nie móc pojechać „do Atlantica”. Gdy wiadomość o niepewnej przyszłości kina wybuchła, ludzie się skrzyknęli i dali znać, co myślą i jak boją się, że się im zabierze jedno z ulubionych miejsc stolicy. W sieci przekazywali sobie dalej artykuły prasowe, podpisywali, gdzie trzeba, nagłaśniali sprawę. Teraz jednak potrzeba naprawdę upor i determinacji, aby nie machnąć na to wszystko ręką. Wytrwałości dłuższej niż kilka miesięcy protestów, bo może się okazać, że tu potrzeba nie kilku miesięcy walki, ale nawet kilku lat.

Fakty są takie, że w grudniu wygasa umowa dzierżawy kina przez spółkę, która prowadzi je od 1996 roku. Budynek, którego w całości nie powaliła nawet II wojna światowa, ma przejść nowy właściciel. I choć zapewnia, że informacje o przeznaczeniu terenu pod

budowę biurowca są plotkami, które stanowczo dementuje, są powody do obaw. Przede wszystkim dlatego, że podobny los spotkał wiele warszawskich kin (Syrena, Wars, Ochota, Sawa to tylko niektóre). Obietnica utrzymania, a potem zamknięcie albo od razu brutalne zamknięcie. Żadnych sentymentów wobec miejsc, które istniały w mieście od dawna, miały znaczącą historię (na przykład Skarpa czy Moskwa). Rozbudowa biurowców, sklepów, apartamentowców i wszelkiej maści inne plany związane z nieruchomościami w Warszawie zmiotły z mapy kulturalnej stolicy wiele ważnych dla polskiej kultury miejsc. Bywały lata, gdy miasto miało ponad 70 przeróżnych kin, mniejszych i większych, wśród nich takie z drewnianymi fotelami i plenerowe, architektoniczne perełki oraz sale kinowe w zakładach pracy.

Ktoś powie, że to tylko kino. I z rozkoszą wybierze rozkładany fotel w jednym z wielkich multipleksów, w komplecie z kinowym menu. I choć to komfortowe rozwiązanie, brakuje w nim czegoś, co wciąż istnieje w zdaniu, gdy mówimy, że idziemy do kina. To pewna podróż do świata, który ktoś stworzył za pomocą wielkiej wyobraźni i nas tam zaprosił.

Pech, że Atlantic spotyka takie problemy w roku swoich 90. urodzin. Jest dziś najstarszym kinem Warszawy. Przetrwało wojnę. Wystąpiło w *Złym Leopolda Tyrmanda*. Po generalnym remoncie w 1960 roku otwierała kino premiera filmu *Do widzenia, do jutra* Janusza Morgensterna, a na dachu pojawił się niebieski neon, jeden z najsłynniejszych w stolicy. W latach 90. ubiegłego wieku Atlantic przeszedł kolejny duży remont. Ma dziś cztery sale w sumie na blisko 800 osób. Nie brakuje tych, którzy zmierzają w stronę Chmielnej 33 taksówkami, tramwajami, samochodami i pieszo.

W świecie wszechobecnej wygody i kultury na życie wciąż jestem w stanie przejść kilka kilometrów w Wiedniu, aby choć na chwilę stanąć w drzwiach najstarszego kina w mieście, Film Casino, podziwiając szklany sufit. Z Amsterdamu najcieplej wspominam Pathé Tuschinski, królewskie kino z lożami, w których jest przy fotelu specjalne miejsce na kieliszek szampana. Sale można zbudować na nowo. Duszy takich miejsc odtworzyć się nie da.



Magdalena Miśka-Jackowska – autorka wielu programów poświęconych sztuce filmowej, jako konferansjerka związana z licznymi wydarzeniami kulturalnymi w całym kraju, fanka muzyki filmowej i Krakowa.

Dziennik pandemiczny: Jak zostaliśmy płaskoziemcami

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

Nina właśnie docierała do pętli tramwajowej, gdy przy jednym z przystanków usłyszała huk rzucanych na ziemię siatek. Dźwięk, który się przy tym wydobył, zdradzał, że w siatkach były co najmniej cztery butelki z piwem. Nina dobrze wiedziała, że nie są to ani powidła, ani kiszzone ogórki w słoikach, ponieważ znała ten charakterystyczny stuk aż za dobrze. Przy biletomacie schylała się kobieta, która uporczywie wpatrywała się w ekran i po kolei wszystkimi palcami lewej ręki próbowała przebić go na wylot.

Pani wie, jak tu kupić kartę miejską? Bo mi się tu coś poprzestawiało, pieniądze nie wchodzi... – zapytała, gdy Nina akurat stanęła obok.

Nina podeszła do ekranu, okazało się, że pani zmieniła język biletomatu na japoński. Poszukiwanie biało-czerwonej flagi zajęło Ninie chwilę chyba tylko dlatego, że cierpiała od jakiegoś czasu na tak zwane pomijanie stron na tle narodowym, a więc uparcie nie dostrzegała połowy obywateli i nie chciała się z polską flagą w żaden sposób utożsamiać. Gdy już bilet został kupiony, a kobieta podniosła swoje siatki, w których, jak słusznie podejrzewała Nina, wesoło bujało się kilka tanich piwerek, Nina psiknęła w swoje dłonie środkiem dezynfekującym. Siatkowa popatrzyła na nią tak, że gdyby dezynfekcja wzrokiem była możliwa, Nina zniknęłaby natychmiast.

– Pani wierzy w tego koronawirusa? – zagadnęła Siatkowa tonem, który był od razu odpowiedzią, że SARS-CoV-2 nie istnieje.

– A to jest kwestia wiary? – zapytała Nina.

– Następną naiwna! Te media to już ludziom do końca przeparały mózgi. Nie ma żadnego koronawirusa, to jest, proszę pani, wymysł koncernów, które chcą nas namówić na zakup szczepionek. A w tych szczepionkach to są, proszę pani, metale ciężkie, resztki abortowanych płodów i jest to proszę pani nowa broń biologiczna, od której kobietom wycinają macice i te tam... nasieniowody.

– Jajowody – poprawiła Nina.

– Czy pani wie, że ten wirus to jest tak naprawdę hiper wirus grypy? Nanieśli go do nas muzułmanie. Ci zarażeni to byli zmuszani do kaszlenia na niewiernych! Czyli na nas, chrześcijan.

Nina najpierw przytakiwała, potem zaczęła przestępować z nogi na nogę, później zrobiło jej się Siatkowej żal. Nagle odezwał się inny pasażer, pan koło sześćdziesiątki w kurtce moro i z wędką.

– Ja się z panią całkowicie zgadzam! Koronawirus to jest po prostu czysty biznes, a Ruscy i Amerykańcy znaleźli sposób, by dorżnąć nam gospodarkę. Putin aż się trząsał, że Pol-

se się tak dobrze wiedzie, i wymyślili pandemię. Genialne posunięcie! A jeszcze coś wam opowiem. Moja córka to była taka niezbyt wierząca, o, taka sama jak pani, tak samo się śmiała – powiedział Rybak zwracając się do Niny.

Nina psiknęła dłonie środkiem dezynfekującym. Siatkowa popatrzyła na nią tak, że gdyby dezynfekcja wzrokiem była możliwa, Nina zniknęłaby natychmiast.

W słowo weszła mu Siatkowa:

– Lewacy sięją panikę, że można się zarazić w kościele. Dobrze Rydzyk mówi, że ten wirus musi być bardzo pobożny.

Rybak:

– Pani pewnie myśli, że ja wierzę w jakieś spiskowe teorie. Zięć mi na Netflixie puścił ostatnio film o tych płaskoziemcach. Trzeba być idiotą, żeby wierzyć, że Ziemia jest płaska!

– Ale co z tą pana córką? – dopytywała Nina.

– Córka pojechała na zwiedzanie do Portugalii do Fatimy. I jak tylko wróciła, to zniknęły jej wszystkie kurczaki. Mało tego, zarzekała się, że już nie chce mieć dzieci. I co, w ciąży jest! A teraz najlepsze. Jak kupowała medaliki pod sanktuarium, to przez pomyłkę sprzedawca dał jej sześć, zamiast pięciu. Dla tego maleństwa nienarodzonego! A przecież nie mógł nic wiedzieć. No i to jest dowód!

– Na co? – dociekała Nina.

– Na to, że koronawirus nie istnieje, ale Bóg tak!



Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Publikuje w „Dużym Formacie”, „Tygodniku Powszechnym”, portalu Onet.pl i „Codzienniku Feministycznym”. Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*.



Sławomir Shuty nie próżnuje i znów zaskakuje czytelników. Tym razem kreśli apokaliptyczną wizję przyszłości. Ziemi – globalnie, ale z punktu widzenia jej mieszkańca, nieważne, mieszkającego tu czy tam, problem pozostaje ten sam i tak samo przerażający. Czytając kolejne odsłony tego niesamowitego cyklu, coraz mniej chce nam się śmiać. Bo i śmieszno tu, i straszno. Shuty, dosadnie i bez skrupułów, ukazuje swoją (ale przecież i naszą!) wizję losów planety. A wizja ta, doprowadzona do absurdu i pisana w dodatku zubożoną „nowomową”, wywołuje ciarki na plecach. Planeta utopiona w śmieciach, przeludniona człowieczkami-potworkami, wszystko to podlane groteskowym sosem zdaje się nie do przełknięcia. Jednak jest realna! Shuty wieszczy i przestrzega, ale czy nie będzie to głos wołającego na puszczy?

Warto też przypomnieć, że o takich opowieściach Artur Sandauer mawiał: „Jak wszelka satyryczna fantazja, tak i ta dotyczy w gruncie rzeczy teraźniejszości”.

Elżbieta Wojnarowska

Malarz, rysownik, grafik (w latach 80. ubiegłego wieku szefował pracowni graficznej ONZ w Nowym Jorku), scenograf, fotograf. Profesor (m.in. krakowskiej ASP, której był też absolwentem). Pisarz (przednie są wspomnieniowe *Fragmenty*, wydane w 2017 roku w Suwałkach). A także, co nie bez znaczenia, podróżnik (przemierzył – w dużej mierze pieszo i na koniu – zwłaszcza Azję) oraz miłośnik zwierząt (m.in. hodowca arabskich).

Poeta w końcu. Wiele mówi już, że prof. Andrzej Franaszek zestawia Andrzeja Strumiłłę – i to nie tylko generacyjnie – z Baczyńskim, Gajcym, Różewiczem, wreszcie Herbertem. Jego wybrane wiersze z całego długiego życia to światem – często bezlitośnie okrutnym, w ostrości jednak zawsze jakoś pięknym i wartym zachwyty, zatem więc wartym także korzystania, a przynajmniej zadumy. Jako że ponad połowa tych zapisków powstała, gdy autor przekroczył osiemdziesiątkę, wiele jest o nieodwracalności losu oraz konieczności jego cierpliwego, a przez to godnego znoszenia. Uderza zaś w tej poezji nie tylko jej mądrość, lecz i esencjonalność (to pewnie wynik fascynacji duchowością Orientu).

Taka fraza: „Powiew wiatru bezpowrotnie ulatuje / Raz żyjemy / Niecodziennie Notre Dame płonie / Nic do ziarna nie powraca”.

Rozmawiałem z Andrzejem Strumiłłą raz w życiu. Wystarczyło, by zrobił wrażenie. Pięknie opowiadający, ale i słuchający. Ironicznie dowcipny, ale i poważny. Ciepły, ale uważny. Typ, powtórzmy, mędrca. Zmarł niedawno. (kb)

Sławomir Shuty, *Historie o ludziach z wolnego wybiegu*. Pasty i skity, Korporacja Ha!art, Kraków 2020.

Andrzej Strumiłło, *Powidoki. Wiersze i zapiski z lat 1947-2019*, Znak, Kraków 2020.

– Twoja mama bardzo cię kocha.

– A ty?

– Najbardziej na świecie.

Nie zdążyłem po raz kolejny zadać pytania, czy nigdy nie umrze, zasnąłem. Obudziłem się jednak, gdy próbowała wstać.

– Dokąd idziesz? Nie zostawiaj mnie samego.

Bez słowa znowu położyła się obok mnie. A ja dla pewności, że nie będzie mogła mnie zostawić, złapałem jej dłoń. Mocno. Najmocniej, jak tylko umiałem.

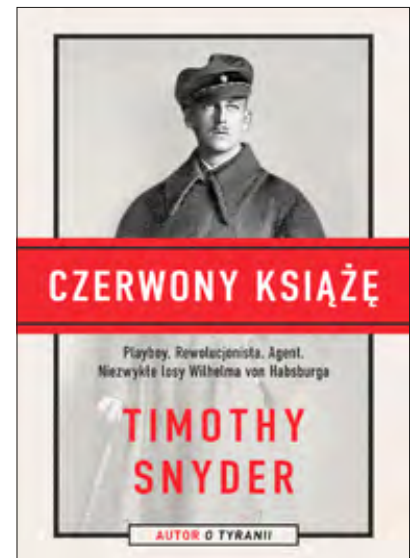
Wzruszające wspomnienia wnuka z babcią? Osobista opowieść o rodzinie? A może pożegnanie nas wszystkich z przeszłością? Bo choć książka jest formą intymnej (nawet bardzo!) opowieści o miłości do babci przez dziecko o wrażliwości dorosłych – to w gruncie rzeczy jest to płynnie snująca się narracja tycząca nas wszystkich. Wszak żyjąc, tracimy życie.

To historia pełna cichych słów, drobnych gestów i obrazków z codzienności, co to banalna, acz niezwykła. I historia tego, co niesiemy potem w sobie przez całe życie. Pamięć gubi tak wiele, lecz postać babci zostaje. I tytuł, mądry, choć prowokacyjny, budzi jednak bunt przez łzy: – Nie, przenigdy – jak dobrze, że wielu z nas dane było poznać swoich bliskich, dziadków i babcię.

Zachwycające miniatury.

Wiktor Krajewski jest dziennikarzem, który zadebiutował w 2015 roku głośnymi *Łączniczkami. Wspomnieniami z Powstania Warszawskiego*, a potem popełnił jeszcze rozmowę z Aliną Dąbrowską *Wiem, jak wygląda piekło* (2017). (wb)

Wiktor Krajewski, *Chciałbym nigdy cię nie poznać*, Prószyński, Warszawa 2020.



Dreszcz budzi już sama perspektywa: człowiek skazany przez zbrodniczą ideologię na zagładę opowiada, jak nadzorował budowę miejsca, które służyć miało kaźni. Znaczenie ma też to, że wspomnienia powstały ledwie kilka miesięcy po tym, jak autor cudem uniknął śmierci, bo w październiku 1945 roku. Stąd masa znamienych w istocie detali, które z czasem mogłyby zatrzeć się w pamięci, a także świeże – i równie znamienne – emocje i oceny.

Jakub Stendig był znanym w międzywojniu krakowskim projektantem i budowniczym. Udzielał się w miejscowej społeczności żydowskiej. W czasie okupacji trafił z żoną i córką do getta, a w marcu 1943 roku do obozu w Płaszowie. Tam przydzielono go do Bauleintungu, ekipy więźniów, którzy mieli stawiać obozowe ogrodzenia, łaźnie czy koszary dla niemieckiej załogi. W efekcie stał się świadkiem rozwoju infrastruktury śmierci – oraz ludzkich zachowań i to zarówno, jeśli chodzi o ofiary, jak katów. W obu przypadkach pojawiały się sytuacje i prawidłowości niemożliwe wcześniej (a i dziś) do pojęcia. To one są kluczową wartością tej relacji. Bo Stendig przetrwał i tuż po wojnie opisał wszystko z inżynierską precyzją. Więcej, zebrał też relacje innych ocalałych z Płaszowa towarzyszy i całość ogłosił w 1970 roku w Izraelu. Teraz ukazuje się wydanie polskie.

PS Wspomnienia Stendinga sięgają także czasów przedwojennych – są więc również opowieścią o ówczesnych żydowskich obywatelach Krakowa i ich wkładzie w rozwój oraz klimat miasta.

(kb)

Jakub Stendig, *Płaszów. Ostatnia stacja krakowskiego żydostwa*, Muzeum Krakowa, Kraków 2020.

Ten tom (a raczej wybór z różnych tomików) jednej z najpopularniejszych dziś w świecie poetek izraelskich został nagrodzony w roku 2019 Międzynarodową Nagrodą Literacką im. Zbigniewa Herberta.

To poezja, jakby to określiła Virginia Woolf, „chwila istnienia”. Wiersze Agi Mishol czyta się lekko, ale tylko z pozoru wydają się proste. Prostota ta bowiem wynika *de facto* z klarownego zapisu epifanicznych impresji i wrażeń zmysłowych, jak i pojedynczych momentów zwykłej codzienności. W zapisy zwyczajności wplecione są, jakby mimochodem czy mimowolnie, mistyczne skojarzenia wypływające właśnie z owych prostych zdarzeń i zachwyków. Co więcej, kobiecość, która przenika te wiersze na wskroś, sprawia, że każdy wers jest sensualnie zanurzony w prozie życia. Autorka zdaje sobie z niej sprawę i, co więcej, sama się w nią wpisuje. Potrafi spojrzeć na siebie (i na swoje ciało) z szerszej perspektywy, nie uciekając przy tym od detali codziennych czynności, na których skupia swoją i naszą uwagę. Ujmuje w ten sposób prawdę istnienia w sposób niezwykle subtelny, ledwie zaznaczony i metaforycznie wyważony, jednocześnie kierując nas na zupełnie inne tropy odczytania jej myśli. I to jest najcenniejsze w tej poezji (która równocześnie nie ucieka wcale od odniesień politycznych i społecznych). W posłowniu Edward Hirsch napisał: „Drzwi są otwarte na oścież, wabią do środka delikatną noc”. Te drzwi i ta noc zapraszają.

Elżbieta Wojnarowska

Agi Mishol, *Jestem stąd* (wybór i tłumaczenie Angelika Adamczyk, Justyna Radczyńska, Beata Tarnowska), Wydawnictwo a5, Kraków 2020.

W roku 1915 Willy (Wilhelm) von Habsburg, członek najszlachetniejszej wówczas rodziny panującej Europy, mając niespełna 20 lat, postanawia, że stanie na czele kraju wyidealizowanego podczas dziecięcych podróży – Ukrainy. Ma to też być sposób na ocalenie pozycji dynastii w obliczu nasilających się w I połowie minionego stulecia nacjonalizmów.

Rodzina mówiła we wszystkich językach Europy Środką, ale ojciec młodzińca Stefan uznał, że najważniejsze są jego związki z Polską – i cała rodzina przeniosła się do Galicji w 1907 roku, a ojciec ogłosił polskość rodziny i rozpoczął starania o polski tron. Młody Willy uczył się z polskiej literatury, że Polacy i Ukraińcy toczą odwieczny spór o ziemię, które jedni i drudzy nazywają ojczyzną. W *Ogniem i mieczem* przeczytał o wielkim powstaniu ukraińskich Kozaków przeciwko polskiej magnaterii na Ukrainie w XVII wieku. Chociaż Sienkiewicz, najpopularniejszy polski pisarz wszystkich czasów, wyraźnie brał stronę Polaków, nie odmawiał Kozakom godności. Willy nie był ani pierwszym, ani ostatnim czytelnikiem, który poczuł sympatię do występujących w powieści Kozaków.

I teraz dopiero zaczyna się pasjonujący scenariusz... (kb)

Timothy Snyder, *Czerwony księż*, Znak, Kraków 2020.

Architektki, które zawojowały męski świat projektantów

Tekst: Magda-Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Mariusz Bembenek

Początkowo nazywano je architektoniczkami. Nazwa dziwaczna, świadcząca o tym, że opanowane przez mężczyzn środowisko architektów i urbanistów w okresie międzywojennym nie było przygotowane na pojawienie się w ich gronie projektantek. O niebanalnych osiągnięciach utalentowanych kobiet opowiada książka *Architektki* prezentująca sześć wyjątkowych osobowości, podchodzących do architektury w sposób nowoczesny, często awangardowy.

W Krakowie taką postacią była Diana Reiter. Możemy sobie tylko wyobrazić, jak musiała o sobie walczyć młoda, niezwykle zdolna architektka, by osiągnąć godną pozycję w biurach projektowych, w których kobiety bywały jedynie sekretarkami. A co potrafiła zdziałać, udowadnia stworzony przez nią modernistyczny budynek przy ul. Pawlikowskie-

go 16. O jego wysokim standardzie niech zaświadczy to, że mieszały w nim tak prominentne osoby jak choćby Leon Fuchs, dyrektor szpitala św. Łazarza.

Diana Reiter podczas wojny trafiła do getta, a następnie do obozu w Płaszowie. Zygmunt Grünberg, który kierował tam pracami budowlanymi, powierzył jej budowę koszar dla wachmanów. Jednak na skutek wady rusztowania runęła jedna ze ścian konstrukcji. Architektka została oskarżona o spowodowanie katastrofy i zastrzelona przez sadystycznego esesmana. Scenę jej śmierci pokazał w filmie *Lista Schindlera* Steven Spielberg.

Wojnę udało się na szczęście przeżyć Barbarze Brukalskiej, która razem z mężem Stanisławem (też architektem) należała do ugrupowania modernistów Praesens. Byli przedstawicielami radykalnej, awangardowej estetyki spod znaku Le Corbusiera. Zafascynowani projektowanymi przez niego wnętrzami o wielkich przeszkleniach i modelami dwukondygnacyjnej przestrzeni właśnie tak zaprojektowali swój dom-pracownię na warszawskim Żoliborzu, uważany za pierwszą awangardową realizacją w Polsce.

Styl Le Corbusiera był też ważny dla Heleny Syrkuz i jej męża Szymona. Wspólnie poświęcali mnóstwo uwagi architekturze społecznej, tworzeniu koncepcji „mieszkania minimalnego”, które zaspokoiliby potrzeby robotników. Zależało im jednak, żeby skromne pomieszczenia miały przynajmniej duże przeszklone ściany zewnętrzne, które chroniłyby mieszkańców przed przygnębiającą monotonią.

W książce znalazły się także szkice poświęcone tak znakomitym architektkom jak Halina Skibniewska, Anatolia Hryniewicka-Piotrowska i Jadwiga Grabowska-Hawrylak. Dokonania każdej z nich świadczą o talencie kobiet, które nie dość, że poradziły sobie w patriarchalnym świecie mężczyzn, to wniosły swój niepowtarzalny styl do polskiej myśli architektonicznej.

Architektki, autorzy: Barbara Zbroja, Marta Leśniakowska, Rafał Ochęduszko, Marta A. Urbańska, Łukasz Wojciechowski i Szymon Piotr Kubiak, seria: *Architektura jest najważniejsza*, Wydawnictwo EMG, Kraków 2016.



Kamienica przy ul. Pawlikowskiego 16 zaprojektowana przez Dianę Reiter



Nowe kierownictwo Teatru Bagatela: Andrzej Wyrobiec (dyrektor naczelny) i Krzysztof Materna (dyrektor artystyczny)

W Bagateli będzie śmiesznie, ale nie głupio

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Nowi szefowie Teatru Bagatela nie zamierzają zmieniać komediowo-rozrywkowego charakteru sceny. Choć, jak twierdzą, znajdzie się na niej również miejsce dla nieco poważniejszych spektakli.

Widzowie lubiący lżejszy repertuar mogą być spokojni. W Bagateli pod rządami Krzysztofa Materny (dyrektora artystycznego) i Andrzeja Wyrobca (dyrektora naczelnego) nie dojdzie do rewolucji. Teatr będzie tak jak do tej pory grał komediowo-rozrywkowe przedstawienia. – Nie oznacza to, że nie sięgniemy po nieco ambitniejsze rzeczy – zaznacza dyrektor artystyczny, dementując krążące po Krakowie pogłoski, jakoby miał zlikwidować scenę na Sarego. Przeciwnie, nowi dyrektorzy zamierzają ją rozwijać, między innymi dzięki granym tu kameralnym formom muzycznym. – Jako pierwsza zaprezentuje w tym miejscu swój recital z piosenkami Jacka Cygana Kamila Klimczak. Zresztą nie tylko na tej scenie zamierzamy wykorzystać potencjał zespołu aktorskiego, który świetnie śpiewa – dodaje Materna.

Na razie 25 października zobaczymy sztukę *Ich czworo* Gabrieli Zapolskiej, którą reżyseruje Giovanni Castellanos. To przedstawienie zostało zakontraktowane jeszcze za poprzedniej dyrekcji. Pierwszym spektaklem, który zaplanowali nowi dyrektorzy, będzie *Rewizor* przygotowany przez Mikołaja Grabowskiego. – Cieszy nas, że pozyskaliśmy tak wybitnego reżysera. Współpraca z nim jest naszym atutem – mówi Krzysztof Materna. Premiera *Rewizora* przewidziana jest na styczeń 2021 r.

Po niej możemy się spodziewać dwóch kolejnych spektakli. *Pensjonat pana Bielańskiego* wyreżyseruje Marek Gierszał. Akcja przedstawienia będzie rozgrywała się w Krakowie czasów zaboru austriackiego. Główny bohater, Maurycy Stolnik, ziemianin z pobliskich Bronowic, chce zabłysnąć przed znajomymi niesłychanymi opowieściami z wielkiego miasta. Choćby historią z tutejszego domu wariatów, w którym pragnie spędzić wieczór. Będzie na pewno lekko i zabawnie.

W trochę poważniejsze tony wpadną aktorzy grający u Adama Opatowicza, twórcy spektaklu *Madame Pylinska i sekret Chopina*, opartego na noszącej ten sam tytuł książce Erica-Emmanuela Schmitta. Jej bohaterem jest francuski pisarz, który pobiera lekcje interpretacji utworów swojego ukochanego kompozytora u polskiej nauczycielki.

– Będziemy mieć też propozycje dla najmłodszych widzów. Zamierzamy grać dla nich przedstawienia przedpołudniowe, nie konkurując oczywiście w żaden sposób z sąsiadującą z nami Groteską – podkreśla Andrzej Wyrobiec. Krzysztof Materna dodaje, że w Bagateli nie zabraknie również propozycji dla młodzieży. Stąd plany współpracy z takimi artystami jak Dawid Podsiadło czy Katarzyna Nosowska.

Domy poezji

Tekst: Janusz M. Paluch

Krzysztof Lisowski, krakowianin z krwi i kości – rocznik 1954, swój pierwszy wiersz ogłosił w 1972 roku na łamach „Życia Literackiego”. W roku bieżącym obchodzi jubileusz 45-lecia debiutu książkowego (*Próba obywatelstwa* z roku 1975). Czyni to jak na prawdziwego poetę przystało! Zaprasza nas do luksusowej kapsuły czasu i kiedy już wygodnie rozsiądziemy się w fotelach, otwierając jego najnowszą książkę *Domy Dni. Antologia osobista*, pędzimy przez poezję Krzysztofa Lisowskiego od najdawniejszych czasów aż po pandemiczną współczesność (ostatni wiersz *Kwarantanna*). Na bez mała czterystu stronach zawarł wybrane przez siebie najważniejsze utwory poetyckie, poematy, eseje i prozy. Książkę wieńczą nowe wiersze, powstałe także w czasie pandemii.

Antologię osobistą Krzysztofa Lisowskiego powinno się czytać z wielką uwagą. Każdy wiersz to jak jeden dzień z życia poety. Jego wersy inaczej brzmią zimą, odmiennie jesienią czy wiosną... Być może to po prostu walor poezji. Ja doświadczam tego w zetknięciu z twórczością Lisowskiego. Być może dlatego, że mamy pewien wspólny dom, w którym ro-

zumiemy się bez słów. To Bałkany, które wzywają nas każdego roku, by doświadczać ich piękna, poszukiwać mitologicznych bohaterów, spijać nektary dające poczucie szczęścia, błogości, a nade wszystko niekonieczności...

Domy, do których Lisowski nas zaprasza, budował w różnych latach. Wzniósł ich ponad trzydzieści. Czy ze wszystkich tchnie dumą? Jaki klucz zastosował, preferując w tej książce akuratnie tych piętnaście? Wiele z nich ukoronowanych zostało ważnymi nagrodami literackimi. Nie ukrywam, że dwa (*Piętnaście tysięcy dni* – 1995 rok i *Zaginiona we śnie* – 2019 rok) pomagałem wznosić, a więc mam swój skromny udział w jego literackim imperium! Kilka lat temu był aktywny na łamach miesięcznika „Kraków”, obecnie współpracujemy na płaszczyźnie kwartalnika *Czas Literatury*. Ukazują bogatą działalność poety w skali mikro, bo przecież jest wiele innych tytułów czasopiśmienniczych, w których możemy go spotkać, a do tego jeszcze Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, dziesiątki spotkań literackich na terenie Polski (oczywiście w czasach przedpandemicznych), udział w gremiach konkursowych. Wsłuchując się w wydźwięk poezji Lisowskiego, w pełni zgadzam się ze słowem prof. Wojciecha Ligęzy, który rekomendując książkę, stwierdza: „Własny głos poety współbrzmi z wypowiedziami innych artystów, niejako się w nich przełamuje, zyskując szlachetność i głębię, ale też epigrafom i parafrazom nadawane są w tomach Lisowskiego nowe znaczenia, gdyż mówiący pragnie zrozumieć własne biograficzne doświadczenia, wpisać jednostkową przygodę istnienia w uniwersalne wzory kultury”.

Uczcijmy zatem jubileusz poety, czytając jego książkę i życząc dalszych twórczych sukcesów.

Krzysztof Lisowski, *Domy dni. Antologia osobista*, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Kraków 2020.



Mimo że wirus nas nie opuszcza, krakowskie teatry wracają do gry. Wprawdzie zasiądziemy na widowni w maseczkach, a w foyer będziemy musieli zachować stosowne odległości, to propozycje artystyczne, którymi kuszą nas twórcy, świadczą, że pandemiczny sezon może być całkiem udany.

■ Narodowy Stary Teatr

Premierowy, październikowy maraton rozpocznie na narodowej scenie oparty na listach Wisławy Szymborskiej i Zbigniewa Herberta spektakl *Kochana Wisetko, najdroższy Zbyszku* Mikołaja Grabowskiego (3 października). W rolę poetów wcielią się Katarzyna Krzanowska i Jacek Romanowski. Tydzień później przy ulicy Jagiellońskiej zobaczymy przedstawienie *Jeńczyzna* Pawła Demirskiego i Moniki Strzępki. Jak zapowiadają autorzy, będzie on próbą otwartej i wyzbytej uprzedzeń rozmowy o seksie. W przedstawieniu wystąpi cała plejada gwiazd „Starego”, podobnie jak w *Aktorach prowincjonalnych* (24 października), przygotowywanych przez Michała Borczucha. Kolejne planowane tytuły to: *Wiśniowy sad* Agnieszki Glińskiej (21 listopada), *Fiasko* Magdy Szpecht (grudzień), *Tonąca dziewczyna* Karola Klugowskiego (20 lutego), *Arianie* Benjamina Bukowskiego (13 marca), *Halka* Anny Smolar (26 marca), *Biesy* Pawła Miśkiewicza (24 kwietnia), *Trzy siostry* Luka Percevala (15 maja).

■ Teatr im. Juliusza Słowackiego

Sezon rozpoczęły tu spektakle, których realizację uniemożliwiła epidemia. Najpierw pokazano *Jedzonko* Katarzyny Szyniery powstałe na bazie reportażu Mirosława Wlekłego. Lockdown przeszkodził też w premierze *Ludwiczka*, przedstawienia inspirowanego życiem i twórczością Ludwiga van Beethovena, Daniela Malchara i Rafała Szumskiego. W październiku czeka nas premiera *Ameri Cane* Mirka Kaczmarka, spektaklu z piosenkami Freda Buscaglione. Rok 2020 artyści zakończą w rytmie *Cudu mniemanego, czyli krakowiaków i górali* Cezarego Tomaszewskiego. W grudniu czeka nas też *Agamemnon* Szymona Kaczmarka, a potem *Spóźnione odwiedziny* Iwony Kempy. W lutym zobaczymy przedstawienie Wojciecha Farugi i Magdaleny Fertacz inspirowane z jednej strony *Baśniami tysiąca i jednej nocy*, a z drugiej spotkaniem Oriany Fallaci i ajatollaha Chomeiniego. W marcu Maciej Wojtyszko zaprosi na opowieść o Józefie Dietlu i Stanisławie Kurkiewicz. W kwietniu odbędzie się premiera *Zimowli* Jakuba Roszkowskiego, a sezon zakończą *Powarkiwania Drogi Mlecznej* Wojtki Klemma i *Boginie* Jana Jelińskiego.

■ Teatr Grotoska

W tym roku Teatr Grotoska zapowiada na razie jedną premierę dla najmłodszych. Będą to *Niesamowite przygody dziesięciu skarpetek (czterech prawych i sześciu lewych)* Lecha Walickiego. Ta opowieść o lekkim zabarwieniu kryminalnym powstała na podstawie książki Justyny Bednarek.

■ Teatr Łąźnia Nowa

Granice otwarte. Pierwsze pokolenie – taki tytuł nosi skierowany do młodej widowni spektakl przygotowany przez Łukasza Zaleskiego. Sezon rozpoczęło też przedstawienie o twórcach literatury science fiction *Lem vs. P.K. Dick* Mateusza Pakuły. W najbliższym

czasie będzie można zobaczyć *Powrót do Reims* Katarzyny Kalwat. Pozostałe premiery odbędą się w ramach Festiwalu Boska Komedia.

■ Teatr Ludowy

Jeszcze w tym roku możemy spodziewać się dwóch premier. Będzie to spektakl *Boska* (20 listopada) Roberta Talarczyka oraz *Władca much 2.0* (11 grudnia) Konrada Dworakowskiego. Na przełomie kwietnia i maja pokazany zostanie *Wujaszek Wania* Małgorzaty Bogajewskiej. Wiosną pojawi się na deskach Ludowego Cezary Tomaszewski, który przygotowuje *Iwonę, księżniczkę Burgunda*.

■ Krakowski Teatr Scena Stu

Scena Stu w swój 55. sezon weszła premierowym przedstawieniem Artura „Barona” Więcka *Ci, co mnie niosą* na podstawie opowiadań Sławomira Mrożka. To nie jedyna premiera nadchodzącego sezonu. 17 stycznia pokazany będzie premierowy spektakl *Kiedy sobie znowu umierała* Mirosława Gronowskiego. Natomiast Krzysztof Jasiński na 21 lutego zaplanował swoją realizację *Trzech siostr*.

■ Teatr Nowy Proxima

Nowy sezon teatr otworzył premierą spektaklu *Kazik, ja tylko żartowałem* oraz inauguracją nowej sceny Berlin. W świetnie zaprojektowanej przestrzeni zobaczymy między innymi *Drag Queen* w rewii *My way, my dream, my life*, grupę ImproKRK, Teatr OdRuchu ze spektaklem *Po drugiej stronie Wisły* oraz piosenki Kurta Cobaina w wykonaniu Dominika Rybiałka. Jeszcze w październiku Teatr Nowy zaprasza na premierę sztuk Sławomira Chwastowskiego o legendzie grupy Guns N'Roses oraz Janusza Marchwińskiego z piosenkami Jacka Kaczmarskiego.

■ Teatr Barakah

Pierwszą w tym sezonie premierą na scenie przy ulicy Paulińskiej będzie *Misery* na podstawie thrillera psychologicznego Stephena Kinga. Przedstawienie reżyseruje Ana Nowicka, a występują Monika Kufel i Michał Kościuk.

■ Teatr Variété

Teatr Variété przygotowuje się do polskiej prapremiery musicalu *Pretty Woman*, którą zaplanowano na 28 listopada. Widowisko reżyseruje Wojciech Kościelniak.

■ Opera Krakowska

22 października na scenie przy ul. Lubicz dojdzie do odwołanej z powodu pandemii premiery *Orfeusza w piekle*. Operetkę Jakuba Offenbacha reżyseruje Włodzimierz Nurkowski. Kolejne premiery, jakie zapowiada krakowska scena muzyczna, to *Otello* Verdiego (grudzień), *Così fan tutte* Mozarta (marzec) i spektakl baletowy *Pan Twardowski*.

Opracowała Magda Huzarska-Szumiec



W następnym numerze między innymi:

Jarosław Mikołajewski:
Razem z naszymi zmarłymi

Krystyna Zachwatowicz
o postawie obywatelskiej

Płuca Krakowa wzięły oddech

Prof. Julian Dutka:
Ortopedia starszych ludzi

Łucja Mróz o Danielu Mrozie

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
KRAKÓW

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Miesięcznik społeczno-kulturalny „KraKów”

Wybierz Kraków!

Nic, co krakowskie, nie jest nam obce

Wydawca: Biblioteka Kraków – dyr. Stanisław Dziedzic. Adres Redakcji i Wydawcy: pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.

Kontakt: tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82,

e-mail: redakcja@biblioteka.krakow.pl

www.miesiecznik.krakow.pl

Pismo tworzą: Jacek Balcewicz, Witold Bereś (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Piotr Błachut, Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Paweł Kopeć, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Jan Pieszczechowicz (redaktor senior), Sylwia Pyzik, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Magda Huzarska-Szumiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński

Fotografowie: Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepe, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych.

Layout: Igor Banaszewski

Strona internetowa: Piotr Rachwaniec

Wizerunek pisma i współpraca reklamowa: Edyta Wiśniowska, tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: edyta.wisniowska@biblioteka.krakow.pl

Adiustacja i korekta: Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń

Druk: Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie prawo skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego.

Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.



Rys. Piotr Błachut

Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

Prenumerata redakcyjna gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopismem, które nie jest dostępne w każdym kiosku.

Kontakt: Aneta Mastela-Książek
aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl,
tel.12/61 89 120

Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę: Biblioteka Kraków,
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków
Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

Opis: prenumerata miesięcznika Kraków (tu adres wysyłki)

Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu! (11 numerów, w tym wakacyjny)

– dla odbiorców mieszkających w kraju: **70 zł**
– dla mieszkających za granicą: **190 zł** (poczta priorytetowa, USA, Kanada, Australia) i **150 zł** (poczta zwykła, Europa).

W prenumeracie zamawianej na krótszy okres (np. do końca br.) koszt jednego numeru wraz

z wysyłką wynosi **7 zł** w kraju i **12 zł** za granicą. **Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane!** Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.

Numery archiwalne: cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** www.miesiecznikkrakow.pl, Facebook: <https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/?ti=as>. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH, KOLPORTER, GARMOND** – szczególnie na witrynach internetowych kolporterów.

W sieci kultury

Opracował Piotr Rachwaniec

Teatralny.pl

Program III Polskiego Radia, czyli popularna „Trójka”, to kawał historii, na której wychowały się pokolenia. Historii tworzonej przez ludzi niezastąpionych, których już w tym radiu nie ma. Serwis Teatralny.pl przybliży kulisy upadku „Trójki” oraz przywołuje wspomnienia z czasów świetności stacji.

<http://teatralny.pl/opinie/k269-teatrzyk-zielone-okno,3113.html>

Koniec Trójki jest nie tylko końcem radia, które ukształtowało wrażliwość kilku pokoleń polskich inteligentów, to także zapowiedź tego, jak będzie wyglądało meblowanie porządku medialnego przez najbliższe trzy lata.

(...) Radia słuchało się przede wszystkim po to, żeby nagrywać. (...) Piosenki nagrywało się na „Liście przebojów”, albumy w audycjach autorskich i tematycznych lub pod koniec magazynu „Zapraszamy do Trójki”. Najpierw leciała strona A, po godzinie strona B płyty. Redaktorzy informowali, jaką taśmę należy przygotować, jeśli, nie daj Bóg, jedna ze stron była dłuższa niż standardowe 30 minut.

(...) Aby zagłosować na „Listę przebojów Programu III”, prowadzoną przez Marka Niedźwieckiego, trzeba było kupić kartkę pocztową i znaczek. Poprawnie zaadresować, wpisać tytuł utworu, podpisać się i wysłać w poniedziałek, żeby na pewno do soboty doszła, inaczej głos był nieważny, nie

przechodził na następny tydzień. (...) Potem czekało się z niecierpliwością na notowanie, licząc, że moje głosy coś zmienią, uratują kawałek przed spadkiem z „Listy” albo prestiżowego miejsca.

Culture.pl

Początek roku szkolnego za nami, dobry to więc moment, żeby dowiedzieć się, jak szkoła funkcjonowała kiedyś. Z artykułu na Culture.pl dowiedzie się, jak wyglądała i jak zmieniała się edukacja kobiet nad Wisłą oraz ich rola społeczna w ciągu wieków.

<https://culture.pl/pl/artykul/posluszna-i-pozyteczna-poczatki-edukacji-kobiet>

Nie tyle kształcenie, ile wychowanie – na miłą żonę, dobrą matkę i prawą obywatelkę. Od wiadomości ważniejsze są umiejętności: szycia, gotowania, zarządzania domem i podobania się mężczyźnie. Czego jeszcze uczyły dziewczęta, zanim ich obecność w szkolnych ławach przestała kogokolwiek dziwić?

(...) Równość płci nie obejmowała lekcji łaciny – te zarezerwowane były jedynie dla chłopców, co uniemożliwiało absolwentkom uzyskanie pełnej matury i podjęcie studiów wyższych. Podczas gdy męską grupę uczono rysunku odręcznego, dziewczęta szkolono w zakresie architektury, by ułatwić im „stawianie domów wygodnych i gospodarskich budynków”.

Rys. Marek Braun





Opracowała Magda Huzarska-Szumiec
Collage: Janusz Stefaniak

Rynek bez kwiaciarek? Wolne żarty

Czy wyobrażacie sobie spacer po A-B bez widoku mieniących się feerią barw i pachnących z daleka straganów krakowskich kwiaciarek? Prawda, że niełatwo? Wszak są tu od stuleci, niektórzy historycy utrzymują nawet, że od czasów lokacji miasta. Ież to razy ratowały nam skórę, gdy trzeba było wręczyć okazjonalny bukiet czy choćby goździka z przybraniem. Ich coroczny ceremoniał składania wieńca pod pomnikiem Mickiewicza, który przypada 24 grudnia, w dniu imienin wieszczka, dobitnie udowadnia, że świat ma jednak swój stały rytm. I oto nagle, przez tak zwane błędy formalne, nad kwaciarkami zawisła groźba utraty koncesji na sprzedaż kwiatów. Krótko mówiąc: miałyby zniknąć z pejzażu Rynku. Na szczęście zdarzył się ten rzadki przypadek, kiedy wszyscy wykazali się dobrą wolą, a same kwaciarki nie musiały czekać – jak śpiewa Andrzej Sikorowski z Grzegorzem Turnauem – na cud, lecz raczej na przychylność urzędników. I tak też się stało. Nam przez to spadł kamień z serca.

Przepraszam cię, Smoku!

Tęczowa flaga, symbol wiadomo czego, gości co jakiś czas na jakimś pomniku. Dla jednych ów akt otulenia postumentu kolorową materią jest obrazą uczuć, dla innych – manifestacją uczuć właśnie. Do tych drugich należy z pewnością Franek Vetulani, który w geście poparcia dla warszawskiej aktywistki LGBT Margot opatulił tęczową flagą Smoka Wawelskiego. Oczywiście czyn ten nie uszedł uwadze strażników porządku, którzy na miejscu obywatela Franka spisali, a pani z biura prasowego Komendy Wojewódzkiej Policji oznajmiła nawet, że młody człowiek może usłyszeć zarzut „umieszczania rzeczy w niewłaściwych miejscach”. I choć ostatecznie obeszło się bez srogich konsekwencji, to i tak Franciszek skierował szczerze przeprosiny do... Smoka Wawelskiego, który, według niego, mógł się poczuć urażony. Ale czy na pewno? Wszak niewiele wiemy o orientacji seksualnej naszego gada. Owszem, lubił schrupać jakąś krakowską dziewczicę, co wcale nie oznaczało, że czuł do niej chuć. Ba, w jednej z wersji legendy Smok Wawelski ochoczo przyjmuje prezent od mężczyzny, szewca o imieniu Skuba. I w tym miejscu postawmy kropkę.

Koniec z fuksówką

Nazwa tego procederu wzięła się z przekonania, że studenci wydziału aktorskiego do szkoły teatralnej dostają się z reguły fuksiem. Dlatego też przez pierwszy miesiąc koledzy i koleżanki ze starszych roczników urządzali im tak zwane fuksowanie. Fuks – czyli pierwszoroczniak, musiał być na każde zawołanie panów studentów, spełniać ich zachcianki i wykonywać rozmaite polecenia. Zabawne i niewinne, ale też czasami brutalne i upokarzające. Nieraz polały się z tego powodu łzy. Ale przecież fuksówka była tradycją, więc trwała – jak to w Krakowie – przez dekady. Aż do teraz, kiedy to rektor Akademii Sztuk Teatralnych położyła kres kontrowersyjnym „zabawom”. „ (...) KONIEC Z FUKSÓWKĄ to symboliczny moment przejścia na jasną stronę Mocy. Przyjmowanie kolegów na studia, a potem do teatru powinno być opieką; okazowaną przyjaźnią, serdecznością, pomocą i otaczaniem ciepłem. I niech to od dziś stanie się naszą najlepszą TRADYCJĄ” – oznajmiła na piśmie profesor Dorota Segda. A my takiej decyzji tylko gromko przyklaskujemy.

I znów rozdzwonił się Ratusz

Milczał prawie pół wieku. Odlany około roku 1378, zawisł najpierw na wyższej z wież kościoła Mariackiego. W roku 1681 zdjęto go z hejnalicy i przewieszono na Wieżę Ratuszową, gdzie pełnił funkcję cymbała zegarowego, czyli odmierzał czas, ale też, kiedy trzeba było, bił na alarm. I oto staraniem Muzeum Historycznego Miasta Krakowa staruszek znów służy mieszkańcom, uświetniając swym brzmieniem ważne uroczystości i tradycyjne imprezy miejskie (np. pochód lajkonika). Będzie brał też udział w pożegnaniach znamienitych obywateli naszego miasta. Dzwonowi, zwanemu także „gwałtownym”, życzymy czystego tonu i obwieszczenia swym dźwiękiem tylko dobrych nowin.

Poczuć się jak rusałka

Tym razem nie przeprosinami, a wzajemnym życzeniem sobie „miłego dnia” skończyła się interwencja strażników miejskich. Otóż na początku września, około godziny czwartej nad ranem, monitoring miejski zarejestrował dwie kąpiące się w Wiśle pod Wawelem dziewczyny. Strażnicy udali się tam natychmiast, licząc się z możliwością interwencji ratującej życie pływaczkom. Tymczasem po przyjeździe okazało się, że młode damy zdążyły się już wdrapać na pobliską barękę, skąd o wschodzie słońca prowadziły romantyczną rozmowę z funkcjonariuszami. Tłumaczyły im, że poczuły się jak rusałki, a że rusałce rzeka niestraszna, to dały nura. Mundurowi nie omieszkali zauważyć, że dziewczyny spacerowały bulwarami bez obuwia, co – według nich – było wyrazem ich artystycznego usposobienia. Spostreżgli także, że te pochodzące Warszawy dziewczyny miały rozwiane, długie włosy. I niech ktoś teraz powie, że dziś prawdziwych rusałek już nie ma.



Imprezka, Janusz Stefaniak



FILHARMONIA IM. KAROLA SZYMANOWSKIEGO W KRAKOWIE
INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

ANTONI WIT – DYRYGENT HONOROWY

INAUGURACJA 76. SEZONU ARTYSTYCZNEGO



JOSEPH HAYDN

Missa Cellensis

(Msza cecyliańska)

ORKIESTRA I CHÓR
FILHARMONII KRAKOWSKIEJ

2.10.2020

piątek, godz. 19.30

3.10.2020

sobota, godz. 18.00

**ODNOWIONA SALA
FILHARMONII KRAKOWSKIEJ**
ul. Zwierzyniecka 1

Wojciech RODEK

dyrygent

Teresa MAJKA-PACANEK

chórmistrz

Bilety na Koncerty
w Filharmonii Krakowskiej
do nabycia w kasie
– al. Słowackiego 64, parter lub online.

WWW.FILHARMONIA.KRAKOW.PL

1.10.2020

czwartek, godz. 19.00

**CENTRUM SZTUKI
MOŚCICE W TARNOWIE**

4.10.2020

niedziela, godz. 19.00

**KOŚCIÓŁ ŚW. PIOTRA
APOSTOŁA
W WADOWICACH**

Organizator:



FILHARMONIA
IM. KAROLA SZYMANOWSKIEGO
W KRAKOWIE

INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWÓDZTWA
MAŁOPOLSKIEGO

MAŁOPOLSKA

Mecenas:



Energia Ciepła S.A.

Patronat Medialny:



KRAKÓW



Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”



Magdalena i Piotr Maciukiewicz, Kraków
Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk, Kraków
Grzegorz Szymański, Warszawa
Aleksander Skotnicki, Kraków
Alicja i Krzysztof Goerlichowie, Kraków
Beata i Wojciech Starowieyscy, Kraków
Adam Michnik, Warszawa
Janusz Szerla, Kraków
Grzegorz Kogut, Kraków
Józef Palinka, Warszawa
Marek Braun, Kraków
Krystyna Zachwatowicz, Kraków
Aleksander Herzog, Warszawa
Jacek Purchla, Kraków
Kazimierz Sumera, Zawoja
Andrzej Gaworski, Warszawa
Józef Opalski, Kraków
Halina i Leszek Domańscy, Kraków
Katarzyna Janowska, Warszawa
Anna i Tadeusz Buczek, Katowice
Stanisław Bisztyga, Kraków
Ewa Przyboś-Razowska, Kraków
Krzysztof Bień, Kraków
Teresa Bergier, Kraków
Antoni Legeżyński, Kraków

Krystyna Sacha, Porąbka Uszewska
Elżbieta Motas, Warszawa
Jolanta i Jarosław Brudniccy, Kraków
Iwona Ben, Kraków
Barbara i Andrzej Jajszczyk, Kraków
Józef Grudnik, Kraków
Teresa Pracz, Warszawa
Alicja Jarkowska-Natkaniec, Kraków
Ewa Rusek, Kraków
Andrzej Wyrobiec, Kraków
Jarosław Poczukowski, Białystok
Jadwiga Falkowska, Białystok
Marcin Barcz, Piaseczno
Tomasz Langie, Kraków
Tomasz Majka, Zawada
Jerzy Zoń, Kraków
Amelia i Rafał Skąpscy, Jazowsko
Anna Kosioriewicz, Kraków
Jerzy Hausner, Kraków
Katarzyna Bilan-Zajac, Kraków
Monika Gierko-Libicka, Warszawa
Rafał Bubnicki, Wrocław
Adam Opatowicz, Kołbaskowo
Dominika Dudek, Kraków
Wanda Chmielowska, Kraków
Hanna Gajewska-Kraczkowska, Pruszków

Gerhard Gnauck, Sulejówek
Wacław Marszałek, Warszawa
Piotr Krzywiec, Warszawa
Gwidon Dziwoki, Kraków
Waldemar Zakrzewski, Szczecin
Renata i Wojciech Michna, Kraków
Andrzej Kuźma, Kraków
Jarosław Grzesiak, Kontancin-Jeziorna
Konstanty Gebert, Warszawa
Agnieszka Odorowicz, Warszawa
Janusz Fogler, Legionowo
Anna Tyniec, Kraków
Czesław Misiótek, Ożarów Mazowiecki
Małgorzata Maruszkin, Warszawa
Anna Anderson, Dobczyce
Marcin Barcz, Piaseczno
Wojciech Bergier, Kraków
Ewa Bielecka, Kraków
Jacek Górski, Kraków
Dorota Hajdarowicz, Bolechowice
Grzegorz Hajdarowicz, Bolechowice

Dołącz do Klubu Przyjaciół „Krakowa”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „Kraków” to ludzie i firmy, którym bliski jest duch Krakowa i polska kultura. Wystarczy wpłacić raz na dwanaście miesięcy 140 złotych (osoby), 500 zł (firmy), a nawet 1000 zł (PRZYJACIELE KULTURY), aby przez rok być wymienionym na liście Przyjaciół Pisma wraz z ewentualnym logo, dostawać

zaproszenia na wszystkie imprezy organizowane przez redakcję, w grudniu otrzymać w prezencie książkę pióra któregoś z Autorów pisma wraz z osobistą dedykacją i oczywiście co miesiąc dostawać kolejny numer „Krakowa”! A dla PRZYJACIÓŁ KULTURY czeka unikatowa reprodukcja grafiki Daniela Mroza!

Wpłaty:

Biblioteka Kraków
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3
31-154 Kraków
24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
tytułem: Klub Miesięcznika „Kraków”
– nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysyłać nasz magazyn!
Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenasa Promocji „Krakowa” – zapraszamy do rozmów.

Pisarz i pieniądze

Tekst: Agnieszka Kosińska

Pisarz nie może nigdy zagwarantować, że nie okaże się głupi.

Problem kuszenia jest w moim życiu żywo obecny, i to od kołyski. Ale kuszenie pieniędzmi – nigdy. Rozumuję tak: żeby kusić mnie pieniędzmi, musiałabym być przydatna komuś (towarzystwu, stowarzyszeniu, partii, społeczeństwu) do czegoś, wpisywać się w plan, odpowiadać na zapotrzebowanie, krótko mówiąc: ktoś miałby interes mnie lansować. Do tego jestem kobietą, a kobieta, wiadomo, zawsze wymyśli tysiąc uzasadnień, dlaczego pracuje za darmo. Poza nielicznymi wyjątkami, mało także dałam się poznać towarzysko. Za dużo siedzę w domu i piszę.

Czy pisarz (piszę „pisarz”, ale w domyśle: twórca, artysta) potrzebuje pieniędzy do generowania treści? Nie. Po wielekroć nie. Człowiek nie pisze dlatego, że mu za to płacą, ale dlatego, że nie może nie pisać (malować, komponować, grać). Jest to specyficzna forma życia i jeśli człowiek rozpozna, że tak ma, musi się z tym pogodzić bez względu na konsekwencje i warunki, w jakich przyjdzie mu żyć. Albo odpuścić. Tu leży prawdopodobnie ten węzeł, niezrozumiały dla reszty, która ma inaczej.

Czasem dzielny, nieskarżący się, bardzo twórczy twórca dochodzi do kresu wytrzymałości. „Nie potrzebuję prestiżu, chcę pieniędzy” – powiedział zmęczony szukaniem środków na produkcję swoich filmów Robert Bresson, odmawiając przyjęcia nagrody krytyków na festiwalu w Cannes w 1974 roku.

W temacie twórczości i pieniędzy moją la-tarnią mógłby być Conrad, ale dobitniejszy jest pewien mało znany tekst Gombrowicza, którego fragment przytoczę:

„Przede wszystkim chciałbym zaatakować słowo pisarz. Nie ma pisarzy albo, jeśli chcecie, każdy człowiek, który potrafi pisać, jest pisarzem. (...) Wielkość literatury polega właśnie na tym, że każdy człowiek posługuje się językiem i może się wyrazić. Pisanie nie jest więc zawodem. Do pisania niezbędna jest osobowość i wyższy stopień ducha. Według mnie śmieszne jest uznawanie pisania za funkcję społeczną, która ma być wynagrodzona. Piszę to, co chcę. Piszę dla własnej przyjemno-

ści. Piszę na własne ryzyko. Zadanie moje jest więc sprawą całkowicie prywatną. A jeśli ktoś kupuje moje książki, tym lepiej. Wtedy dopiero mam prawo do udziału w tym interesie, ale jest to rzecz drugorzędna, niemająca nic wspólnego z prawdziwą literaturą, z literaturą ducha. Dlatego właśnie system biurokratyczny panujący w Europie Wschodniej, gdzie pisarz ma być czymś w rodzaju przewodnika, mistrza czy rzecznika, jest najlepszym sposobem zabijania wyrazu. (...) Pisarz nie może nigdy zagwarantować, że nie okaże się głupi. Nie jest on istotą wyższą, jest tylko istotą, która pragnie być wyższą, jest kandydatem do wyższości. (...) Sztuka jest prywatną konwersacją między dwoma osobami: pomiędzy tym, kto mówi, i tym, kto słowa odbiera. Nie mniej i nie więcej”.

Zdanie Bressona znajdziemy w pasjonującym tekście Tycjana Gołuńskiego (Tycjanie, na biografię Bressona czekamy pilnie) *La Genèse Roberta Bressona* zamieszczonym w piśmie „EKRAŃY” 2013, nr 3/4. Tekst *Pisarz i pieniądze, odpowiedź na ankietę „Times Literary Supplement”*, Witold Gombrowicz podyktował po francusku swojej żonie Ricie 22 lipca 1969 roku, dwa dni przed śmiercią (pisarze ducha pracują do końca). W języku polskim możemy go przeczytać w numerze 7/8 z 1972 roku paryskiej „Kultury”.



Agnieszka Kosińska: lubi lubić. Jej strona autorska: <https://kosinska-miloszwwkrakowie.com>

MNK
 MUZEUM
 NARODOWE
 W KRAKOWIE

GENIUSZ BAROKU

SZYMON CZECHOWICZ



16.10.2020 – 21.02.2021

WYSTAWA :: MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE / GMACH GŁÓWNY
 AL. 3 MAJA 1 / MNK.PL

Ministerstwo
 Kultury
 i Dziedzictwa
 Narodowego



Kraków

Dofinansowana ze środków
 Ministra Kultury
 i Dziedzictwa Narodowego.

Pierwszeństwo Honorowe
 Prezydenta Miasta Krakowa
 prof. dr. hab. Jacka Machrowskiego.



POLONIKA

ams kbf:

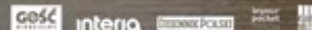
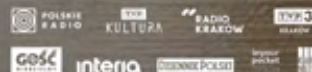
Partnerzy wystawy



Mecenas
 Muzeum Narodowego
 w Krakowie



Partner Strategiczny
 Muzeum Narodowego
 w Krakowie



Partnerzy Medialni

kraków.pl

Szymon Czechowicz. Świat Jerzego Wierzyńskiego. Muzeum Dziedzictwa Sakralnego. Wideo. Fot. Przemysław Konecki. Dział Sztuki. Portret. Ekspozycja. Galeria 2

